

A

Przygody kapitana Alatryste

Arturo
PÉREZ-REVERTE



W cieniu
inkwizycji

ARTURO PÉREZ-REVERTE

W CIENIU INKWIZYCJI

(LAS AVENTURAS DEL CAPITÁN ALATRISTE, #2:)

(LIMPIEZA DE SANGRE)

Przełożył Filip Łobodziński

Ilustracje: Karol Precht



Wydawnictwo: Muza 2004

„Przygody kapitana Alatryste” to opowieść o Hiszpanii pierwszej połowy XVII wieku. Na tronie zasiada młody, niemający na nic wpływu, Filip IV, wnuk potężnego Filipa II. Dwór habsburski powoli staje się labiryntem intryg, podchodów, wzajemnych świństw. Z jednej strony sprawujący rządy kanclerz, z drugiej sekretarz królewski, uprawiający własną podstępą politykę ramię w ramię ze złowieszczym inkwizytorem. Na skrzyżowaniu tych dwóch ośrodków władzy znajduje się Diego Alatryste y Tenorio, czterdziestoparoletni szermierz, wytrawny żołnierz. W czasie gdy nie jest na wojnie, dorabia, pojedynkując się w cudzych sprawach. Małomówny, raczej sceptyk, zna życie od najgorszej strony i może dlatego zachowuje wciąż elementarne zasady moralne.

Teraz kapitan przekonuje się, jak wielka jest potęga Świętej Inkwizycji. Íñigo Balboa, jego młody sługa, na skutek diabelskiego podstępu dwunastoletniej Angeliki de Alquézar na własnej skórze doświadcza bezwzględności Oficjum i władzy jego złowrogiego sędziego Emilia Bocanegry. Jednak chłopak jest tylko przynętą, pułapkę zastawiono bowiem na jego pana. Misternie utkana intryga wydaje się prowadzić do triumfu sił niechętnych kapitanowi.

Spis treści:

- I. ROBOTA PANA DE QUEVEDO. 5
- II. SZYJA I PĘTLA. 29
- III. STAŁOWA FONTANNA. 49
- IV. ATAK. 74
- V. W IMIĘ BOŻE. 91
- VI. ZAŁĘK ŚWIĘTEGO GINESA. 113
- VII. CZYTELNICY JEDNEJ KSIĘGI. 133
- VIII. NOCNE ODWIEDZINY. 158
- IX. AUTO DA FÉ. 179
- X. NIEUREGULOWANY RACHUNEK. 200
- EPILOG. 220

Dla Carloty, której bić się przyszło

*Są księża, dworki, poeci, szlachcice, Znaki honoru na herbowych tarczach,
Złotem z Ameryk pękate szkatułki,*

*Posępne wedle traktów szubienice, Galery, spiski, lamenty żebracze I szczęk
rapierów we wszystkich zaułkach.*

Tomás Borrás, Kastylia



I. ROBOTA PANA DE QUEVEDO.



wego dnia na placu Mayor trwała korrida, atoli rotmistrzowi straży Martínowi Saldaña widowisko całe koło nosa przemknęło. Przed kościołem Świętego Ginesa znaleziono akurat lektykę z siedzącą w niej uduszoną niewiastą. W jej dłoniach spoczywała sakiewka z pięćdziesięcioma eskudami i ręcznie sporządzony, lubo niepodpisany świstek: *Na mszę w jej intencji*. Natknęła się na nią była o brzasku pewna pobożnisa, która w te pędy zakrystiana powiadomiła, ten proboszcza, ów zaś z kolei, udzieliwszy naprędce rozgrzeszenia *sub conditione*¹. co rychlej zaalarmował sąd. Kiedy rotmistrz na placyk przed Świętym Ginesem się pofatygował, wokół lektyki tłoczyli się już sąsiedzi i ciekawscy. Istny jarmark zdążył się na miejscu uczynić i dopiero kilku pachółków zdołało gawieź odsunąć, by sędzia i skryba mogli protokół sporządzić, a Martín Saldaña nieboszczce w spokoju się przyjrzeć.

Saldaña do rzeczy każdej zabierał się z niesłychaną powolnością, jak gdyby czasu mu nigdy nie zbywało. Może skutkiem swej kondycji weterana – wojował był we Flandrii, nim mu żona, jak powiadali, załatwiła godność w stolicy – rotmistrz madryckiej straży zwykł służbę swą odprawiać nad wyraz flegmatycznie. Do tego stopnia, że pewien poeta prześmiewca, beneficjant Ruiz de Villaseca, w decymie zjadliwej napisał, jako to

rotmistrz niby „wół nieskory” postępuje, iż mu szarża szarżować nie zezwala. Przyznać tu wszelako musimy, że Martín Saldaña, lubo w niektórych momentach powolny, nie zwlekał nigdy, kiedy chwycić miał za rapier, lewak, sztylet albo grzecznie nabite pistolety, jakie za pasem zwykł nosić i dźwięczeć nimi groźnie. Sam rzeczony beneficjent Villaseca, który w ciele od rapiera trzy nowe otwory zyskał pode drzwiami własnego domostwa – a było to nocą w trzy dni po tym, jak na schodach pod Świętym Filipem rozbrzmiała jego wspomniana wyżej decyma – mogłby przyświadczyć o tym w czyścicu, w piekle czy gdzie go tam diabli ostatecznie zatargali.

Tym razem atoli przeciągłe spojrzenie, jakim dowódca straży nieboszczkę obrzucił, na niewiele się zdało. Niewiasta wyglądała na leciwą, bliżej pięćdziesięciu wiosen niżli czterdziestu, siedziała odziana w czarną szatę i czepiec, z którego wnosić można było, że to ważna pani albo przynajmniej dama do towarzystwa. W kieszonce miała różaniec, klucz i pomięty obrazek Najświętszej Paniienki z Atochy, a z szyi zwisał jej złoty łańcuch z medalikiem świętej Aguedy. Z rysów dawało się wyczytać, że za młodu wzięciem musiała się cieszyć. A nie było na niej żadnych znamion przemocy za wyjątkiem owego sznurka jedwabnego, co to nadal jej szyję opasywał, i ust półotwartych w przedśmiertnym skurczu. Miarkując z kolorów i zeszywnienia członków, snadź uduszono ją poprzedniego wieczoru w tejże lektyce, gdy do kościoła wnijsć się sposobila. Sakiewka z pieniędzmi za spokój jej duszy mogła zdradzać już to przewrotne poczucie humoru, już to niezmierne miłosierdzie chrześcijańskie sprawiciela. Bądź co bądź, w owej mrocznej, niespokojnej, pełnej przeciwieństw Hiszpanii naszego miłościwego katolickiego monarchy Filipa Czwartego, gdzie byle swawolny birbant lub fanfaron chełpliwy księdza wołał, ledwie ranę od

pistoletu czy od rapiera otrzymał, w owej Hiszpanii szlachetny morderca nie mógł zdziwienia budzić.



W jej dłoniach spoczywała sakiewka z pięćdziesięcioma eskudami i ręcznie sporządzony, lubo niepodpisany świstek: *Na mszę w jej intencji.*

Z tego wszystkiego Martín Saldaña zdał nam sprawę po południu. A dla większej akuratności powiedzieć się godzi, że opowiedział rzecz całą kapitanowi Alariste, gdyśmy się z nim spotkali przy bramie Guadalajary.

My wychodziliśmy właśnie w dużej ciżbie z placu Mayor, Saldaña zaś wracał z oględzin zmarłej niewiasty, której trup wyłożony został w Świętym Krzyżu w trumnie dla wisielców, ażeby ktoś mógł ją rozpoznać. Rotmistrz nie wdawał się w szczegóły, dzielnością byków owego dnia walczących bardziej zainteresowany niżli zbrodnią, której wyjaśnienie mu zlecono. Całkiem logiczne to skądinąd, jako że w ówczesnym, pełnym niebezpieczeństw Madrycie co rusz trupa na ulicy znajdowano, coraz rzadsze natomiast były przednie festyny z bykami i pojedynkami na laski. Te ostatnie, rodzaj turnieju konnego rozgrywanego między drużynami szlachty, w którym i król nasz miłościwie panujący czasami partycypował, bardzo podupadły, kiedy jęli doń stawać galanci i fircyki, kokardom, wstążeczkom i damom większą uwagę poświęcający niż złożeniu przeciwnikowi skóry jak się należało. Przeto i samo widowisko ledwo przypominało potyczki z czasów wielkiego Filipa Drugiego, dziadka naszego monarchy, że nie wspomnę o epoce, gdy nasze rycerstwo z Maurami boje toczyło. Co się zaś byków tyczy, wciąż była to w początkach naszego stulecia największa rozrywka dla ludu hiszpańskiego. Siedemdziesiąt tysięcy dusz liczyła podówczas nasza stolica, i jak tylko wypędzano rogate bestie, z tej liczby dwie trzecie ciągnęły na plac Mayor i owacjami nagradzały męstwo tudzież zwinność zuchwalców, co czoło zwierzętom stawiali. Albowiem w owym okresie ani szlachcice, ani grandowie Hiszpanii, ani zgoła przedstawiciele z królewskiego rodu nie wahali się na arenę wjechać na swych najlepszych rumakach, by pikę w kłęb samca z Jaramy² zatopić, albo i pieszo stawali z rapierem w garści, budząc zachwyt ciżby, zgromadzonej już to pod arkadami placu (jak to gmin zwykł czynić), już to na balkonach wynajętych za ćwierć sta albo i pół sta eskudów (mówię tu o dworakach, nuncjuszu tudzież ambasadorach). Czyny podobne opiewano później w przyśpiewkach i wierszykach,

zarówno te chwalebne, a było ich niemało, jak i te bardziej krotochwilne czy zabawne, także nierzadkie. Tu szczególnie najświetlejsze umysły Dworu, nie omieszkały nigdy, ostrza muzy swej sprawdzić. Jako to wówczas, kiedy byk jeden w pogoń za strażnikiem się puścił – a trzeba waszmościom wiedzieć, że już w owym czasie podwładni sędziów nie cieszyli się względami gawiedzi, przeto cała publiczność stronę bydłęcia wzięła:

*Ów czworonóg rację miał,
Gdy strażnika pognał precz,
Czworo rogów – trudna rzecz,
Przeto dwa uprzątnąć chciał.*

Zdarzyło się też i tak, że przy jakiejś okazji admirał Kastylji, na rosłego samca nacierając, przypadkiem ranił swą piką hrabiego de Cabra. I już nazajutrz po najruchliwszych placach Madrytu krążyły takie to sławetne strofy:

*Admirał chwacko się do dzieła zabrał,
Pikę chwycił, lecz ta widza nadziała.
Teraz wstyd będzie w herbie Admirała,
Tamten nazwisko zmieni na Makabra.*

Powróćmy atoli do tamtej niedzieli z podżyłą nieboszczką, do Martína Saldañi i jego druha serdecznego, kapitana Diega Alatryste. Nie dziwota, że rotmistrz wtajemniczył mego pana w sprawę, która pójście na korridę mu uniemożliwiła, ten zaś opowiedział przyjacielowi ze szczegółami przebieg walki. W jej trakcie my z kapitanem znajdowaliśmy się wśród zwykłej

publiczności i skubaliśmy siemię sosny i łąbinu w cieniu sukiennic, podczas gdy z balkonu Domu Piekarzy widowisko podziwiała sama rodzina królewska. Byki pokazano cztery, wszystkie należycie dzikie, a jak mogliśmy się przekonać, hrabiowie de Obitamorda i de Guadalmedina wyśmienicie piką władali. Temu ostatniemu okaz z Jaramy wierzchowca zabił, przeto hrabia, człek szlchetnego urodzenia i męznego serca, stanął na arenie, żelaza dobył, podciął bestii nogi, by na koniec powalić ją dwoma celnymi pchnięciami. Zaskarbił tym sobie łopot wachlarzy w niewieścich dłoniach, wyraz uznania na obliczu króla i uśmiech królowej. Ta zresztą, powiadają, zawzięcie mu się przypatrywała, iżże mężem był postawnym i gładkim. Barw dodał widowisku ostatni byk, natarłszy na gwardię królewską. Wiedźcie waszmościowie, że wszystkie trzy oddziały straży, Hiszpanów, Niemców i łuczników, stały zgrupowane z halabardami u stóp monarszego stanowiska, tłocząc się przy barierce, i nie wolno im było szyku naruszyć, choćby i byk z diabelskimi zamysłami ku nim zmierzał. Owóz tym razem zwierzę zagalopowało się dalej, niżli się spodziewano, i lubo pokwapił się ku niemu jakiś halabardnik z Ceuty, nanizało na róg i przeciągnęło po arenie gwardzistę niemieckiego, człeka potężnego o jasnej czuprynie. Temu wnet flaki na wierzch wyszły śród wielu Himmel³ i Mein Gott⁴ i trzeba mu było ostatniego namaszczenia od razu na miejscu udzielić.

– Poniewierał za sobą bebechy jak tamten chorąży spod Ostendy – zakończył opowieść Diego Alatryste. – Pamiętasz? Przy piątym natarciu na redutę Caballo... Nazywał się Ortiz, Ruiz... Jakoś tak.

Martín Saldaña skinął głową, gładząc swą siwiejącą brodę wiarusa, którą nosił, ażeby szramę na obliczu skryć, co ją był otrzymał dwadzieścia lat wstecz, będzie w trzecim albo w czwartym roku stulecia, akuratnie podczas szturmowania murów Ostendy. O brzasku samym z okopów wyszli

podówczas Saldaña, Diego Alatryste i jeszcze pięciuset chłopów, wśród których znajdował się także Lope Balboa, mój rodzic. I ruszyli w górę nasypów pod wodzą kapitana Tomasa de la Cuesta, a sztandar z krzyżem świętego Andrzeja dzierżył właśnie ów chorąży Ortiz, Ruiz czy jak mu tam diabli nadali. Z żelazem w prawicach zajęli pierwsze umocnienia holenderskie. I tuż na przedpiersie się wspinać pod gradem wszystkiego, co wróg zmyślił na naszych z góry spuszczać, by kolejne pół godziny strawić na pojedynkach u szczytu fortyfikacji, a kule muszkietów świstały nad głowami bez jednej przerwy. Wtedy owóz Martín Saldaña został w twarz paskudnie cięty, a Diego Alatryste ponad lewą brwią, w chorążego zaś Ortiza czy też Ruiza psubrat jakiś z bliska wypalił z arkebuzów, wywalając mu flaki na zewnątrz, które nieszczęśnik zbierał z ziemi, uciec z tego piekła zamierając, atoli nadaremnie, bowiem rychło drugi strzał prosto w głowę trupem go położył. A kiedy kapitan de la Cuesta, sam zakrwawiony niczym *Ecce homo*, bo na swoje też zdążył być zasłużyć, zawołał: „Panowie, uczyniliśmy, co w naszej mocy było, dajemy drapaka, niech ratuje skórę na grzbiecie, kto tylko może”, mój ojciec i jeszcze jeden Aragończyk skromnej postury i wielkiego hartu, niejaki Sebastián Copons, wspomogli Saldañę i Diega Alatryste w ponownym zdobywaniu stanowisk hiszpańskich. Holendrzy ze swych murów siekli z arkebuzów, ile wlaźło, a ci czmychali z powrotem, przeklinając Boga i Najświętszą Panienkę albo polecając się ich opiece, co w takiej chwili wychodziło na jedno. Ktoś znalazł w sobie jeszcze tyle zapachu, by chorągiew z rąk biedaczyny Ortiza czy Ruiza chwycić, żeby nie leżała tak pod bastionem heretyckim przy zwłokach owego żołnierza i dwustu innych towarzyszy, którzy już ani do Ostendy, ani do własnych okopów, ani nigdzie w ogóle się nie wybierali.

– Chyba Ortiz – mruknął w końcu Saldaña.

Jakiś rok potem pomścili godnie i chorążego, i pozostałych dwustu, i wszystkich, którzy wcześniej oraz później ducha tam wyzionęli, szturmując niderlandzką redutę Caballo. Za ósmym lub też dziewiątym razem Saldaña, Alatryste, Copons, mój ojciec i pozostali weterani Starego Regimentu z Cartageny zdołali, zębami i pazurami sobie pomagając, za mury się przedrzeć. Wówczas Holendrzy jęli krzycheć *srinden, srinden*⁵ co chyba oznacza „przyjaciele” albo „swoi”, a poza tym *verchifen ons over*⁶ albo jakoś tak, czyli że niby „poddajemy się”. Na to kapitan de la Cuesta, który obcymi narzeczaniami zgoła nie władał, za to pamięć miał wyśmienitą, zakrzyknął, że „żadne tam *srinden* ani *verchifen* czy co tam skurwysyny jeszcze zajęcą, bez cienia litości, panowie, miarkujcie, rznąć mi tu heretyków bez wyjątku”. I oto wreszcie Diego Alatryste z resztą kompanii wysłużoną i w rzeszoto zmienioną chorągiew z krzyżem świętego Andrzeja zatknął na wrażym bastionie, tym samym, gdzie padł nieszczęśnik Ortiz, własne wątpia uprzednio tracąc – a unurzani byli we krwi niderlandzkiej aż po łokcie, nie mówiąc o główniach ich sztyletów i rapierów.

– Powiadają, że na powrót na północ ruszasz – rzekł Saldaña.

– Niewykluczone.

Wciąż oszołomiony byłem obejrzaną korridą, ślepiea toczyłem raz po raz za ludźmi, co plac opuszczali, kierując się na ulicę Mayor, za damami i kawalerami, którzy krzyczeli „sam tu z powozem”, po czym wsiadali do pojazdów, za szlachcicami na koniach i wytwornisiami, co ku Świętemu Filipowi albo na dziedziniec pałacowy się wybierali – wszelako z ogromną uwagą słów rotmistrza straży wysłuchałem. Był rok Pański tysiąc sześćset dwudziesty trzeci, drugi rok panowania naszego młodego króla jegomości Filipa, a wznawiana wojna we Flandrii domagała się kolejnych pieniędzy, kolejnych regimentów i kolejnych żołnierzy. Generał mość Ambrosio Spínola⁷ jak Europa długa i szeroka rekrutacje przeprowadzał, setki

weteranów przybywało, by pod dawne chorągwie się zaciągnąć. Regiment z Cartageny, zdziesiątkowany pod Jülich (kiedy to padł mój ojciec) i w puch rozsiekany rok później pod Fleurus, odradzał się właśnie i rychło ruszyć miał na północ Traktem Hiszpańskim⁸ by do sił Brede oblegających dołączyć. A ja skądinąd wiedziałem, że Diego Alatryste, choć rana pod Fleurus nijak mu się zabiżnić nie zamierowała, przecież ugadał się z dawnymi towarzyszami, by na powrót wojennym rzemiosłem się zatrudnić. Ostatnimi czasy, pomimo skromnego zajęcia zabijaki wynajmowanego za pieniądze, a może zgoła na jego skutek, kapitan napytał sobie potężnych wrogów w stolicy. Nie od rzeczy było przeto, by na czas jakiś oddalić się z miasta na słuszną odległość.

– Może to i lepiej – Saldaña popatrzył na kompana znacząco. – Madryt robi się niebezpieczny... Zabierasz chłopaka?

Przepychaliśmy się przez ciżbę, idąc wzdłuż pozamykanych kramów złotniczych ku Puerta del Sol. Kapitan zerknął na mnie i na jego obliczu niepewność zagościła.

– Nie wiem, zali nie za młody – rzekł.

W gęstej brodzie rotmistrza straży zamajaczył uśmiech. Położył mi swą szeroką, krzepką dłoń na głowie, ja tymczasem podziwiałem kolby błyszczących pistoletów do jego pasa przypiętych, lewak i rapier o szerokiej gardzie, wystające spod napierśnika ze skóry łosia, który wyśmienitą ochronę dawał przed sztyletami, co w tej profesji wielkie miało znaczenie. Ta prawica – pomyślałem – nieraz pewnie ścisnęła także dłoń mojego ojca.

– Do pewnych rzeczy, tuszę, wcale nie za młody – uśmiech Saldañi był już wyraźny, na poły rozbawiony, na poły przewrotny. Dowódca straży znał moje przypadki z czasów awantury z dwoma Anglikami. – Zważ, że sameś się zaciągnął w jego wieku.

Prawda to była. Będzie ze ćwierć wieku wstecz, kiedy Diego Alatryste, drugi syn zaściankowej rodziny szlacheckiej, ledwo trzynaście lat ukończył, lekcje w zakresie czterech nauk i czytania pobrał, tudzież łaciny liznął, już czmychnął i ze szkoły, i z domostwa swego. Do Madrytu z druhem jednym przybywszy, zełgał względem swego wieku i do regimentu ku Flandrii wyruszającego zaciągnął się pod rozkazy infanta kardynała Alberta jako paż i dobosz.

– Inne czasy – odburknął kapitan.

Zszedł z drogi, by dwie młode damy przepuścić, niewiasty o wyglądzie wykwintnych ladacznic, którym towarzyszyło dwóch elegancików. Saldaña, snadź z paniami owymi zaznajomiony, uchylił kapelusza nie bez złośliwego uśmiešku, co wzbudziło błysk gniewu w oczach jednego z młodzieńców. Atoli spojrzenie owo w tym samym momencie złagodniało gdy junak zmiarkował, ile żelastwa dowódca straży na sobie dźwiga.

– Tu słusznie prawisz – ozwał się zadumany Saldaña – Inne czasy, inni ludzie.

– I inni królowie.

Rotmistrz, który od jakiegoś czasu na przechodzące mimo damy baczenie dawał, zwrócił się raptownie ku kapitanowi Alatryste, po czym zerknął na mnie z ukosa – Hola, Diego, nie wygadujże takich rzeczy przy tym pacholęciu – tu rozejrzał się niepewnie dokoła. – I mnie, przebóg, na szwank nie wystawiaj. Zapominasz, że pracownik sądu.

– Nie wystawiam cię na nijaki szwank Jakiego mi króla los zrządził, nigdy go nie zawiódł. Alem już trzech panowanie poznał i powiadam ci, że są królowie i królika.

Saldaña jął brodę tarnosić.

– Bóg na niebie najświętszy.

– Bóg albo kogokolwiek sobie wymarzysz.

Dowódca straży jeszcze jedno spojrzenie konfuzji pełne mi posłał, nim się na powrót zwrócił ku memu panu. Zauważyłem, że instyktownie dłoń jedną wsparł na rękojeści rapiera.

– Ale zwady ze mną nie szukasz, jako żywo, co, Diego?

Kapitan nie odpowiedział, tylko jasne jego oczy wpatrywały się niewzruszenie spod ciemnego kapelusza w twarz rozmówcy. Saldaña, lubo zwalisty i krzepki, przecież niższej był postury, zatem wyprostował się nieco i tak mierzyli się wzrokiem z bliska, dwaj ogorzali wiarusi o obliczach drobną siatką zmarszczek i blizn pokrytych. Kilku przechodniów spojrzało na nich z zaciekawieniem. W owej niespokojnej, zrujnowanej i dumnej Hiszpanii (boć już duma jeno została nam w sakiewkach) lada słowa od niechcienia rzuconego nikt płazem nie puszczał i nawet najbliżsi druhowie potrafili się zadźgać w zemście za obelgę albo zarzut kłamstwa: Gadał, poszedł, spojrzał, wyrzekł zadziornie Słowa jakieś, kiedy był już daleko, Czy z otwartą twarzą, czy incognito, Musiał wnet na ziemię stawać ubitą.

Nie dalej jak trzy dni wcześniej, podczas parady po Błoniu, stangret markiza de Novoa sześć razy ugodził swego pana za to, że ów go nikczemnikiem śmiał nazwać. Podobne potyczki o byle co były podówczas na porządku dziennym. Dlatego też jużem myślał, że Saldaña za rapier chwyci i obydwaj tam na ulicy zaczną się pojedynkować. Tak się wszelako nie stało. Prawdą jest bowiem, że wprawdzie dowódca straży, jak tośmy wcześniej widywali, potrafił łącno w ramach służby wsadzić przyjaciela na galery albo i łepetyny takiego pozbawić, niemniej jednak nigdy się w jakichś osobistych utarczkach z Diegiem Alatryste kondycją przedstawiciela władzy nie zasłaniał. Tę pokrętną etykę spotykano wszędy wśród ludzi niższego autoramentu, a i ja sam, w młodości i przez całe życie późniejsze

w takim środowisku się obracając, klęę się, że najgorszy łotr, ladaco, żołdak i najemnik więcej respektu dla niepisanych praw i reguł przejawiał niżli ludzie pozornie szlachetniejszej natury. Martín Saldaña należał do tej właśnie gromady i wszelkie zatargi rozstrzygał wedle zasady „tu, teraz, ty i ja” w szczękę żelaza, nie zasłaniając się królewskim autorytetem czy jakąkolwiek bagatelką. Atoli wszystko powyższe, Bogu dzięki, wypowiedziane zostało tonem spokojnym, przeto nijaka zniewaga publiczna ni afront jawny nie naraziły starej i nader szorstkiej przyjaźni dwóch weteranów. A zresztą ulica Mayor świeżo po korridzie, gdy cały Madryt paradował w tę i z powrotem, nie była miejscem, gdzie słowa, rapiery lub cokolwiek krzyżować warto. Saldaña wypuścił więc powietrze z płuc z chrapliwym westchnieniem i z pewną ulgą. Niespodzianie w jego mrocznym spojrzeniu, wciąż skierowanym w oczy kapitana Alatryste, dostrzegłem coś jakby iskierkę uśmiechu.

– Kiedyś ktoś ci wsadzi żelazo w serce, Diego.

– Niewykluczone. I może to będziesz ty.

Teraz to on uśmiechał się spod sumiastego wąsa. Saldaña pokręcił głową z zabawną troską.

– Lepiej zmieńmy temat rozmowy.

Uniósł dłoń krótkim, ociążalym ruchem, zarazem niezdarnym i przyjaznym, i musnął ramię kapitana.

– Chodź, postaw mi kielicha.

I to wszystko. Kilka kroków dalej zatrzymaliśmy się w karczmie Pod Kowalem, jak zwykle pełnej sług, giermków, sprzedawców obnośnych i staruch, gotowych oddać swe usługi jako damy do towarzystwa, przytulne mamuśki lub córki wesołe. Dziewka postawiła na zalanym winem blacie dwa dzbany pełne valdemoro, które Alatryste i rotmistrz spełnili duszkiem, jako że od strzępienia ozorów w gardzieli im zaschło. Mnie, jako żem

jeszcze czternastu wiosen nie ukończył, przyszło ukontentować się tylko wodą z kadzi, iże kapitan nie dopuszczał, bym wina kosztował, wyjąwszy kilka kropel dodawanych do zupy z chleba, którą spożywaliśmy na śniadanie (nie zawsze starczało na czekoladę), albo w chwilach, kiedy słabowałem, iżbym kolorów na powrót nabrał. Chociaż wyznam, że Caridad Cyganicha po kryjomu częstowała mnie pajdkami chleba w winie i cukrze namoczonymi, w których wielce za młodu gustowałem, po części i z tej przyczyny, że na zakup słodkości nie stawało grosiwa. Co zaś do wina, kapitan mawiał że zdążę jeszcze opić się go do nieprzytomności, jeśli takowa chęć mnie najdzie, a na to nigdy w życiu człowieka nie jest za późno. I dodawał, że wielu znanych mu przezacnych ludzi wykończył sok Bachusowy – a wszystko to powiadał w dużych odstępach, zakarbowali bowiem już sobie waszmościowie w pamięci, że mój kapitan był raczej milczkiem, bardziej wymownym, gdy nic zgoła nie mówił, niżli gdy się odezwał. Zaiste, gdym później sam żołnierzem zostałem, i nie tylko wtedy, zdarzyło mi się z winem miarę przebrać. Atoli zawsze tu byłem powściągliwy – miewałem gorsze ciągoty – nigdy wino nie stało się dla mnie niczym innym, jak jeno przelotną rozrywką i podniętą. Tuszę, że umiarkowanie takie kapitanowi Alatryste zawdzięczam, choć jego samego uczynki nie zawsze dawały owym kazaniom przykład. Nie zapomnę wszak jego długich a cichych pijaństw. W przeciwieństwie do innych, nie żłopał wiele, gdy wedle siebie miał kompanię, ani też nie wesołość do wypitki go popychała. Kiedy to czynił to z rozmysłem, pogrążony w spokojnej melancholii, a gdy wino jęło mu do łba uderzać, stronił od swych druhów. I ilekroć pamiętam go pijanego, to zawsze w samotność w naszej niewielkiej izbie przy ulicy Arcabuz, w domu z wyjściem na tył Gospody Pod Turkiem. Tkwił nieruchomo nad szklanicą, dzbanem albo flaszką. z oczami utkwionymi w ścianę, na której wisiały jego rapier, lewak i kapelusz, jak

gdyby kontemplował obrazy, jakie jeno on i uparte milczenia jego zdolne były przywołać. A ze sposobu, w jaki później zaciskał wargi pod swym żołnierskim wąsem, ośmielałem się wnioskować, że nie były to obrazy, jakie przywołuje człek z radością. I jeżeli prawdą jest, że każdy własne upiory za sobą wlecze, to zmory Diega Alatryste y Tenorio nie były ani przymilne, ani życzliwe. Z pewnością nie stanowiły zacnego towarzystwa. Ale, jak mi sam kiedyś powiedział, wruszając ramionami w tak zwykłym sobie geście, zrodzonym na poły z rezygnacji i z obojętności: „Każdy człek poczciwy może wybrać, gdzie i jak umrze, ale nikt wspomnień wybrać nie zdoła”.

Pod Świętym Filipem gwarno było jak co dnia. Wejście i taras przed kościołem od strony ulicy Mayor roiły się od ciżby, ludzie już to gawędzili w grupkach, już to przechadzali się, ze znajomymi się witając, już to wreszcie wspierali się łokciami o balustradę nad sławnymi schodami, by powozy i przechodniów dołem paradyjących podziwiać. Tam też Martín Saldaña się z nami pożegnał, długo atoli samiśmy nie pozostawali, rychło bowiem natknęliśmy się na Cyklopa Fadrique, aptekarza z Puerta Cerrada, i na Klechę Pereza, którzy również nadciągnęli tu z korridy, nie mogąc się jej nachwalić. To Klecha właśnie, jako że stał najbliżej, opatrzył był sakramentami niemieckiego gwardzistę, którego rogata bestia na tamten świat wyekspediowała. Teraz jezuita zdawał nam relację ze szczegółów zajścia, zaznaczając, że królowa, jako że i młoda, i Francuzka z pochodzenia, aż się na obliczu odmieniła w swej loży, król zaś pan nasz z galanterią ujął jej dłoń, by otuchy małżonce dodać. Wielu sądziło, że królowa opuści Dom Piekarzy, ona wszakże została, co z takim poklaskiem gawiedzi się spotkało, że gdy para monarsza po zakończeniu widowiska z siedzisk się uniosła, tłum jął brawo bić, na co Filip Czwarty, młodzian

przecie wytworny, odpowiedział łaskawie, odsłaniając oblicze na krótką chwilę.

Przy innej okazji wspominałem już waszmościom, że lud madrycki w początkach naszego wieku siedemnastego, lubo łotrowskiej i kpiarskiej natury, podchodził do owych gestów królewskich ze swoistą naiwnością. Z czasem i kolejnymi klęskami miejsce jej zajęły rozczarowanie, żal i zawstydzenie. Wszelako w epoce, gdy dzieje się niniejsza opowieść, król nasz był jeszcze młodzianem, a Hiszpania, lubo już zepsuciem przeżarta i ze śmiertelnymi ranami w wąpiach, jeszcze zachowywała pozory, blask i ogładę. Wciąż coś znaczyliśmy i trwało to nawet czas jakiś, do ostatniego żołnierza i ostatniego marawedi. Niderlandy nienawiścią nas darzyły, Anglię napawaliśmy bojaźnią, Turcy obchodzili nas z daleka, Francja kardynała Richelieu zgrzytała zębami, Ojciec Święty, przyjmując naszych posępnych, czarno odzianych ambasadorów, postępował z najwyższą rozważą, a cała Europa drżała na dźwięk kroków naszych starych regimentów – nadal mieliśmy wszak najlepszą piechotę na świecie – jakby w ich tarabany bił sam diabeł. I ja, którym i tamte, i następne po nich lata przeżył, klnę się waszmościom, że w owym czasie byliśmy naprawdę tak wielkim narodem, jak nigdy żaden. A kiedy ostatecznie zaszło słońce, które opromieniało Tenochtitlán, Pawię, Saint-Quentin, Lepanto i Bredę⁹ to czerwieni nabrało od naszej krwi, ale także od krwi naszych przeciwników, jak na ten przykład owego dnia pod Rocroi, kiedy to sztylet otrzymany od kapitana Alariste zostawiłem w ciele pewnego Francuza. Przyznacie waszmościowie, że cały ten wysiłek i męstwo winniśmy byli spożytkować ku stworzeniu zacnego kraju, nie zaś marnotrawić je na nedorzeczne wojny, łotrostwa, zepsucie, chimery i fanfaronady lekkoduchów. Nie mam ani krzty wątpliwości. Atoli ja tu opowiadam to, co było. Poza tym nie wszystkie narody są na tyle mądre, by same mogły wybrać swój pożytek

lub swój los, ani na tyle cyniczne, by później wybielać się przed Historią albo przed samym sobą. My zaś byliśmy dziećmi swego wieku: nie prosiliśmy się, by na świat przyjść i żyć w owej Hiszpanii, często mizernej, choć czasami wspaniałej – tak zawyrokowało przeznaczenie. Aleśmy ów wyrok przyjęli. I taką to nieszczęsną ojczyznę – albo jak tam diabli zechcą ją nazwać – noszę w sercu, w znużonych oczach i w pamięci, zali tego chcę czy nie.

Owa pamięć moja wyławia z przeszłości obraz mości Francisca de Quevedo, stojącego u podnóża schodów Świętego Filipa – jakby to było wczoraj. Odziany jak zawsze surowo, cały w czerni, wyjąwszy białą krochmaloną krezę i czerwony krzyż Zakonu Świętego Jakuba na kaftanie z lewej strony piersi naszyty. I lubo popołudniowe słońce prażyło, na ramiona narzucił był długi płaszcz, chromotę skrywający. Ciemny strój ów unosił się nieco z tyłu, wedle pochwy rapiera, na rękojeści którego poeta wspierał niedbale dłoń. Rozprawiał z kilkorgiem znajomych, kapelusz w garści trzymając, a tymczasem chart pewnej damy kręcił się nieopodal, aż nareszcie otarł się o jego okrytą rękawiczką prawicę. Dama stała u stopnia powozu, także gawędząc z paroma kawalerami, a rzec trzeba, że była nadobna. I gdy tak pies w tę i nazad się kręcił, mość Francisco pogładził go po głowie, posyłając jednocześnie jego pani krótkie a uprzejme spojrzenie. Chart podbiegł ku niej niczym posłaniec pieśczętę przynoszący, dama zaś odpowiedziała uśmiechem i leciutkim ruchem wachlarza, na co mość Francisco skłonił głowę i nastroszonego wąsa kciukiem i palcem wskazującym podkręcił. Pan de Quevedo, poeta, wyborny szermierz i jeden z najtęższych umysłów stołecznych, w czasach, gdym go znał jako druha kapitana Alatryste, słynął także z galanterii i znaczną estymą wśród dam się cieszył. Niewzruszony, bystry, zjadliwy, mężny, wytworny nawet w

chromocie swej, człek pocziwy, lubo niełatwego usposobienia, potrafił równie dobrze rywala zniszczyć dwoma czterowierszami, jak i celnym pchnięciem zadany na stoku za Bramą Żuławną, serce damy zjednywał sobie już to uroczymi drobiazgami, już to sonetem, otaczał się zaś filozofami, doktorami i uczonymi, którzy sami lgnęli doń, udatnymi konceptami i towarzystwem jego przyciągani. I nawet zacny mość Miguel de Cervantes, największy geniusz wszech czasów (choćby odszczepieńcy Anglicy w głos kwilili o tym swoim Szekspirze), ów nieśmiertelny Cervantes, już po prawicy Bożej siedzący od lat siedmiu, kiedy to stopę w strzemię wsunął i w ostatnią chwalebłą drogę się udając, duszę oddał Temu, który go w nią wyposażył – owóz i on mości Francisca wspomniał w pamiętnych strofach jako wyśmienitego poetę i kawalera pełną gębą:

*Bicz bezlitosny na miernych poetów,
On siać nam będzie z Parnasu kaduki,
Co światło wskażą i przetrzepią grzbiety¹⁰*

Owego popołudnia pan de Quevedo stał, jak to miał we zwyczaju, pod Świętym Filipem, a tymczasem cały Madryt paradował ulicą Mayor po pokazie byków (za którymi z kolei poeta nasz nie przepadał). Wszelako gdy tylko ujrzał kapitana Alatryste, który właśnie przechadzał się mimo w towarzystwie Klechy Pereza, Cyklopa Fadrique i moim, nadzwyczaj grzecznie pożegnał swoich rozmówców. W najśmielszych myślach anim podejrzewał, jak srodze spotkanie owo pogmatwa nam los, wystawiając na niebezpieczeństwo życie nas wszystkich, a moje osobliwie, ani też jak Przeznaczenie łączy ludzkich losów i czynów igraszkę sobie robi. I gdyby tak ktoś powiedział wówczas, kiedy mość Francisco zbliżał się do nas uprzejmie, że tajemnica nieboszczki owego ranka znalezionej będzie miała

coś wspólnego z nami, uśmiech, z jakim kapitan Alatryste powitał poetę, zamarłby mu na wargach. Nigdy atoli nie wiadomo, co kości rzucone pokażą, a te zawsze już się toczą, nim ktokolwiek zmiarkuje, co się święci.

– Muszę waszmości o przysługę prosić – ozwał się pan de Quevedo.

Pomiędzy mości Franciskiem a kapitanem Alatryste słowa takie czystą formalnością były, czemu natychmiastowy wyraz dało spojrzenie mego pana na poetę skierowane, w którym dostrzec można było cień wyrzutu. Jużśmy byli pożegnali jezuitę i aptekarza i teraz przechadzaliśmy się wzdłuż krytych straganów wokół Fontanny Pomyślnego Trafu na Puerta del Sol poustawianych. Przy balustradzie wodotrysku niejeden próżniak siedział, zasłuchany w szemranie wody lub zapatrzonej we fronton kościoła i Szpitala Królewskiego. Obydwaj druhowie szli przede mną ramię w ramię, wśród ciżby w niewyraźnym świetle przedwieczornym się przemieszczając, i jako żywo mam wciąż w pamięci zakarbowany ciemny strój poety oraz kapitański płaszcz na ramieniu złożony, skromny, bury kaftan, wąski ozdobny kołnierz, obcisłe pludry i pas z zatkniętymi zań rapierem i lewakiem.

– Aż nadto jestem ci dłużny, mości Francisco, żebyś tu jeszcze słodczy dokładał – odparł Alatryste. – Bądź więc wasza miłość łaskaw od razu przejść do drugiego aktu.

Odpowiedzią był cichy śmiech poety. Niewiele czasu wstecz, nieopodal i właśnie w trakcie drugiego aktu komedii Lopego doszło do niecej potyczki, kiedy to w sukurs kapitanowi przyszedł był mość Francisco i siekł ostro niczym grad. Zdarzyło się to podczas awantury z dwoma Anglikami.

– Rzecz dotyczy kilku przyjaciół – rzekł w końcu mość Francisco. – Ludzi, których mam w poważaniu. Chcą z waszmością rozmawiać.

Tu obrócił się, by sprawdzić, zali ich pogawędce się przysłuchują. Uspokoił się, zmiarkowawszy, że błędę wzrokiem po placu – ja atoli pilne baczenie na ich słowa dawałem. W tamtym Madrycie i w owej Hiszpanii przytomne pachole prędko dojrzewało, a ja, lubo niedużo wiosen liczyłem, zdołałem już pojąć, że kto czujny na wszystko dookoła, biedy sobie nie napyta, a przeciwnie zgoła. Gorzej w życiu wychodzi nie ten, kto wie, ale ten, kto pokazuje, że wie. Jeśli języka za zębami nie trzymasz i okaże się, że wiesz za dużo, większe ryzyko ponosisz, niżli gdybyś udawał nieboraka, co to wie za mało. Lepiej bowiem znać melodię, nim rozpocznie się taniec.

– To mi pachnie jakąś robotą – ozwał się kapitan.

Rzecz jasna, owijał w bawełnę. Robota w przypadku Diega Alatryste oznaczała zajęcie w ciemnym zaułku, w szczęku głowni. Przeoranie oblicza, obcięcie uszu czyjemuś wierzycielowi albo gachowi jakiejś zamężnej niewiasty, strzał znienacka lub piędz stali toledańskiej w gardzieli zatopiona. Wszystko to cenę swą miało i odbywało się podług zasad. Na tymże placu można było zdybać z tuzin specjalistów od takiej właśnie roboty.

– Tak – skinął głową poeta, poprawiając sobie szkła na nosie. – I to robotą sowicie opłaconą.

Diego Alatryste obrzucił rozmówcę przeciągłym spojrzeniem. Dłuższą chwilę przypatrywałem się jego orlemu nosowi pod skrzydłem kapelusza, ozdobionego podniszczonym piórem, jedynym barwnym elementem kapitańskiego stroju.

– Najwidoczniej dziś znajdujesz waszmość upodobanie w tym, by mnie dręczyć, mości Francisco – rzekł nareszcie. – Azali mam wyświadczyć przysługę w waszmości imieniu?

– Nie o mnie tu chodzi, lecz o ojca i jego dwóch młodych synów. O poradę się do mnie zwrócili, jako że w tarapaty popadli.

Ze szczytu fontanny, w lazurycie i alabastrze rzeźbionej, popatrywała na nas Mariblanca, a u jej stóp woda pluskała żwawymi strumykami. Z nieba spływały ostatnie promienie słońca. U wniścica do zamkniętych już kramów bławatnych, sukiennych i księgarskich stali na zuchwale rozstawionych szeroko nogach żołnierze i zawadiaki o groźnym wyglądzie, ukazując swe wąsiska tudzież okazałe rapiery i rozprawiając w niewielkich grupkach. Inni posilali się przy lichych straganach z jadłem i napitkiem, porozkładanych naprędce wokół placu, po którym szwendali się już ślepcy, żebracy i ulicznice podlejszego autoramentu. Śród owych żołnierzy Alatryste miał i swoich znajomków, ci więc pozdrowili go z daleka. Odpowiedział im niedbałym gestem, do kapelusza dłoń przytykając.

– Czy waszmość jesteś zamieszany? – zagadnął.

Mość Francisco minę miał niewyraźną.

– Po części. Atoli, ze względów, jakie rychło pojmiesz waszmość, muszę dojść w tej sprawie do końca.

Minęliśmy kolejną grupę oczajduszów o nastroszonych wąsach i podstępnych wejrzeniach, wałęsających się wedle balustrady przy Fontannie Pomyślnego Trafu. Zarówno ten plac, jak i pobliska ulica Montera były miejscem często odwiedzanym przez opryszków i zabijaków, bójki nie należały tu do rzadkości, przeto wrota kościoła stały zawarte, by podziurawieni do krwi zbiegowie nie mogli chronić się u ołtarza przed ręką sprawiedliwości. Zwyczaj ów nazywano ironicznie „uciekaniem się” albo „skokiem do kruchty”.

– Ryzyko?

– Znaczne.

– Bić się trzeba, jak tuszę?

– Oby nie. Są wszelako większe niebezpieczeństwa niżli prosta rąbanina.

Kapitan przeszedł w milczeniu kilka kroków, wpatrując się w kapitel klasztoru Chrystusa Zwycięskiego ponad wąskimi domami w głębi placu widocznego, tam, gdzie rozpoczynał się trakt Świętego Hieronima. Nie sposób było odbyć w tym mieście choćby najmniejszej przechadzki, nie natrafiając na jakiś kościół.

– A dlaczego ja? – zapytał w końcu.

Mość Francisco zaśmiał się znów po cichu, jak uprzednio.

– Do kroćset – powiedział. – Bo jesteś waszmość mym przyjacielem. A ponadto nieskoryś do śpiewania, choćby dyrygowali waszmością pospołu i sędzia, i pisarz, i kat.

Kapitan w zadumie przesunął dwoma palcami po szyi tuż nad kołnierzem.

– Robota sownie opłacona, rzekł waszmość.

– Otóż to.

– W waszmościnej intencji?

– Nie inaczej. Ja sam zabłysnąć mogę najwyżej na stosie.

Alatriste wciąż się po gardle gładził.

– Ilekroć kto mi proponuje dobrze płatną robotę, mam głowę katu podłożyć.

– Tak też jest i w tym przypadku – przyznał poeta.

– Na rany Chrystusa, przyjemne perspektywy przede mną roztaczasz.

– Okłamywać waszmości byłoby występkiem.

Kapitan obrzucił Queveda przeciągłym spojrzeniem.

– A czemuż to, mości Francisco, w takie terminy się pakujesz? Właśnie teraz, gdy król po twym długim zatargu z diukiem de Osuna zdaje się patrzeć na waszmości łaskawszym okiem...

– Otóż i do sedna docieramy, druho mój – poeta sposepniał. – Nie do pozazdrozczenia taki los niefortunny. Atoli pewnych spraw ni zobowiązań

nie unikniesz... Stawką w tej grze jest mój honor.

– I waszmościna głowa na dokładkę.

Teraz to mość Francisco popatrzył na Diega Alatryste znacząco.

– Oraz głowa waszmości, kapitanie, jeśli postanowisz mi w tej awanturze towarzyszyć.

Owo „jeśli postanowisz” było absolutnie zbędne, o czym obydwaj aż nadto dobrze wiedzieli. Kapitan wszakże wciąż uśmiechał się w zadumie, rozejrzał w obydwie strony, ominął leżącą na ziemi stertę odpadków i skinął niedbale pewnej nadmiernie wydekoltowanej niewieście, która oko doń była puściła zza kontuaru swego straganu. Wreszcie wzruszył ramionami.

– A dlaczegóż miałbym to zrobić?... Wkrótce rusza do Flandrii mój stary regiment, a i ja sam często rozważam, zali klimatu nie zmienić.

– Dlaczego miałbyś waszmość to zrobić?... – mość Francisco gładził się zamyślony po wąsach i bródce. – Klnę się, że pojęcia nie mam. Może dlatego, że gdy przyjaciel jest w potrzebie, to i bić się przychodzi.

– Bić się?... Dopiero co wyraziłeś waszmość przekonanie, że do żadnej bijatyki nie dojdzie.

Wbił w poetę uważne spojrzenie. Nad Madrytem zmrok już władzę na niebie przejmował i pierwsze cienie wyszły nam naprzeciw z lichych uliczek dochodzących do placu. Wszystko wokół mętniało z wolna, przedmioty i rysy przechodniów. Na jednym ze straganów rozblęła latarnia, a jej światło zagrało w szklach mości Francisca pod rondem kapelusza.

– To prawda – rzekł poeta. – Jednak gdyby coś poszło nie tak, akurat krzty fechtunku nie powinno w tej sprawie zabraknąć.

I znów rozległ się jego cichy, pozbawiony wesołości śmiech. Wnet zawtórował mu podobny śmiech kapitański, po czym żaden z nich nie wyrzekł już ani słowa. A ja, przejęty wszystkim, com właśnie usłyszał, i

rysującym się przede mną widokiem na kolejne niebezpieczne przygody, postępowalem krok w krok za ich milczącymi, ciemnymi postaciami. Wkrótce też mość Francisco pożegnał się i kapitan Alatryste przez chwilę stał bez ruchu w półmroku. Nie śmiałem naruszyć jego samotności najlżejszym gestem czy słowem. On zaś trwał tak do chwili, gdy z wieży kościoła Chrystusa Zwycięskiego dziewięć razy dzwon się odezwał.





II. SZYJA I PĘTLA.



Przyszli rankiem nazajutrz. Posłyszałem ich kroki na schodach z podwórza wiodących, a gdym poszedł drzwi otworzyć, stał już przy nich kapitan w samej koszuli i z marsem na czole. Zmiarkowałem, że nocą musiał pistolety czyścić, bo jeden z nich, nabity i gotów do strzału, leżał na stole nieopodal belki z gwoździem, z którego zwisał jego pas, rapier i lewak.

– Przejdź się nieco, Íñigo.

Wyszedłem posłusznie do sieni, gdzie natknąłem się na mość Francisca, który właśnie pokonywał ostatnie stopnie wspólnie z trzema panami, co raczej sprawiali wrażenie obcych. Spostrzegłem, że nie przyszli od ulicy Arcabuz, ale od podwórza, które łączyło nas z gospodą Caridad Cyganichy i dalej z ulicą Toledo. Ta droga była bardziej uczęszczana, a przez to i mniej krępująca. Mość Francisco klepnął mnie przyjaźnie, nim wszedłem w nasze progi, ja zaś ruszyłem galerią, bacznie przyglądając się nieznanym. Jeden z nich, mocno już posiwiały, był człkiem w sile wieku, a towarzyszyli mu dwaj młodzieńcy, liczący osiemnaście i dwadzieścia kilka wiosen, obaj o pocziwym wejrzaniu i zgoła do siebie podobni. Może braćmi byli albo krewnymi bliskimi. Wszyscy odziani w stroje podróżne, nie wyglądali na tutejszych.

Klnę się waszmościom, żem zawsze potrafił dobre obyczaje i dyskrecję zachować. Nie mam – i także wówczas nie miałem – szpiegierskiej natury. Atoli gdy biegnie ci trzynasty rok żywota, świat cały zda ci się zapierającym dech przedstawieniem, z którego ani okruszka nie chcesz strwonić. Do tego dołożyć trzeba słowa pochwycone w locie poprzedniego wieczoru, jakie wymienili pan de Quevedo i kapitan Alatryste.

Owóż zatem, w imię rzetelności mej opowieści, przyznam się, żem wówczas okrążył galerię nad podwórzem biegnącą, wspiąłem się na dach z całą mą pacholęcą zwinnością i zsunąwszy się po okapie ku oknu, znalazłem się na powrót w naszym mieszkanku, gdzie zaraz przycupnął jak myszka w mojej izdebce. Tam przywarłem do szpary w ścianie we wnęce po szafie, skąd mogłem widzieć i słyszeć wszystko, co działo się obok. Starając się najmniejszego szmeru nie czynić, łowiłem chciwie najdrobniejsze szczegóły sprawy, w której, jeśli wierzyć słowom mości Francisca, zarówno on sam, jak i Diego Alatryste ryzykowali głową. Jednego wszelako, do kroćset, nie wiedziałem – że i mnie przyjdzie zaryzykować własną.

– Napaść na klasztor – podsumował kapitan – zagrożona jest karą śmierci.

Mość Francisco de Quevedo skinął głową bez słowa. Zaraz po wnijsciu przedstawił był swych towarzyszy, po czym pozwolił im mówić, samemu w cień się usuwając. Dalszą rozmowę poprowadził ów starszy mężczyzna. Siedział przy stole, na którym znajdowały się jego kapelusz, karafa wina, którego żaden z obecnych nie tknął, i pistolet kapitana. I teraz gość znów przemówił: – Niebezpieczeństwo jest oczywiste. Inaczej wszakże córki mej nie ocalimy.

Koniecznik chciał być się przedstawić z imienia, gdy mość Francisco dokonywał prezentacji, lubo Diego Alatryste napomknął, że nie jest to konieczne. Wiekowy gość, chudy szlachcic walencki o siwych włosach i brodzie, zwał się Vicente de la Cruz i był w stolicy przejazdem. Z pewnością przekroczył już był sześćdziesiątą wiosnę, atoli członki wciąż żywe miał, a chód rześki. Synowie jego przypominali go wielce, choć starszy z nich ledwie dwadzieścia pięć lat kończył. Zwali się Jerónimo i Luis, ten drugi był młodszy, a choć niespełna osiemnaście wiosen liczył, statecznie się nosił. Wszyscy przybyli odziani skromnie, w stroje podróżne i myśliwskie: ojciec miał na sobie czarną tunikę, synowie zaś sukienne kaftany – niebieski i ciemnozielony, ich pendenty i oporządzenie z łosiowej były skóry. Przybysze rapiery i lewaki nosili przypasane, włosy obcięte krótko, a w oczach ich gościła, zapewne rodzinna, prawość.

– Kim są ci mnisi? – spytał Alatryste.

Stał oparty o ścianę z belek, kciuki za pas zatknął, jeszcze niezdecydowany, jak winien zareagować po tym, co był usłyszał. Osobliwie zaś przy tym nie trzem nieznanym, ale panu de Quevedo się przyglądał, jak gdyby zapytywał go, w jakież to piekło tym razem przyjdzie mu się tarabanić. Poeta tymczasem, wsparty o parapet, skwapliwie lustrował okoliczne dachy, udając, że cała sprawa nie jego dotyczy. I raz na jakiś czas jeno odwracał się ku kapitanowi i beznamiętne spojrzenie mu posyłał, jakby nigdy nic, albo z nadzwyczajną uwagą oglądał sobie paznokcie.

– Brat Juan Coroado i brat Julián Garzo – odrzekł mość Vicente. – Oni to władzę nad monasterem sprawują. A siostra Josefa, przeorysza, tylko ich ustami przemawia. Pozostałe mniszki albo jej stronę trzymają, albo żyją w trwodze.

Kapitan Alatryste znów na mość Francisca de Quevedo wzrok podniósł, tym razem atoli ich spojrzenia się spotkały. Przykro mi – zdawały się

mówić oczy poety. – Tylko waszmość możesz mi w tej kabale pomóc.

– Brat Juan, dworski kapelan – ciągnął mość Vicente – przez hrabiego de Olivares został wywyższony. Ojciec jego, Amândio Coroado, własnym sumptem ufundował klasztor Benedyktynek Sakramentek, jest ponadto jedynym bankierem portugalskim, z jakim faworyt królewski się liczy. Teraz, gdy wojna we Flandrii za pasem, a Olivares usiłuje pozbyć się Genuńczyków, Coroado to najlepsza droga, by pieniądze z Portugalii wyciągnąć... Oto czemu syn jego cieszy się absolutną bezkarnością tak za murami klasztoru, jak i na zewnątrz.

– Waszmość ciężkie oskarżenia wytaczasz.

– I aż nadto rzetelnie uzasadnione. Ów Juan Coroado to nie żaden nieokrzesany, łatwowierny frater, jakich sporo uświadczysz, nie jest nawiedzonym fanatykiem ani nowicjuszem. Wiosen liczy trzydzieści, pieniędzy ma w bród, pozycję na Dworze, gładkie oblicze... To zbereźnik, co z monasteru prywatny seraj uczynił.

– Jest na to bardziej akuratne słowo, ojczy – wtrącił młodszy z braci.

Głos tak mu drżał, że nieledwie w bełkot przechodził, i widowym było, że młodzieniec miarkuje słowa jedynie przez synowski respekt. Mość Vicente de la Cruz zbeształ go surowo: – Być może. Wszelako, skoro twoja siostra tam przebywa, nie waz się go wypowiadać.

Chłopak pobladł na licu i głowę schylił, brat zaś jego starszy, co milczał i większe panowanie nad sobą wykazywał, położył mu jeno rękę na ramieniu.

– A drugi duchowny?

Światło, przez okno mimo mości Francisca wlatujące, padało na jedną stronę twarzy kapitana, co tym bardziej blizny na niej uwydatniało: i tę wedle lewej brwi, i drugą, świeższą dużo, pośrodku czoła u nasady włosów, pamiątkę po starciu na podwórku Principe. Trzecia widoczna szrama,

równie niedawno lewakiem zadana, przecinała wierzch lewej dłoni kapitańskiej od czasu zasadzki przy Bramie Duchów. Pod szatą zaś nosił jeszcze cztery ślady po ranach, z których ostatniej, spod Fleurus, zwolnienie z wojska zawdzięczał i niejedną nieprzespaną noc.

– Brat Julián Garzo to spowiednik – odrzekł mość Vicente de la Cruz. – I też niezgorszy zeń szelma. Wujka ma w Radzie Kastylii... Dzięki temu jest nietykalny, jak i tamten.

– A zatem dwóch niebezpiecznych chwatów.

Mość Luis, młodszy z synów, co z trudem gniew poskramiał, zacisnął pięść na rękojeści rapiera: – Lepiej wasza miłość powiedz: dwóch nędzników, dwie kanalie.

Od hamowanej złości z trudem głosu mógł dobyć, przez co jeszcze młodszym się zdawał, pomimo jasnego, niegolonego nigdy puszku, co delikatnym cieniem nad górną wargą mu się kładł. Ojciec na powrót surowym spojrzeniem go skarcił i podjął przemowę: – Sęk w tym, że mury u benedyktynek są dość grube, by rzecz całą w ciszy utrzymać. Kryją się za nimi kapelan, co swą lubieżność nieszczerym uniesieniem mistycznym przykrywa, łatwowierna i głupia przeorysza oraz kongregacja nieszczęśnic, którym zda się, że albo wizji niebiańskich doznają, albo demon w swe posiadanie je bierze. – Sędziwy człek szarpał brodę podczas opowieści i znać było, że wiele trudu kosztuje go, by rzecz całą objaśnić z zachowaniem stateczności i godności. – Wmawiają im nawet, że oddanie kapelanowi i miłość doń to istotny krok w stronę Boga i że niektóre nieobyczajne pieszczoty i postęпки, nakazane przez przewodnika duchowego, prostą drogą ku doskonałości prowadzą.

Diego Alatryste nie wydawał się tym zaskoczony. W Hiszpanii naszego arcykatolickiego monarchy Filipa Czwartego wiara była na ogół szczerą, ale jej zewnętrzne przejawy częstokroć postać hipokryzji u możnych,

przesądów zaś pośród gminu przybierały. Do tego dodam, że znaczną część kleru stanowili już to ciemni fanatycy, prostacka masa próżniaków, co to przed pracą albo służbą wojskową czmychnęli, już to ambitni i chciwi honorów bezwstydnicy, bardziej nabijaniem kabzy niż dostępowaniem chwały Bożej zatrudnieni. Biedacy płacili podatki, od których bogacze i duchowni byli zwolnieni, juryści spierali się natomiast, zali nietykalność hierarchii była prawem od Boga danym, czy może nie. Przy tym niejedni nadużywał godności kapłańskiej, żeby własne niskie zachcianki i interesy zadowolić. Tak tedy krom duchownych niewątpliwie bez skazy i bogobojnych trafiali się również łotrzy, chytrusy i złoczyńcy. Księża z konkubinami i dziećmi, spowiednicy nakłaniający niewiasty do czynów lubieżnych, mniszki z gachami, miłostki, schadzki i skandale za murami klasztorными – to był nasz chleb powszedni, lubo z komunią niewiele wspólnego mający.

– I nikt sprawy nie zdał o tym, do czego tam dochodzi?

Mość Vicente de la Cruz skinął głową z goryczą.

– Ja sam. Wysłałem wręcz szczegółowy memoriał do hrabiego de Olivares. Alem odpowiedzi nie otrzymał.

– A co na to inkwizycja?

– Jest powiadomiona. Rozmawiałem z członkiem rady Oficjum. Przynależał wysłuchać mych próśb i wiem, że posłał do monasteru dwóch trynitarzy z inspekcją. Wszelako ojcowie Coroado i Garzo, przy walnym orędownictwie przeoryszy, zdołali łącznie przybyszy przekonać, że wszystko jest w należytych porządku, przeto ci pożegnali się nad wyraz uprzejmie.

– Co musi zdumienie budzić – włączył się niespodzianie mość Francisco de Quevedo. – Inkwizycja drze z Olivaresem koty i zgrabny to pretekst, by faworytowi co nieco krwi napsuć.

Przyjezdny walencjanin wzruszył ramionami.

– Tak i my mniemaliśmy. Oni atoli uważają, że zbyt wysoko uderzamy w sprawie jakiejś nowicjuszki. Na domiar wszystkiego przeorysza, siostra Josefa, cieszy się na Dworze sławą osoby wielce świętobliwej: dzień w dzień zanosi szczególne modły i zamawia mszę w intencji, by tak faworyta, jak i parę królewską niebiosa męskim potomstwem obdarzyły. Tym zaskarbiła sobie respekt i autorytet, lubo w rzeczywistości ledwie rudymenta nauki pobrawszy, prostą jest niewiastą, której manieri i ogłada kapelana na amen mózg wysączyły. Rzecz dziwić nie powinna, skoro każda szanująca się przeorysza musi mieć co najmniej pięć stygmatów i świętą woń roztaczać... – Przybysz uśmiechnął się z gorzką wzgardą. – Jej mistyczny pociąg, żądza błyszczenia, sny o potędze i mocne wpływy sprawiają, że sama widzi w sobie drugą świętą Teresę. Poza tym stary Corrado szczerze sypie dukatami i klasztor Sakramentek jest dziś najzamożniejszym monasterem w Madrycie. Niejedna rodzina z chęcią umieściłaby tam swe córki.

Podśluchiwałem przez szparę, atoli wcalem się tak nie zdumiewałem pomimo młodego wieku. Nadmieniałem już byłem waszmościom przy jakiejś sposobności, że pacholęta chyżo dojrzewały w naszej łotrowskiej, niebezpiecznej, burzliwej i pełnej uroku stolicy. Śród ludu religia i nieobyczajność szły ze sobą w parze, nie dziwota zatem, że niejeden Spowiednik nie tylko nad duszą, ale i nad ciałem swych podopiecznych mniszek władzę sprawował, czego skutki bywały wielce gorszące. Co się zaś tyczy wpływów duchowieństwa, były one niezmierne. Rozmaite zakony już to wadziły się ze sobą, już to alianse zawiązywały, kapłani, bywało, wzbraniali wręcz owieczkom swym spowiadania się innym księżom, przymuszali ich do zrywania więzów rodzinnych, a nawet do nieposłuszeństwa wobec władzy, jeśli takie akurat mieli upodobanie. Nie należeli wreszcie do rzadkości duchowni fircykowie, co chwając Pana,

uciekali się do języka mistyczno-miłosnego albo pod pretekstem posługi duchowej folgowali zgoła ziemskim namiętnościom i ciągotom, ambicjom pospolitej chuci. Postać duchownego, co w konkury staje, była naówczas powszechnie znanym i częstym obiektem krotochwil, jako to w dosadnych strofach Jaskini Melisa:

*Gdy o spowiedź prosi nadobna siostra I służebnica Boża, Ty czyn to jako mąż niewieście w łożu, Niech one zaś pokłony Biją, bo niby pędzisz z nich demony.*¹¹

Cóż się dziwić, skoro pod płaszczem wszechobecnego zabobonu i dewocji skrywały się zwyczajne łotrostwa, a my, Hiszpanie, zbieranina wszelakiego autoramentu, źle karmieni i jeszcze gorzej rządzeni, czuliśmy się jakoby na skraju przepaści usadzeni, szukając w religii przy powszechnym zniechęceniu i rozczarowaniu nierzadko pociechy, a częściej prostej, bezwstydnjej korzyści doczesnej. Sytuacji nie polepszały rzesze księży i mniszek bez nijakiego powołania (a za mojego pacholeństwa z górą dziewięć tysięcy klasztorów działało), będących owocem zubożenia rodzin szlacheckich, co to nie mogąc córek godnie za mąż wydać, nakłaniały je do wnijsia w stan zakonny albo wręcz zamykały je siłą w murach monasterów w następstwie jakiegoś rozwiązłego postępku. Pęczniały tedy klasztory od niewiast, które nie Duch Święty tam poprowadził. O nich to z pewnością pisał mość Luis Hurtado de Toledo, autor – a ściślej mówiąc tłumacz – *Młodzika pielgrzyma z Anglii*, w takich oto własnych i równie sławetnych strofach:

*Synom ziemię zostawiają,
Nam zaś, choć my też ich krew,*

*Zgoła nic, jeszcze nas łają
Albo w miejscu zamykają,
Które Boży budzi gniew.¹²*

Mość Francisco de Quevedo wciąż przy oknie trwał, trzymając się nieco na uboczu i przypatrując się kotom, które po dachach wałęsały się niczym rozpuszczeni wolno żołnierze. Kapitan Alatryste zawiesił na nim swe spojrzenie, po czym na powrót ku mości Vicentemu się zwrócił: – Nie pojmuję, jakim trafem waszmościna córka tam się znalazła.

Sędziwy mąż zwlekał z odpowiedzią. To samo światło, które tak blizny kapitańskie uwydatniało, gubiło się teraz w przecinającej mu czoło pionowej zmarszczce, pogłębiającej wyraz udręki na obliczu gościa.

– Elvira przyjechała do Madrytu z dwiema innymi nowicjuszkami, gdy tylko ufundowano sakramentki, będzie z rok temu. Towarzyszyła im pewna dama, niewiasta zaopatrzona w najlepsze referencje, która miała się nimi opiekować do czasu, gdy śluby złożą.

– I co rzecze owa dama?

Nastała cisza tak gęsta, że mógłbyś bułatem kroić. Mość Vicente de la Cruz spojrział na swą o blat opartą prawicę, chudą, sękatą i wciąż pewną. Markotni synowie jego wbili wzrok w ziemię, jakby było tam coś interesującego tuż przed czubkami ich butów. Zmiarkowałem, że starszy z nich, mość Jerónimo, ten bardziej oschły i powściągliwy, wejrzenie miał skupione i twarde, jakiem już był dostrzegł takż u innych ludzi, którzy respekt mój wielki budzili. Kiedy jedni chełpią się, żelazem dzwoniąc o meble i głośno rozprawiając, taki raczej siedzi cicho w kącie domu gry, baczenie wokół daje, żadnego szczegółu nie uroni, pary z gęby nie puści, aż raptem jak nie wstanie z licem ani trochę nieodmienionym, podchodzi do ciebie i wali z bliska z pistoletu albo głównię rapiera w tobie zatapia. Toż i

kapitan Alatryste z tego był miotu, a ja, dla częstej obserwacji, z wolna rozpoznawałem już ten gatunek.

– Nie wiemy, gdzie dama przebywa – ozwał się wreszcie ojciec. – Znikła dwa dni temu.

I znów cisza zapadła, tym razem jednak mość Francisco porzucił obserwację dachów i kotów. Jego nad wyraz melancholijne spojrzenie napotkało wzrok kapitana.

– Znikła – powtórzył mój pan w zadumie.

Synowie mości Vicentego nadal podłogę oglądali, słowa nie mówiąc. Po chwili rodzic ich tępo skinął głową. Ciągłe spoglądał na swą dłoń, leżącą nieruchomo na stole obok kapelusza, karafy z winem i pistoletu kapitana.

– Otóż właśnie – rzekł.

Mość Francisco de Quevedo, od okna się oderwawszy, zrobił kilka kroków po izbie, by na koniec stanąć przed Diegiem Alatryste.

– Podobno – mruknął – stręczyła dla brata Juana Coroado.

– I znikła.

Przez dłuższą chwilę kapitan i poeta mierzyli się wzrokiem w kompletnym milczeniu.

– Tak powiadają – przytaknął wreszcie mość Francisco.

– Pojmuję.

Ja sam pojmowałem, w kryjówce swej siedząc, lubo pojęcia nie miałem, jaki czart zaciągnął w tę szpetną historię mość Francisca. Co do reszty, dumałem, że sakiewka znaleziona przy uduszonej niewieście w lektyce (cośmy od Martína Saldañi wiedzieli) może wszelako nie wystarczyć na msze do zbawienia jej duszy niezbędne. Przywarłem do szpary szeroko otwartym okiem i wpatrywałem się oszołomiony w mość Vicentego de la Cruz i jego synów, coraz większego respektu do nich nabierając. Już nie zdawał mi się ani on tak stary, ani oni tak młodzi. Przecież – pomyślałem,

dreszcze czując – rzecz dotyczy ich siostry i córki. Ja też miałem siostry hen, w Oñate, i sam nie wiem, do czego byłbym zdolny dla ich ratowania.

– Teraz – ciągnął ojciec – przeorysza utrzymuje, że Elvira całkiem się świata wyrzekła. Już osiem miesięcy, jak odwiedzać nam jej nie pozwalają.

– Dlaczego nie uciekła?

Na obliczu mości Vicentego malowała się bezradność: – Ona nie jest panią swego losu. A mniszki i nowicjuszki szpiegują się nawzajem i donoszą jedne na drugie... Wystawcie sobie waszmościowie: wizje, egzorcyzmy, dziewczki idące do spowiedzi, która odbywa się za zawartymi drzwiami pod pretekstem przepędzania demonów, zazdrość, zawiść, swary... – Spokój na twarzy mówiącego ustąpił miejsca cierpieniu. – Niemal wszystkie siostrzyczki są młode, jak Elvira. I która wie, że ani demon jej nie posiadał, ani wizje niebiańskie na nią nie zstąpiły, wymyśla je na poczekaniu, byle tylko uwagę na się zwrócić. Do tego głupia, bezwolna przeorysza, oddana kapelanowi, którego uważa za człeka świętego. Brat Juan zaś i jego akolita wędrują od celi do celi i dogadzają sobie ze wszystkimi.

– Widziałeś się wasza miłość z kapelanem?

– Raz. I jak mi życie króla naszego miłe, gdybym się w klasztornej rozmównicy nie znajdował, zgładziłbym go na miejscu – wzburzony mość Vicente de la Cruz uniósł leżącą dotąd na stole prawicę, jakby żałował, że krwią wrażą nie spływa. – Na mą siwiznę nie bacząc, w oczy mi się śmiał z najwyższym zuchwalstwem. Ponieważ nasza rodzina...

Tu urwał z widocznym bólem w oczach i na synów zerknął. Młodszemu krew zgoła z twarzy odpłynęła, starszy zaś unikał wzroku ojca i siedział nachmurzony.

– Prawdę mówiąc – ciągnął ich ojciec – czystość naszej krwi nie jest całkowita... Mój pradziad był przechrztą, mój dziad zaś miał kłopoty z

inkwizycją. I tylko dzięki pieniądzom zdołał jakoś skórę ocalić. Teraz macza w tym palce nikczemnik stary Coroado. Grozi, że ją oskarży o utajone judaizowanie... A nas wraz z nią.

– Co jest nieprawdą – włączył się młodszy z synów. – Lubo mamy to nieszczęście, że nie pochodzimy ze starych chrześcijan, historia naszej rodziny jest nieposzlakowana. Dowieść tego może fakt, że Pedro Téllez, diuk de Osuna¹³ zaszczycił ojca mego swym zaufaniem, gdy ten pełnił przy nim służbę na Sycylii...

Zamilkł raptownie, a bladość lica jego ustąpiła miejsca ciemnej purpurze. Ujrzałem, jak kapitan Alatryste wpatruje się w mość Francisca. Teraz wszystko było jasne. Diuk de Osuna, pełniący niegdyś urząd wicekróla Sycylii, a następnie Neapolu, przyjaźnił się był z panem de Quevedo, a gdy powinęła mu się noga, pociągnął poetę za sobą. Widowym było, że stąd właśnie zobowiązania mości Francisca wobec pana de la Cruz i że zamierzchłe niesnaski dworskie przyczyniły się także do obecnych kłopotów tego ostatniego. Sam mość Francisco aż za dobrze wiedział, co to znaczy stracić popleczników, którzy niegdyś o jego względy i wpływy zabiegali.

– Jaki jest plan? – zapytał kapitan.

Posłyszałem w jego głosie ton, który zdążyłem już dobrze poznać: to przemawiał mąż zrezygnowany i nierobiący sobie złudzeń co do ewentualnego powodzenia lub klęski całej sprawy, podejmujący decyzję w milczącym znużeniu, zainteresowany co najwyżej technicznymi szczegółami. Weteran sposobiący się na spotkanie z nieprzychylnym losem, który stanowi wszak część jego profesji. Później także, podczas długich lat, jakie mieliśmy jeszcze ze sobą spędzić, już to w różnych tarapatach, już to podczas wojen pod królewskim sztandarem, miałem po wielekroć okazję słyszeć ów ton i dostrzec owo beznamiętne, puste spojrzenie, od którego

jasne oczy kapitańskie jeszcze surowsze się stawały. Działo się tak, gdy po długim i bezczynnym wyczekiwaniu w trakcie kampanii naraz tarabany się odzywały, a regiment ruszał naprzeciw wrogowi tym majestatycznym, wspaniałym, powolnym krokiem pod starymi chorągwiami, po chwałę albo na zatracenie nas wiodącymi. Podobnego spojrzenia i podobnego tonu nieskończonej fatygi nabrałem z latami i ja: w dniu, kiedy stałem wśród resztek hiszpańskiego czworoboku, z mizerykordią w zębach, pistoletem w jednej dłoni, a obnażonym rapierem w drugiej, i widziałem, jak z ostatnią szarżą zbliża się francuska jazda, a nad Flandrią zachodziło czerwone od krwi słońce, słońce, które dotąd przez dwa stulecia trwogę i respekt w szerokim świecie budziło.

Wszelako owego poranka roku dwudziestego trzeciego w Madrycie Rocroi figurowało tylko w tajemnej księdze Przeznaczenia, a do tego ponurego spotkania miały upłynąć jeszcze dwa dziesięciolecia. Wówczas król nasz był jeszcze mężnym młodzieńcem, Madryt był stolicą dwóch światów, a ja sam byłem jeszcze niecierpliwym gołowąsem, po drugiej stronie szpary zaczajonym, i wyczekiwałem odpowiedzi na postawione przez kapitana pytanie: jaki plan mość Vicente de la Cruz i jego synowie przy pośrednictwie mości Francisca de Quevedo zamierzają mu przedstawić. Stary pan już się do tego sposobił, kiedy kot jakiś wszedł przez okno i jął pomiędzy nogami moimi się przechadzać. Usiłowałem przegnać go cichaczem, ale na próżno. Zrobiłem tedy ruch nieco zbyt gwałtowny, sprawiając, że oparte nieopodal miotła i metalowa szufelka przewróciły się na ziemię z trzaskiem. I gdym oczy uniósł zalękniony, drzwi otwarły się raptownie, a przede mną stanął starszy syn mości Vicentego z lewakiem w zaciśniętej dłoni.

– Sądziłem, żeś waszmość bardzo skrupulatny w kwestii czystości krwi, mości Francisco... – powiedział kapitan Alatryste. – Nigdy bym nie przypuszczał, że nadstawiać karku będziesz za rodzinę przechrztów.

Uśmiechał się pod wąsem z życzliwą wyrozumiałością. Pan de Quevedo tymczasem z miną naburmuszoną siedział za stołem i wino trąbił, którego nikt do tej pory nie tknął. Ugodziwszy się z kapitanem, mość Vicente de la Cruz i synowie jego opuścili nas już byli i zostaliśmy w izbie we trzech.

– Zawsze znajdzie się jakieś ale – mruknął poeta.

– Ani chybi. Ale jeśli waszmoścín ulubieniec Luis de Góngora dowie się o sprawie, już możesz sam sobie wieszować. Powstanie przewyborny i niezwyuczajny sonet.

– Można przysiąc.

Słuszne były to słowa. W epoce, kiedy nienawiść do Żydów i heretyków uznawano za nieodłączną część prawdziwej wiary – toż sam Lope i pocziwy pan Miguel de Cervantes ledwie kilka lat wcześniej z wypędzenia morysków się radowali – mość Francisco de Quevedo, który wielce szczycił się swym starochrześcijańskim rodowodem z Santander¹⁴ nie wykazywał jakoś tolerancji wobec ludzi, którzy nie mogli legitymować się absolutną czystością swej krwi. Przeciwnie, korzystał z tego arsenału, ilekroć ciskał gromy w swych rywali, osobliwie wobec mości Luisa de Góngora, któremu pochodzenie hebrajskie przypisywał:

*W greki śmiesz użyciu dostrzegać winę,
A nawet twój nochal przecież cię zdradza,
Żeś sam pospolitym gminnym rabinem!*¹⁵

Takie uszczypliwości nasz wielki satyryk pisywał na przemian z oskarżeniami Gongory o grzech sodomski, jak w jednym sławetnym

sonecie, którego końcową tercynę przytoczę:

*Ja stóp, a ty głowy nie olśnisz siłą.
Ja chromy, atoli do przodu chodzę;
Ty zasię zachodzić wolisz od tyłu.*¹⁶

I teraz przypatrzmy się: oto mość Francisco de Quevedo y Villegas, kawaler Zakonu Świętego Jakuba, o nieskazitelnej czystości krwi, pan na Wieży Jana Opata, bicz na krypto–Żydów, heretyków, sodomitów i wszelakiej maści kultystów¹⁷ – właśnie spiskuje, jakby tu wdrzeć się na teren klasztoru i narazić własne życie i honor gwoli niesienia pomocy rodzinie przechrztów z Walencji. Nawet ja, choć ledwiem od ziemi odrósł, pojmowałem już zawilość i grozę sytuacji.

– Można przysiąc – powtórzył poeta.

Lada śmiertelnik zaklinałby się po grecku albo i po hebrajsku (w językach, którymi sam mość Francisco władał), byleby nie znaleźć się w jego skórze. A i kapitan Alatryste, co lubo w skórze Queveda się nie znajdował, ale własna dość mu biedy napytała – łącno rzecz całą miarkował. Nadal stał oparty o belkę w ścianie, skąd nie ruszył się był przez całą rozmowę z naszymi gośćmi, wciąż też kciuki za pas zatknięte trzymał. Nie zmienił pozycji nawet, gdy Jerónimo de la Cruz do izby powrócił ze sztyletem w jednej dłoni, drugą zaś dzierżąc mnie krzepko za kark. Kapitan rzucił jeno polecenie, by młodzian mnie puścił, a uczynił to takim tonem, że tamten z miejsca posłuszeństwo okazał. Ja zaś kucnąłem w kącie, czerwony ze wstydu za raptowną napaść i nieprzyjemne potraktowanie, i starałem się nie rzucać w oczy. Sporo wysiłku kosztowało przekonanie przybyłych, że lubom nieposłuszny, przecież roztropny jestem i spolegliwy. Aż sam mość Francisco musiał słowem swym za mną

zaświadczyć. Ostatecznie wszystko słyszałem i mość Vicente oraz synowie jego musieli zawierzyć także mnie. Atoli w tej sprawie również nikt z pozostałych nie był władny decydować, o czym nie omieszkał powiadomić wszystkich z wolna sam kapitan, wodząc po nich swym chłodnym, groźnym wzrokiem. Zapadła przeto długa, znacząca cisza, po której nikt już nie podważał mego udziału w przedsięwzięciu.



...Jerónimo de la Cruz do izby powrócił ze sztyletem w jednej dłoni, drugą zaś dzierżąc mnie krzepko za kark.

– To poczciwi ludzie – rzekł wreszcie Quevedo. – I nijak nie można zarzucić im, że nie są dobrymi katolikami... – Zawahał się, szukając kolejnego, niezbędnego jego zdaniem, usprawiedliwienia. – Ponadto, kiedyśmy we Włoszech byli, mość Vicente żywotne przysługi mi wyświadczył. Nie podać mu pomocnej dłoni równałoby się obeldze.

Kapitan Alatryste kiwnął głową wyrozumiale, aczkolwiek pod jego żołnierskim wąsem nadal majaczył uśmiech.

– Słusznie waszmość prawisz – przyznał. – Wszelako nie lekceważyłbym Gongory. Toć to waszmość właśnie nieustannie przymawiasz mu za jego nos semicki i abominację, jaką względem boczku odczuwa... Że przypomnę waszmościne słowa:

*Jakiż tam stary chrześcijanin
Z ciebie, skoroś nie osiwiął,
Już łacniej by cię szlachtować,
Niżli szlachcicem nazywać*

Mość Francisco pogładził wąsiki i bródkę, na poły kontent, że kapitan pamięta jego strofy, na poły zaś rozdrażniony kpiącym tonem, z jakim tamten je recytował: – Na rany Chrystusa, ależ waszmość masz dobrą a niewczesną pamięć...

Tu Alatryste nie mógł już śmiechu poskromić, co bynajmniej humoru poecie nie polepszyło.

– Już przeczuwam, jaki wiersz ułoży waszmościnn adwersarz – powiedział z namaszczeniem kapitan, uniósł dwa palce w powietrze, jak gdyby pisał, i jął improwizować: Oskarżasz mnie, Quevedo, zem przechrzczony, Sam Żydów wszakże imasz się obrony.

– ... I co waszmość na to?

Na oblicze mości Francisca napłynęły chmury jeszcze gęstsze. Nie o błahostkę tym razem chodziło i gdyby naprzeciw niego stał ktoś inny, a nie Diego Alatryste, poeta dawno już by ostrze wyciągnął.

– Liche i mało paradne – burknął jeno markotnie. – Jakby zaiste wyszły spod pióra tego kordobańskiego samcołożnika¹⁸ albo owego innego waszmościnego znajomka, hrabiego de Guadalmedina, co do którego szlachectwa nie żywię zastrzeżeń, ale jako poeta ujmę on Parnasowi przynosi... Co zaś do Gongory, owakiego przewykwintnego mnogoślepcy, grotolaza otchłani, trykliniów, konspektów, instancji, wahań ikarejskich, cienia słońca i zgryzoty wichru, to on mniejszą konfuzją mnie napawa... Jakeś słusznie zauważył, trwożę się, żem waszmości w niezłą kabałę wplątał – tu karafę uchwycił i tego z niej wina w gardło przelał, zerkając przy tym na mnie. – A także chłopaka.

Chłopak, czyli ja, w kącie cały czas byłem skulony. Trzykrotnie już kot przemaszerował był przede mną, ja zaś chciałem za każdym razem kopniakiem go poczęstować, ale z mizernym skutkiem. Teraz zmiarkowałem, że i Alatryste na mnie spoziera, a śmiechu też poniechał. Na koniec ramionami wzruszył i rzekł ze spokojem: – Chłopak wplątał się sam. O mnie zaś się waszmość nie turbuj – wskazał na trzos ze złotymi eskudami, pośrodku stołu leżący. – Zapłacili, a to zawsze udrękę pomniejsza.

– Być może.

Poeta nie wydawał się przekonany, Alatryste przeto kpiący uśmiezek ponownie na usta przywołał.

– Do licha, mości Francisco. Troszkę za późno na desperowanie, skoroś już na amen zapędził mnie do tego tańca.

Poeta pociągnął kolejny łyk z głową opuszczoną, i jeszcze jeden. Spojrzenie jęło mu nieco mętnieć.

– Tylko że przewrócić klasztor do góry nogami – zauważył – to nie błażostka.

– Ale też i nie zdobywanie Golety¹⁹ do kroćset – kapitan podszedł do stołu, ujął pistolet i rozładował go. – Słyszałem, że stryjeczny dziad mej matki, człek szeroko za czasów cesarza Karola znany, uczynił to raz w Sewilli.

Mość Francisco uniósł głowę z zaciekawieniem.

– Ten, co stał się natchnieniem dla komedii Tirsa?²⁰

– Podobno.

– Nie wiedziałem, żeście spokrewnieni.

– A widzisz waszmość. Ten świat jest mały.

Szkła pana de Quevedo zawisły na sznureczku. Poeta potrzymał je chwilę w palcach, zadumany, po czym pozwolił im dalej dyndać na wysokości krzyża na piersi wyhaftowanego i sięgnął po karafę, którą do cna już wysączył długim łykiem, spoglądając na kapitana posepnie sponad jej krawędzi.

– Nie zazdrozczę zatem trzeciego aktu waszmościnnemu stryjowi, jak mi Bóg miły.





III. STALOWA FONTANNA.



azajutrz wraz z Diegiem Alatryste i panem de Quevedo poszliśmy na mszę. Tym samym do cudownego zdarzenia doszło – o ile bowiem mość Francisco, jako członek starego górskiego rodu i kawaler Zakonu Świętego Jakuba, za punkt honoru sobie poczytywał przestrzegać wszelkich przykazań kościelnych, o tyle kapitanowi Alatryste brak *dominus* czy *vobiscum* snu z powiek nie spędzał. Muszę wszelako nadmienić, że lubo przeklinał, bluźniąc i złorzecząc z umiarem, jak to ludzie jego profesji w zwyczaju mieli, przenigdy w czasie, którym u jego boku spędził, nie słyszałem, by cokolwiek przeciwko religii mówił. Nawet podczas sporów, jakie w Gospodzie Pod Turkiem jego kompani z Klechą Perezem wiedli na temat duchowieństwa i tak dalej, a nie były to przelewki. Alatryste wprawdzie nie praktykował ściśle wedle nakazów Kościoła, szanował wszakże tonsury, sutanny i welony zakonne tak samo, jak szanował władzę i osobę naszego króla i władcy – z żołnierskiego posłuszeństwa, a może tylko z owej stoickiej obojętności, jaka jego humory i usposobienie cechowała. Wyłuszczę coś waszmościom: lubo rzadko na mszę chodził, mnie zobligował, bym Boga zadowalał, póki młody byłem. Czyniłem to zatem, już to w niedziele i święta kościelne do kościoła idąc w towarzystwie Caridad Cyganichy (jak wszystkie dawne ladacznice, była osobą nadzwyczaj bogobojną), już to uciekając się pod

opiekę poczciwego Klechy Pereza, który – na prośbę kapitana – dwa razy w tygodniu nauczał mnie gramatyki, co nieco łaciny oraz rudymentów katechizmu i Nowego Testamentu, ażeby, jak mawiał sam kapitan, nikt nie pomylił mnie z Turkiem czy innym heretyckim psubratem.

Był to człowiek pełen sprzeczności. Wkrótce potem, we Flandrii, miałem sposobność ujrzeć go, jak klękał i głowę pochylał, gdy regimenty do boju się gotowały, a kapelani chodzili wzdłuż szeregów i błogosławili nas wszystkich. A nigdy nie czynił tego gwoli pozorowanej pobożności, jeno przez respekt dla towarzyszy broni, którzy wyzionąc ducha mieli pełni wiary w sens całej awantury. Albowiem według Alatrystego Boga nie można było ani obłaskawić pochwalnymi hymnami, ani obrazić przekleństwem. Była to dlań istota potężna a niewzruszona, która nie porusza kukiełkami w tym swoim teatrzyku, jakim jest nasz padół, tylko się im przypatruje. Co najwyżej, wiedziony zamysłem niezrozumiałym dla aktorów ludzkiej komedii (by nie rzec, krwawej farsy zawadiaków), manewrował teatralną maszyną, otwierał podstępne zapadnie i wymierzał nieoczekiwane policzki, ładując się czasem w straszliwe tarapaty lub ratując z najgorszej opresji. Może był On ową pierwotną siłą poruszającą albo pierwszą przyczyną, o których wspomniał pewnego dnia pod wieczór Klecha Pérez, kiedy to, przeholowawszy nieco ze słodkim winem, usiłował zgromadzonym objaśnić pięć dróg poznania Boga, przedstawionych przez świętego Tomasza. Jeśli wszakże o kapitana chodzi, zapewne pojmował tę materię raczej w sposób zbliżony do tego, co Rzymianie (o ile łacina, jakiej sam Klecha mnie nauczył, we łbie mi się nie miesza) nazywali fatum. Pamiętam jego nieustraszone, milczące oblicze, gdy wraza artyleria kosiła nasze wojska, a towarzysze wokół znakiem krzyża polecali się Chrystusowi i Najświętszej Paniencie, i raptem słyszałem, że modlą się słowami nauczonymi jeszcze w okresie

pacholęstwa – a on mamrotał „amen” razem z nimi, ażeby nie czuli osamotnienia, gdy padną w boju i będą umierać. Cały czas wszelako jego jasne, zimne oczy baczyły na falujące linie nieprzyjaciela, na salwy muszkietów, dobiegające z nasypu grobli, i na dymiące bomby, które furkotały po ziemi, nim wybuchły z hukiem i iście piekielnym błyskiem. I owo „amen” nie zobowiązywało go do niczego, nie pozostawiały co do tego wątpliwości ani jego zamyślony wzrok, ani orli profil weterana. Kapitan wsłuchany był jeno w jednostajny warkot tarabanów gdzieś w sercu regimentu, warkot powolny i stateczny jak marsz hiszpańskiej piechoty i jego własny spokojny puls. Bogu służył kapitan Alatryste tak samo, jak swemu monarsze: nie miał za co Go kochać ani choćby podziwiać. Ale będąc, kim był, ofiarowywał Mu swój szacunek i cześć. Któregoś dnia nad rzeką Mark nieopodal Bredy widziałem, jak bił się w obronie chorągwi i trupa naszego marszałka polnego mości Pedra de la Daga, kiedy to siła ciosów i wystrzałów padło z obydwu stron. I wiem, że lubo za owego posiekanego kulami trupa oddałby swe życie, a przy okazji i moje, to i rzeczony Pedro de la Daga, i chorągiew obchodzili go tyle, co zeszłoroczny śnieg. Na tym właśnie polegał kłopot z kapitanem: potrafił okazać szacunek Bogu, który był mu obojętny, bić się za sprawę, w którą nie wierzył, upić się z wrogiem albo umrzeć za marszałka czy króla, którymi pogardzał.

Udaliśmy się, jak powiadam, na mszę, aczkolwiek pobudki nasze dalekie były zgoła od pobożności. Kościół, jak już snadź waszmościowie podejrzewają, należał do klasztoru Benedyktynek Sakramentek, stał w pobliżu Pałacu, a naprzeciw konwentu Przemienienia Pańskiego koło placyku pod tymże wezwaniem–Msza o ósmej u benedyktynek znaczną cieszyła się renomą, jako że wówczas to na nabożeństwa przybywała jejmość Teresa de Guzmán, małżonka hrabiego de Olivares. Poza tym

kapelan, mość Juan Coroado, słyńał z przedniej postawy przed ołtarzem i dobrej mowy z ambony. Dlatego teź uczęszczały tu nie tylko mniszki, ale teź i panie z wyższej sfery, możliwością ujrzenia hrabiny de Olivares i kapelana zanęcone, a także i damy inne, które swe szlachetne pochodzenie udawały jeno. Nawet ulicznice i z kretezem upadłe komediantki – posłuszne przykazaniom jak mała kto – zaglądały tam, bogobojne jak się patrzy, z twarzami umalowanymi ponad miarę, skryte za woalkami i mantylkami, całe w koronkach, tiulach i ażurach z Lotaryngii i Prowansji (iże flamandzkie zarezerwowane były dla dam wyższego stanu). A jako że gdzie niewiasty się gromadzą, choćby i mniej szlachetne, tam kawalerowie ciągną łącniej niż gnidy do portek woźnicy – sławetna msza o ósmiej wypełniała niewielki kościółek po brzegi. Niektóre panie modły zanosily, inne tymczasem strzały Kupidyna miotały sponad wachlarzy, panowie zaś czyhali na nie za kolumnami albo przy kropielnicy, ażeby wodą święconą służyć, natomiast żebracy tłoczyli się na schodach przed wrotami, demonstrując rany, pryszczce i kikuty po rzekomo we Flandrii albo i pod Lepanto utraconych kończynach, kłóćąc się zajadle o zajęcie najlepszego miejsca, gdy wierni kościół będą opuszczać. Gotowi byli nawet z jawną butą łajać tych panów, co szyku zadają, atoli złamanym szelągim nie sypną.

Ustanowiliśmy się we trzech nieopodal wnijścia, skąd mogliśmy baczenie dawać zarówno na nawę kościelną, w tym momencie pękającą od ciżby (i tak wąską, że niewiele brakowało, aby Chrystus musiał być wyobrażony nie na krzyżu, a na powrozie umęczon), jak i na chór oraz na kratę, oddzielającą świątynię od monasteru. Zmiarkowałem, że kapitan, stojący z kapeluszem w dłoni i płaszczem złożonym na ramieniu, z uwagą lustrował całe wnętrze. Podobnie wcześniej przyjrzał się fasadzie konwentu i murom klasztornych ogrodów. Odbywało się właśnie czytanie z ewangelii

i kiedy celebrans zwrócił się ku wiernym, miałem wreszcie sposobność ujrzeć oblicze sławnego kapelana Juana Coroado. Przemawiał po łacinie ze swadą, finezją i nader pewnie. Wyglądał mi na człeka fortunnego, co przednio się prezentuje, w ornacie z czarnymi, mocnymi włosami, wygolonymi na potylicy na kleszą modłę. Oczy miał ciemne a przenikliwe i łatwo było pojąć, jak działać mogły one na córki Ewy, a osobliwie na mniszki, którym reguła ograniczała możność kontaktu ze sferą świecką, to jest ze światem i płcią przeciwną. Nie zdołałbym oddzielić jego osoby od tego, co jużem o nim wiedział, przeto wybaczcie waszmościowie, że wspomnę tu o niesmaku i wzburzeniu, jakie budziły we mnie jego powolne ruchy i próżne namaszczenie, gdy ofiarę Chrystusową wysławiał. Zadziwiło mnie, że nikt z tłumu nie krzyknął o nim „świętokradca” ani „obłudnik”. Wokół dostrzegałem jeno świątobliwe uniesienie na licach, a w oczach niektórych niewiast nawet szczery podziw. Tak wszakże toczy się ten świat i była to ledwie pierwsza z wielu pożytecznych lekcji, które uczą, jak często pozory ponad prawdę wychodzą, a ludzie nad wyraz nikczemni kryją swój występki pod maską pobożności, czci albo przyzwoitości. A także, że gdy niegodziwców obwiniasz bez dowodów, gdy ich atakujesz, broni nie mając lub gdy na ślepo ufasz sile swej racji albo sprawiedliwości, łącznie ku własnemu zatraceniu zmierzasz, a szubrawiec tymczasem, wpływami swymi osłonięty, cało uchodzi. Inna zaś lekcja, jaką od życia wcześniej pobrałem, to że grubym błędem jest mierzyć się z potęgą ludzi wysoko postawionych, iż z tymi rychlej przegrasz, niżli wygrasz. Lepiej przeto zaczekać bez raptownych a porywczych ruchów, niechaj czas względnie los wystawi nam przeciwnika na odległość strzału lub na długość klingi. Taki zaś spraw obrót w Hiszpanii – gdzie wszyscy prędzej albo później idziemy w dół czy w górę po tych samych schodach – jest rzeczą zwyczajną, rzekłbym pewną i nieuchronną. Wszelako jeśli się nie uda, cierpliwości,

Bóg ostatnie będzie miał słowo, a On to przecie tasuje i rozdaje karty każdego z nas.

– Druga kaplica po lewej – wyszeptał mość Francisco. – Za kratą.

Kapitan Alatryste na ołtarz akurat spoglądał, zrazu tedy pozycji nie zmienił, dopiero po chwili zwrócił się lekko, ażeby w kierunku wskazanym przez poetę popatrzeć. I ja także podążyłem wzrokiem ku kaplicy, łączącej kościół z monasterem, gdzie czarno–białe kornety mniszek i nowicjuszek prześwitywały spoza masywnej, żelaznej kratownicy. Wskutek najwidoczniej surowej reguły zakonnej doczepiono do niej zaostrzone ćwieki, które zapobiegać miały, by jakikolwiek mężczyzna zbliżył się do mniszek bardziej, niż nakazywał obyczaj. Oto macie waszmościowie naszą ówczesną Hiszpanię: dużo rygoru i celebracji, dużo ćwieków obronnych, dużo krat i dużo pozorów – dość powiedzieć, że gdy w Europie sprawy nasze katastrofalny obrót przybierały, Kortezy Kastylii rozprawiały o dogmacie Niepokalanego Poczęcia – a tymczasem występni duchowni, zakonnice bez powołania, urzędnicy, sędziowie, szlachta i niemal wszyscy po kryjomu własną pieczęć piekli, kraj zaś, co to niby nad dwoma światami zwierzchność sprawował, stał komerażami jeno, kierowany bojaźnią i zawiścią, raj dla stręczycieli i faryzeuszy, gdzie plamę na honorze łącno sprać można było, gdzie za pieniądze kupowałeś sumienie, a głód i łajdactwa na wszystko były lekarstwem.

– Jak ci się to widzi, kapitanie?

Poeta mówił nader cicho, przez zęby, korzystając z tego, że wierni jęli *Credo* odmawiać. W jednej dłoni kapelusz ścisnął, druga spoczywała na rękojęści rapiera, on sam zaś patrzył przed siebie w skupieniu, niby to do cna zajęty liturgią.

– Trudno będzie – odrzekł Alatryste.

Głębokie westchnienie poety zlało się z ogólnym *Deum de Deo, lumen de lumine, Deum verum de Deo vero*²¹ recytowanym przez chór zgromadzonych. Nieco dalej, za kolumną, stał starszy syn mości Vicentego de la Cruz, ten, co mnie przez kota zdrajcę był przychwycił, gdym podsłuchiwał potajemnie. Teraz sam usiłował pozostać niewidoczny niczym złodziej w gronie sędziów. Twarz miał na wpół przykrytą i wielkie na kratę z mniskami baczenie dawał. Zapytywałem się w duchu, zali Elvira de la Cruz śród nich stoi i czy brata ujrzyć może. Bujna wyobraźnia młokosa podpowiedziała mi obraz owego dziewczęcia, którego nie znałem zgoła, ale które nadobne być musiało, więzione, ciemnione, i ocalenia wyglądało. Godziny w celi spędzane końca mieć dla niego nie mogły, gdy tak wyczekiwało znaku, listu, bilecika zapowiadającego rychłe uwolnienie. Gdym wodze imaginacji całkiem puścił, co zdarzało mi się raz na jakiś czas, bo się wówczas czułem niczym bohater powieści rycerskiej (przecie wskutek wybryku losu i ja brałem udział w tej awanturze) – wzrok wysiliłem gwoli dostrzeżenia owej panny za żelazem, co ją ode świata oddzielało. Atoli ledwie dostrzegłem jedną dłoń białą, kilka palców przez chwilę o metalowe sztaby opartych. Trwałem tak dłuższy czas nieruchomo, z gębą rozwartą, bacząc, czy znowu owej dłoni nie dojrzę. Zbudziło mnie dopiero lekkie klepięcie, jakim kapitan Alatryste w kark mnie poczęstował. Naówczas, wbrew sobie przezorność zachowując, ponownie przed siebie oczy zwróciłem, jako i wszyscy naokoło. A kiedy celebrans ku nam się skierował, by wyrzec *Dominus vobiscum*, bez zmrużenia powiek popatrzyłem na jego oblicze hipokryty i odrzekłem *Et cum spiritu tuo* tak przekonująco i bogobojnie, że moja pocziwa macierz byłaby ze wszech miar szczęśliwa, gdyby tylko mogła mnie ujrzeć i usłyszeć.

Wyszliśmy zaraz po *Ite missa est*. Słońce hojnie świeciło, ozywając kolory geranium i kminków, jakie zakonnice od Przemienienia Pańskiego w

oknach po drugiej stronie ulicy zasadziły. Mość Francisco został z tyłu nieco, jako że niemal wszystkich znał w stolicy – miał tyluż przyjaciół, co i nieprzyjaciół – i właśnie zatrzymał się, by z jakimiś damami i ich towarzyszami pogawędzić, rzucając tylko spoza nich krótkie spojrzenia w kierunku kapitana i moim, którzyśmy właśnie szli wzdłuż murów ogrodu benedyktynek. Zmiarkowałem, że osobliwą uwagą kapitan darzy drzwiczki, od wewnątrz zawarte, oraz mur ceglany na dwanaście piędzi wysoki, a także na słupek narożny, po którym łącno człek sprawny mógł na górę się wspiąć. Na drzwiczki zaś spoglądał przenikliwymi oczyma, nawykłymi wyłomów w nieprzyjacielskich umocnieniach szukać. Pewnikiem rzecz nad wyraz była dlań zajmująca, bo uczynił zaraz swój znany gest – dwoma palcami wąsa przyglądził. Oznaczało to u niego zazwyczaj już to zadumę, już to gotowość chwycenia za broń, kiedy mu kto za bardzo dopiekał. W tym momencie minął nas starszy syn mości Vicentego de la Cruz z kapeluszem głęboko na czoło naciągniętym. Najmniejszym odruchem się nie zdradził, że nas zna, atoli widomym było po jego kroku i ostrożnych spojrzeniach, że także mierzy siły swe względem muru benedyktynek.

W tym momencie drobne zajście miejsce miało, które opowiem, ponieważ daje ono niebagatelne świadectwo usposobienia kapitana Alatryste. Zatrzymaliśmy się na chwilę, kapitan bowiem pod pozorem poprawienia sobie czegoś przy pasie chciał z bliska zamek drzwiczek w murze obejrzeć. Zrównało się wówczas z nami paru fircyków, co również na mszy byli, towarzysząc dwóm damom o ładnej, lubo z lekka pospolitej powierzchowności. Jeden z nich, w kaftan aksamitny odziany i koszulę z rękawami rozciętymi, cały we wstążeczkach, kokardkach i wisiorach u kapelusza srebrną nicią przetykanych, zderzył się ze mną, po czym odepchnął mnie grubiańsko i łobuzem nazwał. Parę lat później podobna zniewaga zakończyłaby się dla owego strojnisia bliskim spotkaniem jego

pachwiny z moją mizerykordią, której na razie ze sobą nie nosiłem, bom za młody był, ale wkrótce we Flandrii już się z nią miałem nie rozstawać. W owym czasie wszelako, z uwagi na wiek, wszelkie afronty przełykać musiałem bez zmrużenia powiek, chyba że Diego Alatryste postanowiłby w obronie czci mojej stanąć. Tak też było i tym razem. Wziąłem z tego asumpt do rozmyślań, jak wysoko kapitan mą osobę cenił, pomimo że należał na co dzień do ludzi zgoła oschłych i małomównych. I wybaczcie waszmościowie, jeśli posunę się do stwierdzenia, że jakiś powód mieć musiał, do kroćset, bom w końcu parę razy w jego obronie wypalił z pistoletu niewiele wcześniej, podczas zasadzki przy Bramie Duchów.

Owóż gdy tylko Alatryste posłyszał, jak mnie mocno niepolitycznie ów kawaler potraktował, odwrócił się z wolna, z lodowatym spokojem na licu, który dla wszystkich, co kapitana znali, oznaczał jedno: lepiej dać trzy kroki wstecz, by nie znaleźć się w zasięgu jego rapiera.

– Przebóg, Íñigo – kapitan zdawał się do mnie mówić, atoli baczenie się w tamtego wpatrywał – bez wątpienia ten tu szlachetny pan pomylił cię z jakimś sobie znajomym szelmą.

Ja język za zębami trzymałem, dla mnie wszak sytuacja była jasna. Fircyk zaś, słysząc, że do niego piją, zatrzymał się wraz z całą kompanią. Wyglądał na takiego, co to własnego cienia używa jako zwierciadła. Na dźwięk kapitańskiego „przebóg” oparł swą białą dłoń, w gruby pierścień ze złota i brylantów zdobną, na rękajeści rapiera, a kiedy jawnie szydercze „szlachetny pan” usłyszał, jął palcami po uchwycie broni bębnić. Mierzył przy tym wyzywająco Diega Alatryste od stóp do głów i przyznać muszę, że gdy przyjrzał się już porysowanej gardzie, bliznom na twarzy i zimnym oczom spod szerokiego ronda kapelusza spoglądającym, jego własny wzrok siła swej dotychczasowej pewności stracił.



...odwrócił się z wolna, z lodowatym spokojem na licu...

– A co, jeżeli – odburknął wszelako – z nikim go nie myślę i prawdę powiadam?

Słowa te zabrzmiały zdecydowanie, co dawało niejaką przewagę tamtemu, atoli nie umknęło mej uwadze, że galantowi w ostatnim słowie głos zdrzął z lekka, on sam zaś rzucił szybkie spojrzenie w kierunku swego kompana i obydwu dam. W tamtej epoce człek potrafił dać się zabić w obronie swej reputacji, wszystko bowiem podówczas uchodziło z

wyjątkiem tchórzostwa i hańby. Prawdę mówiąc, honor przecie stanowił wyłączone dziedzictwo szlachcica. A szlachcic ani nie pracował, ani podatków na pożytek ogólny nie płacił, w przeciwieństwie do poddanych, na barki których wszelkie kontrybucje i obciążenia zrzucano. Honor zaś, wstawiony komediami Lopego, Tirsa czy Calderona, wspomnieniem był rycerskiej tradycji z zamierzchłych epok, jako że w opisywanych przeze mnie czasach Hiszpania roiła się jedynie od łotrów i oczajduszów wszelkiej maści. Górnolotnie natomiast brzmiące słowa „honor” i „hańba” skrywały w rzeczywistości szczególną i zapewne nielekką profesję, która polegała na tym, by przeżyć, w oczy się nie rzucając i podatków nie płacąc.

Kapitan bardzo powoli i dostojnie przesunął dwoma palcami po wąsach. Następnie zaś tą samą dłonią, gestem dalekim od wszelkiej ostentacji, połą płaszcza odsunął, pokazując rękojeści rapiera i lewaka, które za pasem z tyłu po lewej stronie miał przytoczone.

– A zatem – wyrzekł tonem nadzwyczaj powściągliwym – zechcą waszmościowie sprawdzić, zali człek, którego ani chybi mylicie z tym tutaj, nie przechadza się gdzieś w pobliżu Bramy Żuławnej.

Znajdująca się nieopodal na przedmieściu Brama Żuławna należała do miejsc, gdzie zazwyczaj rozstrzygano zwady w szczęku rapierów. Na dodatek trudno było nie zauważyć skwapliwości, z jaką kapitan odsłonił swój rapier toledański i biskajski sztylet. Znacząca była też liczba mnoga w słowie „waszmościowie”, która także drugiego kompana w taniec wciągała. Białołowy brwi uniosły z zaciekawieniem, iż kondycja niewieścia na ryzyko ich nie narażała, dawała za to sposobność ujrzenia zajmującego widowiska. Drugi z kolei galant – z bródką, w szerokim, koronkowym kołnierzu i bursztynowych rękawiczkach – co przebieg prologu ze wzgardliwym uśmieszkiem śledził, raptem spoważniał. Albowiem co innego we dwóch fanfaronady w przytomności dam wyczyniać, co innego

zaś zgoła stanąć twarzą w twarz z jegomościem żołnierskiej postury, który proponuje, by czasu nie marnować i rzecz całą załatwić natychmiast a po męsku. Napotkany chwyt nie jest raczej bufonem z ulicy Montera – mówiła mina drugiego fircyka, któremu roztropność nakazała cofnąć się nieznacznie. Pierwszy strojniś wszelako, choć jawnie już podobną rzecz uczynić zamyślał, przecie w sytuacji był dużo delikatniejszej. Zagalopował się w słowach, a te, gdy raz usta opuszczą, same już do właściciela nie wrócą. Czynią to dopiero, zagnane tam cudzym żelazem.

– Chłopak nie zawinił – ozwał się ten drugi.

Głos jego zabrzmiał bardzo dostojnie, pewnie i jasno, atoli znać było, że mąż ów ugody szuka. Tym samym stawiał siebie samego poza sprawą i swemu druhowi wyjście pokazywał, jak oszczędzić sobie rozcięć w innych częściach garderoby, gdy ma je już w rękawach. Dostrzegłem, że galancik rozwiera i zaciska palce prawicy. Wahał się. W ostateczności arytmetyka pokazywała jasno: jest dwóch na jednego, a jeśliby Diego Alatryste dał się ponieść lękom czy nerwom, on mógłby dopiąć swego albo przy Żułławnej, albo i tu na miejscu. Było wszelako coś w postawie kapitana, osobliwie zupełna obojętność w jego bezruchu i milczeniu widoczna, która nakazywała zawsze podchodzić doń z najwyższą ostrożnością. Wiedziałem, co fircykowi myśli zaprzęta: mąż, który dwóm po zęby uzbrojonym nieznajomym wyzwanie rzuca, albo jest całkowicie pewny siebie i swego rapiera, albo oszalał. A żadna z tych dwóch możliwości mu się nie uśmiechała. Kawaler wszakże nie wyglądał na tchórzem podszytego. Wolał do bitki nie stawać, ale i twarz zamiarował ocalić, przeto chwil kilka jeszcze wytrzymał spojrzenie kapitana. Potem rzucił na mnie okiem, jak gdyby pierwszy raz mnie widział.

– Chyba nie było tu winy chłopaka – ozwał się na koniec.

Niewiasty uśmiechnęły się, nie bez żalu, że pozbawiono je widowiska, kompan zaś z trudem powstrzymał westchnienie ulgi. Ja atoli niewiele dbałem, czy strojniś przepasza mnie, czy nie. Urzeczony wpatrywałem się w profil kapitana Alatryste pod szerokim kapeluszem, w jego gęsty wąs, w rankiem źle ogolony podbródek, w blizny i jasne, nieobecne oczy, zwrócone teraz w pustkę, którą tylko on sam znał na wylot. Potem przesunąłem wzrok na jego pozszywany, znoszony kaftan, na stary płaszcz, na kołnierz niemal całkiem sprany przez Caridad Cyganicę, na odbłask słońca w kabłąkach rapiera i w uchwycie lewaka, zza pasa wystającym. I uprzytomniłem sobie, że udziałem mym się stał ogromny i dwojaki zaszczyt: ten oto mąż był przyjacielem ojca mego, a teraz jest i moim, gotów przy tym bić się w mej obronie z powodu raz danego słowa. A może naprawdę robił to wszystko dla siebie samego – i król ze swymi wojnami, i ci, co wynajmowali kapitana jako szermierza, i druhowie wplątujący go w niebezpieczne awantury, i pyszałkowie z długimi ozorami, i nawet ja sam, wszyscy byliśmy ledwie pretekstem, by mógł bić się dla samej bitki (jak powiedziałby mość Francisco de Quevedo, który właśnie ku nam pośpieszał, ponieważ wietrząc ostrą zwadę), bić się choćby mimo Boga, a przeciwko światu całemu. W każdym razie ja poszedłbym za kapitanem Alatryste choćby do bram piekielnych za jednym jego rozkazem, miną czy uśmiechem. Zaprawdę, pojęcia nie miałem, że właśnie tam szlak mnie będzie prowadził.

Chyba opowiadałem już waszmościom o Angélice de Alquézar. W następnych latach, gdym się jał parać rzemiosłem żołnierskim jak Diego Alatryste oraz innymi, o których w swoim czasie opowiem, los sprawił, że napotykał na swej drodze niewiasty. Nie w głowie mi jurne karczemne przechwałki ani też liryczne westchnienia. By wszakże kwestię tę zgłębić, jako że tok historii tego wymaga, zaznaczę, że sporo z nich kochałem,

niektóre wspominam z rozrzewnieniem, niektóre z obojętnością, ale najczęściej z rozbawionym i porozumiewawczym uśmiechem – najwyższe to trofeum, o jakim śnić może mężczyzna, gdy nietknięty, z sakiewką niezbyt uszczuploną, w jako takim zdrowiu i z czcią nienadszarpniętą z tak słodkich uścisków się wyswobadza. Co rzekłszy, przyznam się waszmościom, że wśród wszystkich niewiast, jakiem na mej drodze napotkał, siostrzenica sekretarza królewskiego Luisa de Alquézar niewątpliwie była najpiękniejsza, najmądrzejsza, najbardziej czarująca i najbardziej niegodziwa. Wtrąciłby kto, że na młokosa łatwiej wpływ wywierać – toż, jak może zakarbowaliście to sobie, w owym czasie byłem jeno młodziutkim przybyszem z Kraju Basków, ledwie rok w stolicy spędziłem i nawet czternasta wiosna jeszcze mi nie stuknęła – atoli nie w tym sedno leży. Także później, kiedym już zmężniał, a Angélica wyrosła na niewiastę bez cienia umiaru, uczucia me nie zmieniły się ani o jotę. Jakbyś diabła miłował, wiedząc nawet, kto zaczą. I bodajże wspominałem już wcześniej, że już wówczas chodził zakochany po uszy. Nie było to uniesienie, jakie człeka z czasem dopada, kiedy to ciało i krew miesza się z marzeniami i wszystko nabiera groźnej, dusznej natury. W tamtym czasie doznawałem osobliwego afektu: jakbym się zbliżył na skraj przepaści, która już to pociąga, już to strachem napawa. Dopiero po latach – awantura z klasztorem i uduszoną damą była jeno kolejną stacją na mej drodze krzyżowej – zmiarkowałem, co kryją jasne kędziorki i błękitne oczy owej dziewczynki liczącej jedenaście lub dwanaście wiosen, przez którą niejednym razem miałem omal nie utracić honoru bądź też życia. A i tak kochałem ją aż do samego końca. Nawet dziś, gdy ani Angélicy de Alquézar, ani całej reszty nie ma już między żywymi, gdy błędzą już tylko jako znajome widma w mej pamięci, klnę się na Boga i na wszystkich czartów w piekle (gdzie ona bez wątpienia się smaży), że nadal ją miłuję. Bywa,

wspomnienia opadają mnie tak, że nawet do osobistych wrogów wzdycham, wtedy idę tam, gdzie wisi jej portret, przez Diega Velazqueza sporządzony, i godzinami przypatruję się jej w milczeniu, świadom, że nigdy jej do końca poznać nie zdołam. Atoli serce me, pokaleczone za jej przyczyną, do dziś dnia przechowuje tę pewność, że owa dziewczynka, owa niewiasta, co wszelkie możliwe zło mi wyrządziła, również, na swój sposób, miłowała mnie aż do śmierci.

Podówczas jednak wszystko to pozostawało dla mnie jeszcze niewiadome. Owego poranka, kiedym podążał za jej powozem ku Stalowej Fontannie, po drugiej stronie rzeczki Manzanares i mostu na trakcie ku Segovii, Angélica de Alquézar nadal dla mnie uroczą zagadką była. Jak waszmościowie już wiedzą, miała we zwyczaju jeździć ulicą Toledo pomiędzy domem a Pałacem Królewskim, gdzie pełniła służbę jako dworka królowej i księżniczek. Mieszkała u swego wuja Luisa de Alquézar w starym domostwie na rogu ulic Encomienda i Embajadores, który niegdyś należał do markiza de Ortígas. Ten wszelako wdał się w romans ze znaną aktoreczką z podwórca de la Cruz, która więcej trzosów mu napsuła niżli kat łotrowskich żywotów, tedy biedak musiał sprzedać posiadłość, by móc się wierzycielom wypłacić. Tam to mieszkała moja ukochana wraz ze swym wujem i jego służbą. Wuj był człkiem samotnym, a jedyną znaną jego słabością, krom żądzy władzy, jaką dawała mu jego pozycja na Dworze, była właśnie owa dziewczynka, córka jego siostry i męża tejże, zeszytych z tego świata podczas burzy, jaka spadła w dwudziestym pierwszym na statki ku Indiom płynące.

Owóż siedziałem na swym zwykłym posterunku u wnijscia do Gospody Pod Turkiem, kiedym ujrzał ją, jak przejeżdża. Czasami podążałem kawałek za jej powozem, przez dwa muły ciągnionym, do placu Mayor albo i pod same schody pałacowe, gdzie najczęściej zawracałem. Wszystko to

gwoli nagrody w postaci spojrzenia jej spokój mącących, błękitnych oczu, jakim czasem łaskawie obdarzała mnie, nim uwagę jej pochłonał jakiś szczegół okoliczny albo dama do towarzystwa, ku której zwracała się z pytaniem. Dama owa była wielce świątobliwą i cierpką sekutnicą, bardziej wychudzoną niżli żakowska sakiewka. O takich zgoła trafnie powiadano:

*Bogobojna tak dalece,
Że cnót u niej, maści, mikstur,
Ziół i klątw na antychrystów
Znajdziesz więcej niż w aptece.*

Jak może pamiętacie waszmościowie, zdołałem już byłem wcześniej zamienić kilka słów z Angélicą – doszło do tego podczas awantury z dwoma Anglikami. Zawsze też podejrzewałem, że umyślnie lub też nie sprokurowała zasadzkę, w jaką wpadliśmy na podwórku Príncipe, gdzie kapitan Alatryste omal życia nie postradał. Atoli nikt nie jest w pełni panem swej nienawiści lub miłości, przeto mimo wszystko dziewczę owo wciąż swój czar na mnie rzucało. A przeczucie, że jestem pionkiem w piekielnie groźnej grze, dodatkowo podniecało mą imaginację.

Pobiegłem zatem za nią owego poranka przez bramę traktu na Guadalajarę i placyk de la Villa. Dzień był olśniewająco jasny. Powóz dziewczynki, miast ku Pałacowi zmierzać, zjechał błoniem żuławnym w stronę mostu segowiańskiego i pokonał rzeczulkę, której skąpe wody zawsze były dla poetów natchnieniem do kpin i żartów. I nawet przewykwintny i wytrawny mość Luis de Góngora – niechże wybaczy mi szacowny pan de Quevedo, że nie jego cytuję – napisał taką oto krotoczwilę o naszym Manzanares:

Wól cię wczoraj wypić, a dziś wysikał.

Jak się później dowiedziałem, Angélica miała w owych dniach cerę odmienioną i jej medyk przepisał jej spacer po zagajnikach i alejkach topolowych przyległych do Ogrodów Książęcych i Wiejskiego Dworku, a także wokół sławnych wód Stalowej Fontanny, zalecanych między innymi niewiastom na zaparcie się skarżącym. Fontanny, którą w jednej ze swych komedii opiewał sam Lope:

A jutro odetchnę z ulgą,

Gdy tam pójdę, w samej rzeczy, I wnet pół szaflika wchłonę Wody żelazem syconej,

Co przeczyści i uleczy.²²

Angélica była jeszcze zbyt młoda na takie dolegliwości, wszelako z pewnością lekki chłód, słońce i świeże powietrze w gaju na jej zdrowie dobroczynny wpływ mieć musiały. Przechadzała się zatem, a za nią dążyli: powóz, woźnica i dama do towarzystwa – oraz ja w sporej odległości za nimi. Po drugiej stronie mostu i rzeczki rojno było pode drzewami od dam i kawalerów. W ówczesnym Madrycie krom kościołów, o których już wspominałem, także i w innych miejscach (na przykład wedle Stalowej Fontanny, gdzie siła niewiast paradowało, z damami lub bez) wokół białogłów aż gotowało się od galantów, nie było dnia bez schadzki, bilecika, rajfurstwa, zalotów i tym podobnych. Bywało, że zazdrośnik jaki zaczynał od drobnych uszczypliwości i drwin, raptem żelazo rozbłyskiwało i spacer kończył się pojedynkiem. W naszej Hiszpanii, pełnej hipokryzji i wiecznie posłusznej pozorom, ojcowie i mężowie takie baczenie dawali na cześć swych żon i córek, że nie zezwalali im na ulicę wychodzić, a przecie i tu zachowania całkiem nieszkodliwe, jak wyprawa zdrowotna ku fontannie

lub pójście na mszę, okazją się przednią stawały do przygód, intryg i miłostek:

*Udaję, kochany, że mam zaparcie,
Że z domu wyjść muszę zgoła niewinnie,
By ciotkę i ojca zwieść, co otwarcie
W zazdrości swej więżą mnie pajęczynie.*

Poniechajcież atoli waszmościowie przygan, iżem w tak epickim a konspiracyjnym duchu w ślad za powozem mej umiłowanej podążał ku miejscu wielce w przygody brzemiennemu. Ubolewałem jeno, żem zbyt młodociany, by jakowy grzeczny rapier móc sobie przypasać i ewentualnych rywali na kawałki posiekać. Nie imaginowałem zgoła, że z czasem wizje moje miały się co do joty ziścić. Kiedy wszakże pora nadeszła, by w imię Angéliki de Alquézar zabijać – com zresztą uczynił – ani ona, ani ja dziećmi już nie byliśmy. I cała rzecz dawno igraszką być przestała.

Do kroćset. Nieustannie w dygresje popadam i o czasach innych rozprawiam, co mnie od głównego wątku opowieści odciąga. Powracam doń tedy, dodając szczegół znamieny: wpadłszy w uniesienie na widok lubej mej, popełniłem nieostrożność, której później gorzko miałem pożałować. Zaraz po wizycie mości Vicentego de la Cruz nabrałem byłem podejrzeń, że wokół domu naszego siła zaufania niegodnych ludzi się kręci. Nie mogłem być oczywiście pewien, chodziło o parę twarzy, których nigdy dotąd ani na ulicy Arcabuz, ani w Gospodzie Pod Turkiem nie widywano. Niby nie dziwota, skoro nieopodal, przy Cava Baja i innych pobliskich ulicach, znajdowały się zajazdy dla przyjezdnych. Owego poranka wszelako zdarzyło się coś, co dałoby mi sporo do myślenia, gdybym nie

stracił głowy na widok Angeliki. Później dopiero przypomniałem sobie wszystko ze szczegółami, gdym czasu miał aż nadto, by pomedytować nad tym, co mnie przywiodło do pewnego posępnego miejsca. A winienem rzec raczej: dokąd pójść zostałem przymuszony, nijakiej osobistej chęci po temu nie przejawiając.

Owóż po powrocie z mszy u benedyktynek ja zasiadłem u wnijscia do gospody, Diego Alatryste zaś ruszył dalej, do stacji kurierskiej przy ulicy Correos. I właśnie w tym momencie, gdy kapitan oddalał się już w głąb ulicy Toledo, dwaj nieznajomi, co dotąd przechadzali się z niewinnymi minami wśród kramów z owocami, coś szepnęli do siebie i jeden z nich podążył śladem mojego pana. Przypatrywałem im się z oddali i zastanawiałem się, zali to przypadek, czy może obydwaj coś knują, lecz oto przejechał pojazd Angéliki i wszystko inne z mego łba wymazać zdołał. A przecie, jak potem z goryczą zmiarkowałem, owe wąsiska od ucha do ucha, zawadiackie szerokie kapelusze, rapiery, sztylety i pyszałkowaty krok obydwu fanfaronów winny z miejsca czujność mą obudzić. Bóg atoli, diabeł czy kto tam inny żywotem naszym w kulki niecznie pogrywa i każe nam skutkiem naszej nierozwagi, pychy lub głupoty po cienkim ostrzu maszerować.

Była cudna jak Lucyfer, nim z raju został przepędzony. Powóz zatrzymał się pod topolami, którymi alejka była wysadzona, ona zaś przechadzała się wokół fontanny. Nadal włosy utrefione miała w jasne loki, a jej kamlotowa szata, błękitna jako i jej oczy, wyglądała niby skrawek przeczystego, bezchmurnego nieba, które po drugiej stronie mostu czułą opiekę nad dachami i kapitelami Madrytu, starymi murami i solidnym gmachem Zamku sprawowało. Spętawszy muły, woźnica oddalił się ku grupce swych kolegów, zawzięcie nad czymś rozprawiających, dama jej natomiast

pokwapiała się ku fontannie gwoli zaczerpnięcia sławetnej wody do bańki. Tak więc Angélica była teraz sama. Serce z piersi omal mi nie czmychnęło, gdym zbliżał się z wolna pode drzewami. Z daleka widziałem już, że dziewczę wdzięcznie wita się z młodymi damami, które nieopodal pragnienie zaspokajały, i że smakołyk jakiś od nich przyjmuje, zerkając ukradkiem w stronę swej opiekunki. W owej chwili gotów byłem oddać całą młodość mą i wszelkie marzenia, by miał nieopierzonym giermkim stać się dumnym szlachcicem (albo przynajmniej nabrać takowych pozorów), jacy paradowali po okolicy, węża na widok niewiast podkręcali albo i kapelusze zdjawszy, gierki słowne z nimi uprawiali, dłonie wspierając z gracją na biodrach lub na rękojeściach rapierów. Naturalnie w miejscu tym zgoła nie brakowało i gminu, z czasem zaś wraz z wyostrzoną podejrzliwością takiego nabrałem przekonania, że w owym czasie – jak i dzisiaj zresztą – nie wszystko szlachectwo, co się świeciło. że zwykłe trzpiotki i oczajdusze dawali próżności swej wyraz albo fałszywego dostatku i że nawet Żydem lub Maurem będąc, mogłeś pisać szpetnie, mówić z trudem a powoli, długi mieć, paradować konno i broń mieć u pasa, by uchodzić za szlachcica i rycerza. Alem wspominał już, że tylko szczwany lis wszystko należycie zmiarkuje. Mnie zaś jako młodzikowi, każdy, kto rapier nosił i płaszcz albo ciżemki, baskinę i krynoliny, znaczną osobą się zdawał. Małom był przeżył jeszcze w owym czasie.

Przejechali akurat jacyś galanci, rączy podskoki konno czyniąc koło powozu, w którym damy siedziały, murwy czy lichy wie kto, w każdym razie posłali im też co nieco duserów. A ja z całej duszy pragnąłem stać się takim jak oni i jak oni podjechać ku Angélice, która właśnie zapuściła się nieco w bok od alejki i podkasawszy niezmiernie wdzięcznie rąbek spódnicy, spacerowała wśród paproci, brzeg strumyka porastających. Baczenie przy tym wpatrywała się w ziemię, a gdym się przybliżył, zmiarkowałem,

że podążyła za długim rzędem pracowitych mrówek, maszerujących równo jak niemieccy lancknechci. Podejmując nieopisane ryzyko, postąpiłem jeszcze kilka kroków i wtem trzasnęła mi pod stopą gałązka. Podniosła wzrok i ujrzała mnie. Choć winienem rzec, że to niebo, jej szata i oczy otoczyły mnie niczym gorący obłok, a ja poczułem, że głowa wiruje mi zupełnie jak w Gospodzie Pod Turkiem, kiedy opary z wina na stole rozlanego wszelkie zmysły stępiają, a wszystko wokół zda się odległe i ospałe.

– Ja cię znam – ozwała się.

Nie uśmiechnęła się, ale też nie wyglądała na zaskoczoną czy niezadowoloną z mojej obecności. Przypatrywała mi się z uwagą i ciekawością, tak jak matki czy starsze siostry patrzą, nim powiedzą: „urośłeś o cal” albo „głos ci się zmienia”. Ja, czegom sobie wieszowałem, miałem owego dnia na sobie kaftan stary wprawdzie, ale czysty i bez łat, buciki też wcale przyzwoite, za przynagleniem kapitana umyłem byłam rano twarz i uszy, przeto usiłowałem ze spokojem wytrzymać to badanie. Przewalczywszy zaś lęk, zdołałem i jasne spojrzenie odwzajemnić.

– Zwę się Íñigo Balboa – odparłem.

– Wiem. Jesteś druhem tego kapitana Triste czy Batistre.

Zwracała się do mnie na „ty”, co zarówno serdeczność, jak i wzgardę oznaczać mogło. Atoli powiedziała „druhem kapitana”, nie „paziem” albo „sługą”. Na dodatek wyśmieniła pamiętała, kim jestem. Fakt ten w innych okolicznościach powinien mnie zaniepokoić, albowiem nazwisko moje lub Diega Alatryste w ustach siostrzenicy Luisa de Alquézar raczej niebezpieczeństwo gwarantowało niżli powód do dumy, ja wszakże w siódmym niebie byłem i bardziej mnie to uradowało od wszelkich honorów Kastylii. Angélica zakarbowała w pamięci imię me, a wraz z nim pokaźną część mojego życia, które gotów byłem złożyć jej w darze u stóp, ni chwili

nie zwlekając. Nie wiem, czy pojmujecie waszmościowie: czułem się jak człek sztyletem przebity – żyje z nim, ale gdy go zeń wyciągną, umrze.

– Panienska fontanny zażywa? – zagadnąłem, by milczenie przerwać, które pod bacznym spojrzeniem jej oczu stawało się już nieznośne.

Zmarszczyła przeuroczo nosek.

– Za dużo jem słodczy – wyjaśniła.

I ramionami wzruszyła wyniośle, jakby nie podzielała tego przekonania i za głupotę je poczytywała. Popatrzyła przy tym w stronę wodotrysku, gdzie jej opiekunka gawędziła właśnie z jakąś znajomą.

– Szkoda słów – dodała ze wzgardą.

Zmiarkowałem, że Angélica de Alquézar nie darzyła zbytnim respektem smoka, przydzielonego do jej nadzoru, ani recept medyków, którzy krwi puszczaniem i swymi miksturami więcej ludzi na tamten świat posłali niżli pierwszy kat Sewilli.

– Zapewne ma panienska słuszność – rzekłem dwornie. – Toć każdy wie, że słodczy zdrowiu są przychylne – tu przypomniałem sobie mętnie coś, com był usłyszał w aptece Cyklopa Fadrique. – Zwiększają masę krwi i dobrych humorów przysparzają... Jestem pewien, że pączek, miodownik lub złote jajka²³ bardziej sprzyjają naturze melancholijnej niż litr wody z tej fontanny.

Zamilkłem, bojąc się ciągnąć, bo na tym moja wiedza w owym przedmiocie się kończyła.

– Masz zabawny akcent – ozwała się.

– Baskijski – odrzekłem. – Urodziłem się w Oñate.

– Sądziłam, że Baskowie kaleczą słowa: *Rzucić kopia, miecz ciągać, dam zobaczyć, jak kot w woda wpadnie...*²⁴

Wybuchła śmiechem, który aż srebrem się mienił, jeśli wybaczycie, że słowa me brzmią nader górnolotnie. Dźwięczał jak wypolerowany kruszec,

który kramarze wystawiają w Boże Ciało przy rogatkach na Guadalajarę.

– Tak mówią Biskajczycy – zauważyłem, lekko naburmuszony, lubo sam różnicy nie byłem pewien. – Oñate leży w Guipúzcoa²⁵.

Poczułem raptowną potrzebę zaimponowania jej, chociaż sam nie wiedziałem czym. Niepewnie podjąłem na nowo przerwany wątek dobroczynnych właściwości słodczy. Ażem się nadał: – Co się tyczy natury melancholijnej...

Przerwało mi nagłe pojawienie się w pobliżu sporego płowego brytana, który myszkował po okolicy, przeto nim jakakolwiek myśl mi w głowie zagościła, instynktownie stanąłem pomiędzy nim a dziewczyną. Zwierz wszelako, nijakiej zwady nie szukając, oddalił się niczym lew od don Kichota. A kiedym się ku niej znowu zwrócił, Angélica wpatrywała się we mnie z tą samą co na początku ciekawością.

– A cóż ty wiesz o mojej naturze?

W jej głosie zabrzmiał wyzywający ton, jej modre oczy zaś spoważniały, wszelkie pozory dziecięctwa tracąc. Zapatrzyłem się na jej wciąż jeszcze wpółotwarte usta, na jej zaokrąglony, subtelny podbródek, na loki opadające ku ramionom, okrytym delikatnymi koronkami flamandzkimi. Wreszcie spróbowałem ślinę przełknąć jak najbardziej niepostrzeżenie.

– Niczego jeszcze nie wiem – odrzekłem z rozbijającą prostotą. – Ale wiem, że za panienkę mógłbym zginąć.

Pojęcia nie mam, czym się zarumienił, tak prawiąc. Są wszelako rzeczy, które należy wypowiedzieć, kiedy trzeba, bo jeśli tego nie uczynisz, będziesz żałować do końca życia. Lubo i tak bywa, że najbardziej żałujesz właśnie tego, coś powiedział.

– Mógłbym zginąć – powtórzyłem.

Zapanowała długa, słodka cisza. Dama do towarzystwa już wracała, czarna w białym czepcu, niby złowróźbna sroka, niosąc kwaterkę wody.

Gadzina miała niebawem odebrać mi moją małą damę, gotowałem się przeto, by nogi za pas brać i z oczu się starej usunąć. Angélica atoli nadal mnie obserwowała, jak gdyby w myślach mych czytać mogła. Raptem uniosła dłonie ku szyi, wyciągnęła na wierzch złoty łańcuszek z niewielkim wisiorkiem, odwiodła zapinkę i wręczyła mi go.

– Może przyjdzie dzień, kiedy zginiesz – szepnęła.

Co powiedziawszy, nadal przyglądała mi się zagadkowo. Jednocześnie na ustach jej dziecięcych zakwitł uśmiech tak przecudny, tak doskonały, tak pełen światła, jak nasze hiszpańskie niebo i jak jej niezgłębione oczy, i w tym samym momencie zapragnąłem umrzeć z bronią w ręku, z jej imieniem na ustach, jak niegdyś we Flandrii mój ojciec do boju szedł, wykrzykując imię króla swego, ojczyzny i chorągwi. Pomyślałem bowiem, że może w każdym przypadku chodzi naprawdę o to samo.





IV. ATAK.



ies jakiś zaszczekał w oddali cztery razy i znów cisza nastąpiła. Uzbrojony po zęby w pistolet, rapier i lewak, kapitan Alatryste przyglądał się księżycowi, który wyglądał, jakby się lada chwila na kapitel klasztoru Benedyktynek miał nadziać. Potem rozejrzał się bacznie w obydwie strony, tam, gdzie cień spowijał placyk przed konwentem Przemienienia. Żywej duszy. Poprawił na sobie napierśnik z bawolej skóry i poły kurty na ramiona narzuconej w tył odsunął.

Jak gdyby na znak dany, trzy sylwetki wychynęły z mroku, dwie z jednego końca placu, jedna z przeciwnego, i jęły zbliżać się do klasztorowego muru. Jaśniało w nim jedno oświetlone okno. Wkrótce ktoś wewnątrz przyćmił lampę, by zaraz na powrót ją rozjarzyć.

– To ona – szepnął mość Francisco de Quevedo.

O ścianę wsparty, czernią kapelusza, odzienia i płaszcza nocy podobny, ani kropli tego wieczoru nie wychylił, by – jak mówił – pewności w ręce nie postradać. Posłyszałem, jak z wolna wysunął do połowy rapier z pochwy i wepchnął go z powrotem, by sprawdzić, czy broń łącno dobędzie – mrok wszelako niczego nie dozwolił zobaczyć. Słuchałem za to, jak przez zęby recytuje własne strofy:

Cierpienia mego noce nie uśmierzą

*Ni mej urazy nie zdołają stłumić...*²⁶

Zastanowiło mnie, zali mość Francisco deklamuje, by niepokój zwalczyć, chłód precz odegnąć, czy też krwi jest tak zimnej, że wiersze składać potrafi choćby u wrót piekielnych. Wszelako nie była to pora, by zagłębiać się w akuratne oceny geniuszu naszego wyśmienitego satyryka. Wolałem baczenie na kapitana dawać, którego ciemny, nieruchomy profil dostrzegałem mimo cienia, jaki rzucało nań dodatkowo szerokie rondo kapelusza. Diego Alatryste trwał tak jeszcze przez chwilę, podobnie i po drugiej stronie placu trzy niewyraźne postacie co się były wcześniej z ciemności pojawiły, wzgląd miały teraz, by nikomu w oko nie wpaść. Pies znowu zaszczekał, dwukrotnie tym razem, i niemal natychmiast nieopodal, wedle Gruszowej Strugi, muły cicho zarżały, do oczekującego tam powozu zaprzężone. Naówczas Diego Alatryste ku mnie się zwrócił, a oczy jego zabłyśły w księżycowej poświacie.

– Miej się na baczności – rzekł.

I dłoń mi na ramieniu położył. Westchnąłem głęboko i ruszyłem przez plac, jakbym w głąb wilczej paszczy wchodził, i czułem na plecach swych uważny wzrok kapitański, w uszach zaś niosłem krzepiące strofy, które mość Francisco zechciał w tym momencie na mą cześć zaimprovizować:

Tyś szczęśny, gdy mur kamienny przeskoczysz,

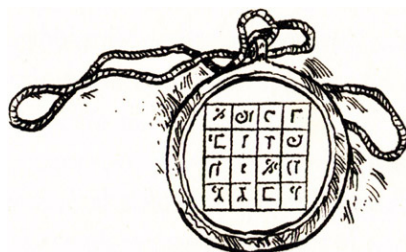
*W młodości żwawej oparcia szukając.*²⁷

Serce waliło mi bez mała niby młotem, jak rano, gdym z Angélicą de Alquézar rozmawiał. A kto wie, może i bardziej. W sercu i wątpiach czułem nieznośny skurcz, w uszach zaś huczały jakoweś bębny, kiedy

mijałem skulone cienie mości Vicentego de la Cruz i jego synów. Stali do muru przyłgnięci, a spod ich płaszczy połyskiwały głównie broni.

– Nie zwlekaj, mały – szepnął zniecierpliwiony ojciec.

Skinąłem głową bez słowa i wzdłuż muru podążyłem aż do narożnego słupka. Tam przeżegnałem się chytrze, samemu Bogu polecając się w godzinie, gdy miałem święty przybytek pogwałcić. Następnie bez wysiłku na słupek się wdrapałem – w zwinności mogłem wówczas z małpami iść w zawody – i łapiąc równowagę na wąskim czubku, sięgnąłem w górę ramionami, podciągnąłem się swobodnie i po chwili już na szczycie ogrodzenia stałem. Tam usiadłem okrakiem, starając się nie odcinać nazbyt od otoczenia w świetle księżyca. Po jednej stronie miałem ulicę i placyk z milczącymi sylwetkami moich towarzyszy, przycupniętymi pod ścianą, po drugiej cienistą ciszę ogrodu benedyktynek, co rusz jeno przerywaną cykaniem nocnego świerszcza. Odczekałem, by dudnienie moich bębenków kapkę zelżało, i znów się ruszyłem. Ledwie to uczyniłem, z zanadru wysunął mi się wisiołek na łańcuszku, który Angélica de Alquézar wręczyła mi była przy Stalowej Fontannie, i o mur zadźwiewał. Niemal dzień cały się weń wpatrywałem. Wyglądał na wiekowe cacko, a wyryte na nim znaki dziwne i oszałamiające mi się zdały:



Wsunąłem go na powrót za pazuchę, do piersi przyciskając, w nadziei, że amulet ów szczęście tak pomocne w obecnym przedsięwzięciu mi przyniesie. Przechyliłem się na drugą stronę muru, smagnięty przy tym przez gałęzie jabłoni, uwiesiłem na dłoniach, by nareszcie upuścić się z wysokości jakich sześciu lub siedmiu stóp. Poturlałem się po ziemi,

żadnego obrażenia większego nie odnosząc, otrzepałem odzienie ziemią powalane i zanosząc modły do Matki Bożej, by psy wszelakie na uwięzi trzymać zechciała, chyłkiem wzdłuż ściany się przemknąłem. Dotarłszy do drzwiczek, sprawnie otwarłem zamek. Zaraz do środka wśliznęli się mość Vicente de la Cruz i synowie jego, w płaszcze owinięci i z bronią na wierzchu, i ruszyli przez ogród żwawymi krokami, tłumionymi przez miękki grunt. W tym momencie ja już zadanie swe wykonałem.

Sprawdziłem się jako dziarski młodzik. Nigdy nie poznalibyśmy bohaterów, gdyby czyny na nich nie czekały. Wyszedłem przeto kontent na zewnątrz i bez pośpiechu przez placyk ruszyłem. Kapitan udzielił mi był jasnych poruczeń: mam najkrótszą drogą do domu wracać. Szedłem, sunąc dłonią po balustradzie wzdłuż ulicy, coraz bardziej oddalałem się od klasztorów Benedyktynek i Przemienienia Pańskiego, ze spokojem i sercem dumą napęczniałym, jako że wszystko poszło jak z płatka. I raptem pokusa mnie dopadła, by pozostać w okolicy, wedle oczekującego powozu w muły zaprzęzonego, gwoli ujrzenia – choćby przez mgnienie i w świetle miesiąca jeno – dziewczki ocalonej przez ojca i braci. Przez chwilę zmagaly się we mnie poczucie karności i chęćka. Nim jednak którekolwiek zdołało przewagę zdobyć, usłyszałem pierwszy strzał.

Musiało ich być dziesięciu z okładem, jak obliczał Diego Alatryste, rapiera i lewaka dobywając. A na dziedzińcu klasztornym dodatkowo kilku jeszcze. Pojawiali się zewsząd, zza rogów, z sieni, ulica i placyk aż błyszczwały od żelaza, a ciszę nocną do cna wypełniły okrzyki „Strzeż się inkwizycji!” i „W imię królewskie!”. Po drugiej stronie muru benedyktynek rozległa się kolejna palba, a w drzwiczkach ukazała się bezkształtna masa ludzka, w której nieustannie krzyżowały się ostrza. Diegowi Alatryste zdało się, że przez chwilę dostrzega biały kornet nowicjuszeki wśród łyskających

główni, atoli rychło widok zakłóciły dalsze dwa wystrzały. Zresztą trzeba było się o własną skórę zatroszczyć. Okrzyk „Strzeż się inkwizycji” każdemu zjeżyć włos na łbie był w stanie, i gdyby okoliczności na to zezwalały, kapitan nie mógłby z podziwu wyjść wobec takiego obrotu spraw. Atoli należało raczej o siebie zadbać, a w takich razach obojętnym było, czy po piętach depte ci inkwizycja, czy straż sądowa – gardziel równie łącno przetnie zarówno ostrze laika, jak i wodą święconą spryskane. Sparował lewakiem sztych wyprowadzony przez cień jakiś, co się znikąd za plecami jego pojawił, zmusił go do wycofania się, trzykrotnie oburącz siekąc i Bogu się przy tym polecając, kątem oka dostrzegł przy tym, że mość Francisco de Quevedo dwóch przeciwników na się wziął. Zbytecznym było na zdradę pomstować albo na coś w tym rodzaju, kapitan nie zamierzał oddechu na coś tak mało przydatnego mitrężyć. Przeto obydwaj z poetą jęli się bić, języków raczej nie strzępiąc. Ktokolwiek za tym stał, zasadzka oczywistą była i teraz sedno leżało w tym, by drogo patrochy swe sprzedać. Cień, który był uprzednio Diega Alatryste zaatakował, na powrót natarł, kapitan dostrzegł jednak odbłysek zbliżającego się żelaza, zaparł się stopami mocno, odbił na czas uderzenie na odlew wyprowadzone, dał krok naprzód, następnie drugi, rapier wraży uwięził między łokciem a bokiem, wypadł przed siebie z punktą wysuniętą prosto ku twarzy tamtego, by zaraz usłyszeć okrzyk bólu. Na szczęście w szeregach popleczników inkwizycji żaden Amadis²⁸ nie fechtował, co rzecz całą znacznie ułatwiało. Cofnął się w mrok, o mur plecami oparł i oddechu zaczerpując, ku mości Franciscowi zerknął. Poeta, kulejąc i złorzeczając pod nosem, ze sławetną swą zręcznością przeciwników na dystans trzymał. Wszelako przybywało ich coraz więcej i wyglądało na to, że rąk nie starczy, by tyle bydła zaszlachtować. Szczęśliwym trafem większość napastników skupiła się wedle muru benedyktynek, gdzie nadzwyczajny tumult i gwar

panowały. Widomie Mość Vicente de la Cruz i jego synowie byli w potrzebie. Swąd zapalonych lontów arkebuza dobiegł aż do nozdrzy kapitana.

– Czmychać nam przyszło! – krzyknął do mości Francisca, szczęk żelastwa przekrzyczeć usiłując.

– Właśnie próbuję!... – odparł poeta, siekąc na prawo i lewo. – Od dłuższej chwili!

Właśnie zgładził jednego z nacierających i wzdłuż muru się cofał, odpierając ataki kolejnego w rapier zbrojnego człowieka. Kolejny cień wyrósł naraz koło kapitana Alatryste, a może był to ten sam, tylko do siebie doszedł i właśnie przybywał jak psubrat, by odpłacić za poharatane oblicze. Aż skry się posypały, gdy głównie o siebie i o mur jęły uderzać. Kapitan przedramieniem głowę osłonił, wyczekał, gdy tamten po kolejnym wypadzie odzyskiwał postawę, i posłał mu solidnego kopniaka, aż się napastnik zachwiał. Wówczas Alatryste z bliska zaatakował rapierem, lewakiem i ponownie rapierem. A gdy przeciwnik wyprostować się usiłował, co najmniej dwie piędzi kapitańskiej głowni z pleców mu wystawały.

– Matko Przenajświętsza! – wymamrotał tamten i westchnął, gdy Alatryste wyciągnął mu żelazo z piersi. Pokonany zaklął, jeszcze raz wezwał Świętą Panienkę i osunął się na kolana pod ścianą. Rapier wypadł mu z ręki między udami i zadźwięczał o ziemię.

Ktoś biegiem się oderwał od ciżby kłębiącej się pod murem ogrodu klasztornego. W tym momencie rozpoczęła się palba z arkebuzów, skutkiem czego ulica i placyk rozjarzyły się od prochu i wystrzałów. Kilka pocisków przeleciało ze świstem nieopodal kapitana i mości Francisca, jeden nawet rąbnął o mur pomiędzy nimi.

– Kurewskie nasienie – mruknął Quevedo.

Sam czuł, że nie pora na jedenastozgłoskowce. A wroga przybywało. Alatryste, zlany potem pod napierśnikiem bawolim, który mu przynajmniej trzykrotnie tej nocy życie zdołał ocalić, rozejrzał się za możliwą drogą ucieczki. Cofając się przed kolejnym wypadem, mość Francisco zbliżył się do kapitana tak, że ramiona ich niemal się stykały. Poeta podobnie snuł zamiary.

– Niech każdy pies – sapnął między fintą a ciosem – własną kuśkę liże.

Już i drugiego przeciwnika miał u stóp z głęboką raną, atoli kolejny nań nacierał i poecie sił zaczynało brakować. Kapitan tedy, który w tak ciężkich terminach się nie znajdował, sztylet między zęby wsunął, lewą ręką wyszarpnął zza pasa pistolet skałkowy i z odległości pół piędzi do wrażego szermierza wypalił, połowy szczęki go pozbawiając. Huk i błysk ognia wstrzymał na moment zbliżających się nowych napastników, przeto mość Francisco bez zastanowienia skorzystał z chwili i nie mieszkając, pierzchnął wcale zgrabnie, jakby nigdy nie chromał.

Odczekawszy chwilę, by tamtych przed ściganiem poety powstrzymać, Alatryste zaraz to samo uczynił, puszczając się w uliczkę, którą z góry upatrzył był sobie, jak to we zwyczaju mają starzy wiarusi, nawykli wprzód drogę ucieczki opracowywać, nim do bitwy ruszą. Wszak potem, gdy karta się odwraca, nie zawsze masz zdrowie lub głowę jasną na tyle, by takimi szczegółami się zajmować. Uliczka biegła pod łukiem i kończyła się murem, który uciekinier z łatwością pokonał, lubo stado drobiu spłoszył, na kurnik po drugiej stronie z łomotem spadając. Ktoś lampę zapalił i okno rozwarł, kapitan wszelako był już po drugiej stronie podwórza, potykając się w ciemności, ale bez specjalnego uszczerbku. Pokonawszy kolejny płot, stwierdził, że niebezpieczeństwo ma za sobą, wolny i w całkiem dobrym zdrowiu, wyjąwszy kilka drobnych draśnień. Tylko usta miał bardziej suche niżli wydmy w Nieuwpoort. Zaszył się w jakiś ciemny kąt, by tchnienie

złapać, i jął zastanawiać się, czy mość Francisco de Quevedo także prześladowcom umknąć zdołał. Rychło zmiarkował, że słyszy jedynie świst własnego oddechu i że od strony klasztoru Benedyktynek nie dobiegają go ani szczęk żelaza, ani okrzyki. Na to, czy mość Vicente de la Cruz i jego synowie cało z awantury wyszli, nie ośmieliłby się postawić ani szeląga. Wątpliwym było, do kroćset, czy w ogóle żyli jeszcze.

Rozległ się tupot nóg, pewnikiem jacyś zbrojni biegli, kilka załomów omiotły światła niesionych przez tamtych latarni. Wreszcie znów nastąpiła cisza. Kapitan, lubo w pełni już odetchnął i do siebie doszedł, długo jeszcze tkwił cicho w ciemnym zakątku. Drżał od chłodu, o jaki przeपोcona koszula go przyprawiała, ale nie to zaprzętało mu głowę. Wciąż zapytywał sam siebie, kto im taką zasadzkę sprokurował.

Wystrzały i szczęk oręża kazały mi zawrócić. Rzuciłem się biegiem, w głowie huczało mi pytanie, co też wyprawia się na placu Przemienienia Pańskiego. Prędko jednak ostrożność na nowo zagościła w moim sercu. Kto traci rozum – to jedna z żołnierskich prawd, jakie wpoił mi był mój kapitan – ten łącznie i głowę też straci, nierzadko w najmniej szlachetny sposób, bo z katowskiej łapy. Stałem przeto z duszą na ramieniu i jałem rozmyślać, co będzie krokiem najbardziej dorzecznym i zali swą na miejscu walki przytomnością przydam się moim przyjaciom, czy też raczej biedy im napytam. Właśnie nad tym deliberowałem, kiedy posłyszałem tupot czyjś pośpieszny. Ktoś nadbiegał, a za nim niósł się przeraźliwy okrzyk „Strzeż się inkwizycji!”, który w owym czasie, jak już wspominałem waszmościom, potrafił zjeżyć włos na łbie największemu wesołkowi w fanfarońskiej kompanii.

Postanowiłem zachować się roztropnie i w okamgnieniu skoczyłem pod ciągnący się wzdłuż uliczki murek kamienny, by pod jego gzymsem znaleźć

schronienie. Ledwie oddech złapałem, a już kroki czyjeś przebiegły mimo, padły kolejne okrzyki i wystrzały, zaraz też gdzieś w pobliżu żelastwo jęło brzęczeć. Nie mogłem dłużej trapić się o los kapitana i mości Francisca, bom się właśnie musiał nad własnym pochylić – oto bowiem czyjeś ciało z góry na mnie się zważyło. Już miałem szurnać z mej kryjówki niczym wypłoszony z kotlinki szarak, atoli przybysz wydał z siebie żałośliwy jęk, który kazał mi baczniejszą poświęcić mu uwagę. W świetle miesiąca dostrzegłem w nim młodszego z synów pana de la Cruz, tego, co go mość Luisem zwano, który właśnie z raną ciężką spod klasztoru rejterował. Schyliwszy się nad nim, ujrzałem w półmroku jego zatrwożone oczy, gorejące febrą w nocnej poświacie. Dłoń do mego lica przyłożył jak ślepiec, usiłujący ludzi rozpoznać, po czym przewrócił się do przodu, powalony czymś, co zrazu wziąłem za napad niemocy. Wszelako kiedym ręką go dotknął, zaraz ją cofnąłem, widząc, że chłopak krwią broczy. Mość Luis był podziurawiony od pocisku z arkebuza i mnogich ciosów rapiera, a kiedy padł na koniec w me ramiona, poczułem woń świeżego potu zmieszaną ze słodkim, omdlewającym zapachem krwi.

– Pomóż mi, chłopcze – wymamrotał.

Ozwał się tak słabo i cicho, że ledwie pojął, co rzecze, a oddech, który przy tym z wątpi wypuścił, jeszcze jakby sił mu ujął. Chciałem się wyprostować, zarzuciwszy go sobie przez ramię, atoli ciężki był srodze, a i rany stały na przeszkodzie. Sprawilem jeno, że przeciągle z bólu zaskowyczał. Był bez rapiera, uzbrojony tylko w sztylet do pasa przypięty, którego rękojeść musnąłem, gdym unieść młodzieńca usiłował.

– Pomóż mi – powtórzył.

Kiedy tak życie zeń umykało, znacznie młodszy się wydawał, niemal w moim wieku. Wszelka duma i postawa, które takie były wprzód, wrazenie na mnie wywarły, teraz rozwiały się ze szczętem. Lubo starszy ode mnie i

mężniejszy, przypominał teraz rzeszoto, ja zaś, zdrów i cały, byłem jego jedyną nadzieją. Od razu poczułem ciężącą na mnie odpowiedzialność. Zdusiłem tedy naturalny odruch, by go ostawić i co sił w nogach samemu szukać ocalenia, przywarłem doń, wsunąłem ramiona pod jego pachy i dźwignąłem, próbując na plecach go unieść. Wycieńczony był wszakże i na własnej krwi się ślizgał. W desperacji przetarłem dłonią twarz, tym samym brukając ją sobie lepkiem płynem, który kapał na mnie z góry. Mość Luis znów na murek opadł, tym razem już się jednak nawet nie skarżył. Po omacku jąłem szukać jednej ze szpar, którymi życie zeń umykało, chcąc zatamować upływ krwi wyciągniętym z kieszeni gałganem. Ale gdym na dziurę natrafił i palce w nią zagłębiłem niby święty Tomasz, pojąłem, że to już nie ma znaczenia i że młodzian świtu nie dożyje.

We łbie miałem nadzwyczajną jasność. Pora zabierać się stąd, Íñigo – powtarzałem w duchu. Palba i wrzawa przyklasztorna ucichły, a cisza, jaka nastąpiła, zdawała się jeszcze bardziej złowroga, o ile to możliwe. Pomyślałem o kapitanie i mość Franciscu. Teraz albo już nie żyli, albo zostali ujęci, albo też dawali nogę. Żadna z tych trzech możliwości otuchy mi nie dodała, lubo ufność, jaką w kunszcie szermierczym poety i w spokoju mego pana pokładałem, pozwalała domniemywać, że raczej zdołali się ukryć albo że azyl znaleźli w którymś z pobliskich kościołów. Chociaż o tej porze trudno trafić na otwartą świątynię...

Wyprostowałem się z wolna. Skulony mość Luis de la Cruz już nie jęczał. Umierał w ciszy, jedyne, com słyszał, to jego oddech, coraz słabszy i coraz bardziej nierówny, przerywany raz po raz przykrym gulgotem. Nie miał już siły ani pomocy prosić, ani mówić do mnie „chłopcze”. Tonął we własnej krwi, spływającej do wielkiej kałuży, w której odbijała się księżycowa poświata.

Hen w oddali rozbrzmiał ostatni wystrzał z pistoletu albo arkebuz, rzekłbyś, kogoś gonili jeszcze, a ja uczepiłem się kurczowo myśli, że to bezsilny prześladowca mierzy w ulotny cień kapitana Alariste, który właśnie bezpieczny przepadł w ciemnościach. Teraz przeto należało poszukać schronienia także dla mej młodej skóry. Zwróciłem się tedy znów ku konającemu, wyciągnąłem mu zza pasa sztylet, który w ostatniej podróży nijak mu już się nie mógł przysłużyć, i ująwszy krzepko broń w rękę, wyprostowałem się, zamierzając czym prędzej nogi za pas wziąć.

I wtedy usłyszałem melodyjkę. Coś jakby *tiruri-ta-ta*, które zagwizdano tuż za moimi plecami. Zmartwiałem, a palce moje, krwią Luisa de la Cruz powalane, zacisnęły się na rękojeści. Obróciłem się z wolna i stal uniosłem, która zabłysła mi na moment tuż przed oczyma. Nieopodal stał, oparty o murek, jakże znajomy cień: ciemna postać, odziana w czarny płaszcz i kapelusz o szerokim rondzie. A ledwie go rozpoznał, zmiarkowałem, że pułapka śmiertelną jest i że ja także w potrzask dałem się złapać.

– I znów się spotykamy, mały – ozwał się cień.

Cichy, świszczący głos Gualteria Malatesty rozlegał się w nocnej ciszy niczym wyrok śmierci. Zapytacie waszmościowie, czemuż u licha nie pierchnąłem stamtąd, gdzie pieprz rośnie, tylko trwałem tam jak w ziemię wrośnięty. Owóż dla dwóch przyczyn: po pierwsze, zjawienie się Włocha sprawiło, że poczułem się, jak gdyby mnie wmurowali, po drugie zaś, mój wróg stał akuratnie na drodze, którą mógłbym dać drapak z kąta, gdzie dogorywał nieszczęsny Luis de la Cruz. Oto dlaczego zamarłem tam ze sztyletem w dłoni, a Malatesta przypatrywał mi się ze spokojem, jakby całą piekielną wieczność miał do dyspozycji.

– Znów się spotykamy – powtórzył i z niejakim ociąganiem się, jakby kosztowało go to pewien wysiłek, odsunął się od murku i postąpił ku mnie jeden krok. Tylko jeden. Zmiarkowałem, że rapier wciąż ma w pochwie

schowany. Poruszyłem lekko sztyletem, nie opuszczając go ani na moment. Między nami załśniła słabo wąska głownia.

– Daj mi to – powiedział.

Zacisnąłem zęby bez słowa, by trwogi mej całej odkryć nie zdołał. Z ziemi gdzieś obok mnie dobiegł nas jeszcze jeden jęk umierającego i na koniec rżenie jego ustało. Na broń w mej dłoni wzniesioną nie bacząc, Malatesta postąpił kilka kroków ku tamtemu i pochylił się nad nim z uwagą.

– Kat będzie miał mniej roboty.

Co mówiąc, popchnął leżącego stopą, za czym ku mnie na powrót się obrócił. Pomimo ciemności zdołałem dostrzec, że wielce się zdumiał, widząc, że wciąż stoję i sztyletem się nań zamierzam.

– Rzuć to, mały – mruknął, ledwie na mnie patrząc.

Naokoło inne cienie jęły z głębi nocy się wyłaniać, zewsząd zbliżali się zbrojni. Ci snadź mieli pistolety, rapiery i sztylety na wierzchu. Na murek padł cień pobliskiego załomu, ktoś nadchodził z latarnią. Mroczny zarys zrazu wystrzelił nad nasze głowy, potem opadł w dół. W blasku lampy ujrzałem, jak czarny cień Włocha opada prosto na Luisa de la Cruz. Młodzian leżał skulony bez ruchu na ziemi, i gdyby nie jego wytrzeszczone oczy, przysięgłbyś, że usnął w ogromnej, czerwonej kałuży.

Latarnia była coraz bliżej, teraz cień Malatesty spowił i mnie. Jego sylwetka odcinała się wyraźnie na tle metalicznych błysków, z jakimi nadchodzili prześladowcy. Nie kwapiłem się opuścić sztyletu. A gdy światło zatrzymało się tuż–tuż, zobaczyłem przed sobą wychudły, podziobany ospą i naznaczony szramami profil łotra, zgoła posepnemu księżycowi podobny. Jego czarne jak i cała postać oczka świdrowały mnie z baczny rozbawieniem sponad cieniutko przystrzyżonych wąsików.

– Oddajże się w ręce Świętego Oficjum, mały – ozwał się, a owo przerażające wezwanie zabrzmiało w jego ustach jak kpina, uśmiezek zaś mu towarzyszył, który łącznie za śmiertelną groźbę mógł uchodzić.

Trwoga zdjęła mnie tak przemożna, że ani słowa wydusić nie był w stanie, ani nawet ruszyć się, trwałem przeto dalej zastygły, nadal ze sztyletem wysoko uniesionym. Śmiem podejrzewać, że w oczach tamtych mogło to wyglądać na dziarski upór. Temu przypisuję wyraz pewnego zaciekawienia w spojrzeniu tych nienawistnych czarnych oczu. Chwilę później kilku zbójów ruszyło ku mnie, jakby chcieli się ze mną na miejscu rozprawić, aliści Malatesta powstrzymał ich jednym gestem. Następnie powoli, jakby czas na opamiętanie dać mi chciał, wysunął z pochwy swój rapier. Rapier długi, zdający się nie mieć końca, o wielkich jelcach i szerokiej gardzie. Czas jakiś przypatrywał się głowni z uwagą, po czym wzniosł ją niespiesznie, aż zaśniła naprzeciw mnie. Wobec takiej broni mój sztylecik musiał wyglądać krotochwilnie. Atoli był to mój sztylet, lubo więc ramię jęło już ciężać mi niby kawał ołowiu, nie opuściłem go i bez najmniejszego drgnienia nadal stałem, wpatrując się w oczy Włocha jak w ślepie niepojętej zmi.



I raptem, nie wiedzieć skąd, o dwa cale od lica mego ujrzałem koniec wrażego rapiera.

– Ma młokos animusz.

Wokół śmiechy się rozległy wśród cieni, co nas i latarnię otaczały. Malatesta wyciągnął rapier i musnął puntę mojego sztyletu. Od brzęku metalu zjeżył mi się włos na głowie.

– Rzuć to – rzekł tamten.

I znów ktoś się zaśmiał, teraz wszelako aż krew we mnie zawrzała. Wściekle uderzyłem moim ostrzem, odpychając głównię Włocha, a szcęk broni zabrzmiał jak wyzwanie. I raptem, nie wiedzieć skąd, o dwa cale od lica mego ujrzałem koniec wrażego rapiera. Trwał przede mną nieruchomo, jak gdyby rozważał, czy ma mi twarz na wskroś przewiercić, czy też nie. Ponowiłem mój sztych, ale tym razem głównia znikła mi z oczu i cios mój trafił w próżnię.

Znów otoczył mnie chór śmiechów. Ja zaś poczułem się głęboko skrzywdzony i bezmiernie niepokieszony. Ogromny smutek mnie ogarnął i na płacz mi się zebrało, ale nie w oczach – wszak duma nie zezwalała, by wilgoć się w nich zaległa – jeno w sercu i gardzieli. I pojąłem, że na pewne rzeczy żaden człek zgody swej dać nie powinien, choćby miał to życiem przyplacić, a może właśnie dlatego. W tym przemożnym smutku stanęły mi przed oczami duszy obrazy gór i zielonych pól mego dzieciństwa, dymy z kominów przez poranną rosę płynące, twarde i szorstkie dłonie rodzica mego, dotyk jego wąsisk w dniu, kiedy ostatni raz objął mnie był, gdy ja jeszcze niewiele rozumiałem, a on właśnie szedł na spotkanie swego przeznaczenia pod Jülich. I poczułem ciepło od kominka płynące, i zamajaczyła mi postać matki wedle ognia pochylonej nad szyciem albo strawy przyrzadzaniem, i posłyszałem śmiech mych siostrzyczek, igrających gdzieś w pobliżu. Zackniło mi się rozpaczliwie do przytulnego łóżka o zimowym świcie. Zaraz potem pomyślałem o niebie błękitnym niby oczy Angéliki de Alquézar i żałowałem, że nie mogę nad sobą go zobaczyć, bo oto koniec mój nadchodzi w ciemności, w świetle latarni jeno, i będzie to koniec mroczny i posepny. Ale nikt nie wybiera swej godziny. A ta godzina niewątpliwie przyszła akurat na mnie.

Czas zatem umierać – powiedziałem w duchu. I z całą żywotnością mych trzynastu wiosen, jaką zdołałem zebrać, z całą rozpaczą, że tylu

pięknych rzeczy już nigdy nie doświadczę popatrzyłem na czubek wrażego żelaza i duszę Bogu poleciłem najprostszą modlitwą, jaką macierz moja wpoila mi była w jej rodzimej mowie baskijskiej, kiedy tylko mówić zacząłem. A potem, pewnym będąc, że ojciec oczekuje mnie z otwartymi ramionami i dumnym uśmiechem na ustach, dłoń krzepko na sztylcie zacisnąłem, zamknąłem oczy i na oślepie siekąc, rzuciłem się w kierunku rapiera Gualteria Malatesty.

Żyłem. Ilekroć później usiłowałem przypomnieć sobie ową chwilę, udawało mi się jeno odtworzyć ciąg pewnych doznań. Oto ostatni błysk stali przed oczami, znużenie ręki zadającej ciosy na prawo i lewo, skok naprzód w kompletną pustkę, gdzie nie spotkała mnie ani stal, ani ból, ani opór żaden. Raptem poczułem jakieś ciało, mocne i twarde, czyjąś szatę, dłoń silną, która mnie podtrzymała, a może snadź objęła w trosce o to, bym krzywdy sobie nie napytał. A ja usiłowałem wyrwać się by kolejny sztych zadać, miotałem się w milczeniu, blisko zaś głos z lekkim włoskim akcentem szeptał niemal z czułością: „Spokojnie, mały, spokojnie!”, jakbym to ja sam siebie najłatwiej mógł zranić ostrzem sztyletu. A potem, kiedym tak walczył z twarzą wciśniętą w tamto ciemne odzienie, które woń i potu, i skóry, i metalu wydzielalo, dłoń, co niby mnie obejmowała lub też ochraniała, z wolna wykręciła mi rękę, aż nareszcie broń swą wypuściłem. Znów na płacz mi się zebrało i ochotnie bym łzami wybuchł, wprzódy jednak ścisnąłem nienawistne ramię z furią i z całej siły, niczym pies obrończy, co gotów jest zginać raczej, niżli dać się okiełznać. I nie puściłbym go, gdyby ta sama dłoń w pięść się nie zacisnęła i potężnego ciosu mi nie zadała tuż za uchem. Noc rozleciała się wówczas na tysiące kawałków, a ja zapadłem w raptowny, ciężki sen. W czarną, próżną otchłań,

w którą runąłem bez jednego jęku ni słowa skargi. Gotów stanąć przed Bogiem jak prawy żołnierz.

A potem przyśniło mi się, że nie umarłem. I w wielką bojaźń popadłem, gdym pewności nabrał, że będę się musiał przebudzić.





V. W IMIĘ BOŻE.



rzebudziłem się raptownie, pogrążony w mroku i cały obolały. Znajdowałem się w jadącym powozie, którego okna były zaciemnione. Coś ciążyło mi u nadgarstków, a kiedym się poruszył, posłyszałem dźwięczenie metalu, co wielką trwogą mnie napełniło: oto założono mi na ręce kajdany, umocowane łańcuchem do podłogi pojazdu. Przez szpary wdzierало się światło, z czego zmiarkowałem, że wstał już dzień. Sam nie miałem pojęcia, ile czasu minęło od chwili mego pojmania. Powóz jechał wszelako z jednostajną prędkością, czasem jeno, gdy szlak wiódł pod górę, dobiegało mnie trzaskanie bicia i okrzyki woźnicy, gdy muły ponagłał. Słysząc też było klekot końskich kopyt, to przyśpieszających, to znów zwalniających. Powieźli mnie tedy poza miasto, skutego i pod eskortą. A wnosząc z tego, com był usłyszał, gdy mnie pochwycili, wpadłem w ręce inkwizycji. Nie trzeba było zbytnio mózgownicy nadwierać, by prawidłowy wyciągnąć wniosek: jeśli ktoś miał przed sobą czarne perspektywy, to ni mniej, ni więcej tym kimś byłem ja.

Rozplakałem się. Szlochałem rozżalony wśród terkotu kół i ciemności, w której żadne oko dojrzeć mnie nie mogło. Szlochałem dopóty, dopóki łez mi starczyło, a potem skuliłem się, chlipiąc, w kącie. Pozostało mi jeno czekanie, czekałem więc, ze strachu przymierając. Jak każdy ówczesny

Hiszpan, wystarczająco wiele wiedziałem o praktykach inkwizycji – jej cień posepny od lat stanowił część krajobrazu, w jakim życie nasze upływało – mogłem się tedy łącno dorozumieć, jakie było me przeznaczenie: tajemne kazamaty Świętego Oficjum w Toledo.

Wspominałem już bodajże wcześniej waszmościom o inkwizycji. Nie była ona w naszej ojczyźnie gorsza zgoła niżli w innych krajach Europy, a przecież Holendrzy, Anglicy, Francuzi i luteranie, nasi podówczas naturalni wrogowie, włączyli ją do Czarnej Legendy, która później poręcznym była uzasadnieniem pogromu imperium hiszpańskiego, gdy już ostatecznie podupadło. Prawda, Święte Oficjum, dla pilnowania czystości wiary powołane, w Hiszpanii na przykład większym okrucieństwem zasłynęło niż we Włoszech czy Portugalii, a jeszcze gorzej rzecz się miała w Indiach Zachodnich. Aliści inkwizycja funkcjonowała przecież i w innych miejscach. Co więcej, czy to za jej pośrednictwem, czy też nie, Niemcy, Francuzi albo Anglicy upiekli na stosach liczniejszy tłum odszczepieńców, czarownic i zwykłych nieszczęśników niżli my, Hiszpanie. Tutaj przynajmniej, za sprawą skrupulatnej biurokracji habsburskiej, każdy spalony – też było ich niemało, wszelako nie aż tylu – miał spisane, jak się patrzy, akta procesowe z imieniem i nazwiskiem. Niczym takim nie mogą się, oczywista, legitymować ani żabojady i ich arcychrześcijański monarcha, ani przekłęci schizmatycy z Renu, ani nieodmiennie fałszywa Anglia, siedlisko nędzników i piratów. Oni wszyscy, banda wszetecznych obłudników, stosy wznosili z wielkim ukontentowaniem, tysiącami, bez ładu i porządku, wedle ochoty albo gwoli zabezpieczenia interesów. Ponadto w owej epoce sprawiedliwość świecka była równie okrutna, co i kościelna, także samo przedstawiała się rzecz z pospółstwem, które już to wiedzą nieskalane, już to igraszkę w tym widząc, lubowało się w

makabrycznych widowiskach. Poza wszelką wątpliwością inkwizycja często stanowiła broń na użytek rządów królewskich, jako to się przedstawiało za naszego Filipa Czwartego, który w swej kompetencji zatrzymał sprawy tak zwanych nowych chrześcijan i judaizantów, ściganie czarownic, bigamistów i sodomitów, a nawet cenzurę książek, walkę z kontrabandą broni i rumaków oraz z fałszerzami pieniędzy. Tu argumentowano, że przemytnicy tudzież fałszerze szkodę przynoszą ogromną samej monarchii, a że ta była obrończynią wiary, kogokolwiek zatem uznawano za jej wroga, stawał się także wrogiem Boga, niejako z urzędu.

A przecież, lubo za granicą sporo kalumnii na nasz kraj rzucono, lubo nie wszystkie procesy stos uwieńczył, lubo mnogie były przykłady, gdy miłosierdzie i sprawiedliwość górę wzięły – inkwizycja zgubny wpływ na kraj miała, jak zawsze bywa, kiedy gdzie nadmierna władza się skupi. Upadek zaś, którego doświadczyliśmy w Hiszpanii w naszym stuleciu – istna lawina błota, która już wiele dobra pochłonęła i wiele jeszcze pochłonie – wydarzył się przede wszystkim dla tej przyczyny, że Święte Oficjum krępowało swobody, tamowało dopływ kultury, jątrzyło w sercach i ciemnotę religijną wzniecało. A takowe przerażenie budziło, że tak zwani krewniacy inkwizycji, to jest zaufani agenci (godność tę można było pozyskać za pieniądze), absolutną bezkarnością się cieszyli. Słowa zaś „krewniak Świętego Oficjum” tyle samo znaczyły, co „szpieg” albo „donosiciel”, a było ich za naszego katolickiego Filipa w Hiszpanii jakie dwadzieścia tysięcy. I teraz wystawcie sobie waszmościowie, jaką rolę odgrywała inkwizycja w naszej iberyjskiej ojczyźnie, gdzie sędzięgo łacniej przekonałeś garścią dublonów niżli widomym dowodem, gdzie nawet mogłeś kupić i sprzedać Przenajświętszy Sakrament i gdzie każdy kumoter miał z kimś na pieńku. Nie można było dwóch takich Hiszpanów znaleźć –

i klnę się, że nadal nie można – co by czekoladę na śniadanie na taką samą modłę przyrządzoną pili, bo zawsze jeden ją pija aromatyzowaną, drugi czarną, ten z mlekiem, tamten z grzankami, ów zaś w czarce i z sucharkiem. I sztuka nie polegała na tym, by być dobrym katolikiem i starym chrześcijaninem, ale na tym, by za takiego uchodzić. To zaś najlepiej się udawało, jeśliś wydał kogoś, kto nie był katolikiem, albo zgoła niewinnego, któregoś podejrzewał, już to przez zawiść, już to przez stare niesnaski, zazdrość albo nierozstrzygnięty spór. Osobliwie wśród gminu, jak łatwo się domyślić, donosy sypały się jeden za drugim, a to „wiem z szanowanych ust”, a to „powiadają, że”, bez ustanku. Tedy jeżeli nieubłagany palec Świętego Oficjum wskazał na jakiego nieboraka, tego natychmiast odtrącali protektorzy, przyjaciele oraz krewni. Nie dziwota, że syn ojca denuncjował, żona męża, uwięziony współników, a jeśli ich nie miał, to ich imaginował, gwoli uniknięcia tortur i śmierci.

Owóż w taką to sieć okrutną wpadłem ja, z moimi trzynastoma wiosnami, wiedząc, jaka przyszłość mnie czeka, i nie śmiać nawet zbytnio rzeczy całej roztrząsać. Znałem opowieści o takich, co życie sobie odebrali, byle tylko nie zaznać okropności turmy, do której mnie wieziono. I klnę się, że owego dnia w mrocznym wnętrzu powozu, bez ochyby zrozumiałem tych nieszczęśników. O ileż łatwiej i godniej byłoby dać się przekłuć rapierem Gualteria Malatesty, byłby to koniec raptowny a czysty. Aliści Boża Opatrzność wolała snadź poddać mnie i tej próbie. Przeto westchnąłem głęboko, skulony w kącie pojazdu, gotując się z rezygnacją na nadejście mego losu. Aczkolwiek po stokroć wolałem, by Opatrzność, Boża czy jakakolwiek inna, przeznaczyła taką próbę dla kogoś innego.

W toku dalszej podróży rozmyślałem wiele o kapitanie Alatryste. Z całej duszy pragnąłem, by był bezpieczny, może gdzieś w pobliżu i na siłach, by móc mnie wyswobodzić. Rychło wszelako myśl tę zarzuciłem. Nawet jeżeli

zdołał się wymknąć z pułapki, którą świetnie umyślili sobie byli jego wrogowie, to przecież nie znajdowaliśmy się wśród bohaterów rycerskiego romansu, a kajdany dzwoniące na mych przegubach z każdym wahnięciem powozu aż nadto rzeczywistymi były. Podobnie jak strach mój, osamotnienie i niepewna przyszłość. A może raczej pewna. Przyznam się tutaj waszmościom, że dopiero późniejszy żywot mój, upływ czasu, przygody, miłości i wojenki pod sztandarem naszego króla sprawiły, że wiarę w wiele rzeczy utraciłem. Atoli już podówczas, lubo takim byłem młokosem, z pewnością dawno już nie wierzyłem w cuda.

Powóz stanął. Usłyszałem, że woźnica muły zmienia, co snadź oznaczało, że zatrzymaliśmy się przy jakiejś stacji kurierskiej. Usiłowałem skalkulować, jak daleko dojechaliśmy, gdy wtem drzwiczki się otwały. Raptowna jasność dnia tak mnie oślepiła, że przez kilka chwil nic nie widziałem. Dopiero oczy przetarłszy, ujrzałem Gualteria Malatestę, jak stoi przy schodkach i bacznie mi się przygląda. Jak zwykle na czarno odziany, z takimiż rękawiczkami, butami i piórem na kapeluszu, z ciemnym wąsikiem, który jeszcze bardziej chude jego rysy podkreślał. Na tym zgoła schludnym tle wielce odcinało się jego poszatkowane bliznami i dziobami oblicze, przypominające raczej pole bitwy. Za plecami jego i po drugiej stronie rozległej doliny, mniej więcej o pół mili odległe, majaczyło Toledo, skrzące się w zachodzącym słońcu. Ponad starymi murami dumnie wznosiła się forteca cesarza Karola.

– Tu się pożegnamy, mały – powiedział Malatesta.

Popatrzyłem nań oniemiały, nie pojmując. Musiałem wyglądać bardzo żałośnie z plamami zaschniętej krwi nieszczęsnego Luisa de la Cruz na licu i odzieniu, do tego podróżą utrudzony. Zdało mi się przez chwilę, że Włoch

marszczy się ponuro, jakby nie ukontentował go mój widok albo mój stan. Wpatrywałem się weń zalterowany.



Ruchem ręki wskazał zarys miasta, piętrzący się za nim.

– Dalej inni się tobą zajmą – dodał wreszcie.

Przez usta przemknął mu cień uśmiechu, częsty u niego powolny, okrutny i niebezpieczny grymas, przy którym białe zęby błyskały mu z nagłą niczym wilcze kły. Atoli równie szybko poniechał go, jakby z niechęcią. Może zmiarkował, że dosyć jestem poniżony, by jeszcze mnie tym podłym uśmieszkiem dobijać. Z pewnością okoliczności nie w smak mu były. Jeszcze chwilę przyglądał mi się, po czym z zagadkową miną na drzwiczkach dłoń położył, by je na powrót zawrzeć.

– Dokąd mnie wiozą? – spytałem.

Głos mój zabrzmiał niemrawo, nieznajomo, jak gdyby do innej osoby należał. Włoch przez dłuższą chwilę milczał i tylko jego oczy, jak śmierć czarne, patrzyły na mnie bez zmużenia. Gualterio Malatesta zawsze spoglądał tak, jakby powiek nie miał.

– Tam.

Ruchem ręki wskazał zarys miasta, piętrzący się za nim. Rzuciłem okiem na jego dłoń wspartą na drzwiczkach i zdało mi się, że to katowska ręka na wieku trumny. I naraz zachciałem przedłużyć ową chwilę, nie byłem wszak pewien, kiedy znowu słoneczne promienie ujrzyć zdołam.

– Ale dlaczego?... Co ja zrobiłem?

Nie odpowiedział. Tylko obserwował mnie jeszcze przez moment. Dobiegał mnie odgłos zmienianych mułów, a kiedy zaprzężono nowe sztuki, cały pojazd aż się zatrząsł. Za plecami Włocha przeszli jacyś ludzie, po zęby uzbrojeni, a wraz z nimi biało–czarne habity paru dominikanów. Jeden z nich, mijając nas, zerknął na mnie zdawkowym, obojętnym wzrokiem, jak gdybym nie ludzką istotą był, a przedmiotem. I owo spojrzenie napełniło mnie przeogromną bojaźnią.

– Przykro mi, mały – ozwał się Malatesta.

Snadź odgadł przerażenie, jakie mnie ogarnęło. I niech mnie diabli porwą, jeśli nie mówił słów tych szczerze. Atoli trwało to okamgnienie. Trzy słowa jeno i drobny błysk w czarnych oczach. Lecz kiedy zapragnąłem uczepić się tej isierki współczucia, mój wzrok znów rozbił się o obojętną maskę płatnego zabijaki. Właśnie zaczynał zamykać drzwiczki.

– A co z kapitanem? – zapytałem z niepokojem, próbując zatrzymać jeszcze na chwilę widok słońca, którego chcieli pozbawić mnie może na zawsze.

Nie ozwał się ni słowem. Promienie padały z boku na jego ciemny profil. I wtedy bez najmniejszej wątpliwości dostrzegłem, jak przez oblicze przebiega mu lekki grymas niechęci. Trwało to króciutko i zaraz ustąpiło ponownie owemu niebezpiecznemu uśmieszkowi okrutnego rzeźnika, jaki wykwitł mu na bladych, zimnych ustach. Za to moje serce aż podskoczyło z radości, tedy nie dbałem już o jego grymasy. Zmiarkowałem bowiem natychmiast, że Diego Alatryste zdołał ujść z zasadzki.

Malatesta zatrzasnął drzwiczki, na powrót ostawiając mnie na pastwę ciemności. Posłyszałem niewyraźne rozkazy, oddalający się galop koński, wreszcie trzask bicia. Muły ruszyły i powóz potoczył się dalej, wioząc mnie tam, gdzie nawet Bóg nie zechciałby stanąć w mej obronie.

O bezbronności mej w rękach wszechpotężnej, bezdusznej, a zatem i bezlitosnej maszyny miałem się przekonać, ledwie mi z powozu wysiadać kazali. Znalazłem się na środku posępnego dziedzińca, który z uwagi na zmierzch jeszcze mroczniejszym się zdawał. Zaraz zdjęto mi kajdany, po czym odprowadziła mnie do lochu milcząca eskorta, złożona z czterech pachołków Świętego Oficjum i dwóch dominikanów, których jużem był przy zmianie mułów obaczył. Oszczędzę waszmościom wszystkich ceregieli: dość rzec, że zrazu obnażyli mnie do cna i skrupulatny spis mojego dobytku sporządzili, następnie zaś skryba miejscowy dokonał wstępnego przesłuchania, dopytując się o me imię, nazwiska, wiek, dalej jak się zwali mój ojciec i matka, czworo dziadków i ośmioro pradziadków, gdzie teraz mieszkam i gdzie na świat przyszedł. Potem, tonem srodze znużonym, sprawdził mą znajomość *Ojciec nasz* i *Zdrowaś Mario*, by na koniec zapytać, zali orientuję się, jak wiele osób zamieszanych jest w tę sprawę w związku z moim położeniem. Ale gdym zaciekawiał się, jakie jest moje położenie, nic nie odrzekł. Spytałem, czemu mnie tu przywieziono, i

też niczem się nie dowiedział. Jął za to naciskać, bym nazwiska swoich znajomych podał, i tu ja zamilkłem, udając wielce skonfundowanego i wystraszonego, lubo – jeżeli mam być szczery – chyba nie było w tym nijakiego udawania. Tamten jeszcze bardziej na mnie napadł, przeto wybuchłem pełnym żalu niepomiernego płaczem, z czego snadź zmiarkował, że na razie wystarczy, bo pióro w inkaust wsadził, posypał piaskiem zapisaną stronicę i złożył swoje papiery. Uznałem tedy, że ilekroć będą na mnie naciskać, winienem natychmiast w szloch uderzać, a też i podejrzewałem, że nie będzie mi to z ogromnym trudem przychodzić. Albowiem podszeptował mi zboląły głos w duchu, że jednego tu nie zabraknie, a mianowicie powodów do rzęśistego płaczu.

Sądziłem, że nadszedł koniec formalności, ale właśnie okazało się, że to dopiero prolog, wstęp, i że nawet pierwszy akt się jeszcze nie rozpoczął. Dotarło to do mnie, gdy zaprowadzono mnie do kwadratowej izby, bez jednego okna, choćby najmniejszego, oświetlonej sporym kandelabrem. Jedyne sprzęty, jakie dojrzałem, to ogromny stół, drugi mniejszy z przyborami do pisania i kilka ławek. Za dużym stołem zasiadali owi dwaj dominikanie ze stacji kurierskiej i trzeci osobnik o ciemnej brodzie, ze złotym krzyżem na piersi i w czarną suknię odziany, w której surowego sędziego wrażenie sprawiał. Przy stole mniejszym siedział pisarz, ale nie ten sam, co podczas wstępnego przesłuchania: ten łacniej kruka przypominał i pilnie zapisywał wszystko, cokolwiek było mówione, a lękałem się srodze, że także to, co mówione nie było. Pilnowało mnie dwóch oprychów, jeden rosły i mocarny, drugi chudy z rudymi włosami. Na ścianie zasię wisiał krucyfiks, którego Mieszkaniec wyglądał, jakby też przeszedł był przez łapy zgromadzonego tu trybunału.

Jak rychło zmiarkowałem, najgorsze, co spotyka więźnia tajnych kazamat inkwizycji, jest to, że nikt ci nie zdradzi, na czym przestępstwo

twe polega, jakie mają przeciw tobie dowody, jakich świadków, zgoła nic a nic. Inkwizytorzy stawiają pytanie za pytaniem, skryba wszystko notuje, ty zaś w głowę zachodzisz, czy to, coś powiedział, na poczet rozgrzeszenia czy raczej winy twej policzonym będzie. Tygodnie, miesiące, ba, lata nawet minąć mogły, a nie dowiedziałbyś się, za coś tam trafił, a jeżeli odpowiedzi twoje nie kontentowały przesłuchujących, ci mogli się do tortur uciec, by tą drogą zdobyć właściwe zeznanie i pożądane dowody. Przeto torturują cię, a ty odpowiadasz bez ładu i składu, nie wiedząc, co tak naprawdę miałeś wyznać. Tą drogą łącznie zmierzałeś, by w rozpacz popaść, przyjaciół świadomie albo i nieświadomie wydać, a także siebie samego, nierzadko zaś wiodła cię ona w otchłań szaleństwa i na śmierć. O ile wcześniej nie przyodziali cię w sambenito i czepiec²⁹ na szafot nie powiedli i szyi garotą nie opasali albo stosu przednich dREW pod stopy nie podłożyli, ku uciechu zgromadzonych na placu sąsiadów i dawnych przyjaciół, którzy teraz wieszali sobie zacnego widowiska.

Ja przynajmniej wiedziałem, dlaczego się tam znalazłem, lubo niewielką to dla mnie było pociechą. Dlatego też po pierwszych pytaniach pojąłem, że w niegorszą kabałę popadł. Osobliwie, kiedy młodszy mnich, ten sam, którego spojrzenie był przechwycił przy powozie podczas ostatniej rozmowy z Malatestą, zażądał, żebym imiona moich współników podał.

– Wspólników czego, Wasza Przewielebność?

– Nie jestem żadną Przewielebnością – odrzekł tamten ponuro, a od blasku kandelabru zaślniła mu rozległa tonsura. – A pytam cię o współników twego świętokradztwa.

Role były rozdzielone jak w teatrze. Brodacz w czarnej szacie milczał niczym sędzia, co jeno słucha i w duchu rozważa wszystko, by w swoim czasie sentencję ogłosić, dwaj zaś dominikanie z wigorem odgrywali bezlitosnego i dobrotliwego inkwizytora. Tym pierwszym był młodszy,

drugim zaś nieco starszy odeń, z wyglądu nieco zażywny i łagodny. Ale że spędziłem przed trybunałem wystarczająco dużo czasu, nauczyłem się rozpoznawać ich wszystkie sztuczki. Uznałem przeto, że nie należy ufać ani jednemu, ani drugiemu, a czarnego brodacza zgoła nie zauważać. Natomiast pojęcia nie miałem, jak dużo wiedzieli i czy moje świętokradztwo – jak byli je łaskawi nazwać – zgadzało się z tym, o co sami mnie posądzali. Wszak kiedy gadasz z kimś, kto władny jest ból ci sprawić, niebezpiecznie jest zagrać i zbyt niską kartą, i zbyt wysoką. A równie zgubne może się okazać, gdy powiesz pas.

– Nie mam współników, wielebny ojcze – zwróciłem się do tego zażywnego, lubo bez wielkich nadziei. – Anim świętokradztwa nijakiego się nie dopuścił.

– Zapierasz się – spytał młodszy – żeś w większej kompanii sprofanował konwent Benedyktynek Sakramentek?

To już było coś, aczkolwiek włos mi się zjeżył na samą myśl o konsekwencjach. Oto postawili mi konkretne oskarżenie. Oczywiście, zaparłem się. Zaraz też zaprzeczyłem, jakobym znał, choćby z widzenia jeno, owego rannego człeka, na którego się był przypadkowo natknął po drodze do domu, jak leżał pod murkiem nieopodal Gruszowej Strugi. Zaparłem się dalej, jakobym opór stawiał, kiedy mnie pojмали wysłannicy Świętego Oficjum, słowem – zaparłem się wszystkiego, czego tylko mogłem, krom niezaprzecznego faktu, że przyłapano mnie ze sztyletem w dłoni i zbrukanego cudzą krwią, która wciąż czerniała suchą plamą na mym kaftanie. Temu zaprzeczyć nie dałbym rady, przeto zabrnąłem w gąszcz całkiem niedorzecznych wykrętów i usprawiedliwień. Na koniec zasię rozplakałem się, co wedle mej rachuby mogło uchronić mnie przed dalszymi pytaniami. Ów trybunał wszelako niejedną łzę już był widział, mnisi przeto, brodacz i skryba, spokojnie odczekali, bym zawodzenia

zakończył. Snadź mieli dużo czasu, co wespół z jawną obojętnością – jako że ni zawzięci, ni rozdrażnieni nie byli, stawiali mi jeno co i raz te same pytania z nużącym uporem – największym napawało mnie lękiem. Lubom starania czynił, żeby wyglądać na chłopaka spokojnego i bystrego, co miało o mej niewinności zaświadczać, do cna bojaźnią byłem przepojony na widok ich oziębłej cierpliwości. Albowiem gdy już z górą dziesięć razy wyrzekłem swoje „nie” i „nie wiem”, także zażywny mnich swą rolę porzucił i jasnym się stało, że najbliższa miłosierna osoba znajduje się wiele mil ode mnie.

Niczego w ustach nie miałem od dwudziestu czterech godzin i już byłem bliski omdlenia, chociażem na ławeczce cały czas siedział. Skoro zatem płacz należytego skutku nie odnosił, jałem przemyśliwać, zali nie byłoby korzystniej przytomność stracić, co w mojej sytuacji nie musiało być zgoła wielką sztuką. I wtedy właśnie dominikanin powiedział coś, od czego istotnie omal wszelkich zmysłów nie postradałem: – Co wiesz o Diegu Alatriście y Tenorio, niesłusznie zwanym kapitanem Alatriście?

Toś ugrzązł z kretesem, Íñigo – pomyślałem. Przepadło. Na nic dalsze układy i czcza gadanina. Od tej chwili cokolwiek powiesz, czy potwierdzisz, czy zaprzeczysz w obecności owego skryby, co zapisuje niemal każdy twój oddech – wszystko może zostać wykorzystane przeciwko kapitanowi. Czyli masz zaniemówić i nieważne, co z tego dla ciebie wyniknie. Na przekór tedy memu położeniu, na przekór temu, że we łbie mi się kręciło i że ogarnęła mnie bezbrzeżna, niepowstrzymana panika, postanowiłem ostatkiem sił, że ani ci mnisi, ani tajne więzienia, ani rada Najświętszej Inkwizycji, ani sam papież nie wyrwą mi z ust jednego słówka na temat kapitana Alatriście.

– Odpowiedz na pytanie – polecił mi ten młodszy.

Nie posłuchałem go. Wpatrywałem się w podłogę przed sobą, w biegnącą skroś kamiennej płyty szczelinę, krętą jak mój pieski los. I nie przeniosłem wzroku nawet wówczas, gdy jeden ze strażników, których za plecami miałem, posłuchał rozkazu wydanego przez mnicha za pomocą jednego mrugnienia powiekami i zdzielił mnie potężnie w kark niby maczugą. Po wielkości dłoni domyśliłem się, że to ten większy i silniejszy.

– Odpowiedz na pytanie – powtórzył dominikanin.

Nadal gapiłem się na kamienną płytę, nie mówiąc ani mru–mru, gdy raptem dostałem w głowę cios jeszcze mocniejszy niżli poprzednio. Lubo bardzo się starałem, przecież łyzy dojmujące jak ból w karku popłynęły mi z oczu. Otarłem je wierzchem dłoni. Osobliwie teraz płakać nie chciałem.

– Odpowiedz na pytanie.

Zagryzłem wargi, by nawet ust nie otworzyć, ale wtem posadzka podskoczyła mi ku licu, a w bębenkach zahuczało mi, bach, jakby w głowie zagrał mi wytrawny dobosz. Tym razem cios powalił mnie twarzą na ziemię. Kamienie zionęły chłodem, podobnie jak głos, który rozległ się zaraz potem: – Odpowiedz na pytanie.

Słowa dobiegały z wielkiej dali, jak gdyby w gorączce złego snu. Czyjaś dłoń wykręciła mi twarz ku górze i ujrzałem nad sobą pochylone oblicze rudego strażnika, a zaraz za nim przesłuchującego mnie zakonnika. I nie zdołałem powstrzymać rozpaczliwego, zrezygnowanego jęku, bom zmiarkował, że nic mnie już stamtąd nie wybawi, albowiem ludzie owi mają do dyspozycji całą wieczność. Dla mnie zasię droga do piekła dopiero się rozpoczynała, a mnie też nie śpieszyło się wcale, by w podobną podróż się zabierać. Straciłem tedy przytomność akurat w chwili, gdy rudy za kaftan mnie chwycił, ażeby mnie podnieść. I biorę tu na świadka spoglądającego na mnie ze ściany Chrystusa: tym razem nie musiałem czegokolwiek udawać.

Nie wiem, ile czasu potem spędziłem w zawilgłej celi, gdzie za jedyne go towarzysza miałem olbrzymiego szczura, który czas mitrzył na obserwowaniu mnie z dziury ściekowej, znajdującej się w kącie pomieszczenia. Spałem, miałem koszmary, wyłapywałem pluskwy z odzienia dla zabicia czasu, trzykrotnie pożarłem skibę suchego chleba i miskę mdłej zupy, które posepny i niemy strażnik stawiał mi na progu, za każdym razem głośno szcękając kluczami i zamkami. Dumałem właśnie nad sposobem podejścia szczura i zabicia go, albowiem, obecność jego przyprawiała mnie o trwogę za każdym razem, ilekroć sen mnie morzył – gdy ryży strażnik wraz z tym tęgim (niech mu Bóg wypłaci tym samym, com od niego był ucierpiał) znów po mnie przyszli. Tym razem przemierzyliśmy dużo korytarzy, jeden w drugi o ciarki przyprawiających, aż dotarliśmy do izby podobnej do tamtej. Dostrzegłem wszelako kilka nowych ponurych szczegółów, jeśli chodzi o obecnych i sprzęty. Za stołem, krom brodacza w czarnej szacie, krukopodobnego pisarza i dwóch dominikanów, zasiadał jeszcze jeden zakonnik tejże reguły, do którego pozostali z wielką estymą i poddaństwem się odnosili. Sam jego widok bojaźnią napawał. Włosy miał siwe, krótko obcięte na kształt czepka nad skrońmi, jego zaś zapadnięte policzki, dłonie kościste niczym szpony, z rękawów habitu wystające, a osobliwie pałające fanatyczną gorączką oczy składały się na obraz człeka, którego nikt nie życzyłby sobie mieć za wroga. Przy nim cała pozostała kompania sprawiała wrażenie siostrzyczek miłosierdzia. Do tego dodam, że pod ścianą stało narzędzie tortur, zwane kozłem, ze sznurami gotowymi do przyjęcia nieboraka.³⁰ Jak zmiarkowałem, nie było już dla mnie miejsca do siedzenia, a nogi, które z takim trudem mnie utrzymywały, jeły mi się trząść jak galareta. Za mało tu było zwierzyny dla tylu drapieżców.

I teraz zaoszczędzę waszmościom opisu całej procedury i nużących pytań, jakie zadawali mi moi starzy znajomi dominikanie. Przez cały ten czas czarny brodacz i nowy inkwizytor słuchali bez słowa, strażnicy stali cicho za moimi plecami, a skryba moczył co raz to pióro w inkauscie i notował wszystko, com mówił i czegom nie powiedział. Tym razem dzięki nowo przybyłemu – podsuwał przesłuchującym jakieś kartki, które ci czytali z uwagą, nim kolejne pytanie mi stawiali – zdołałem już co nieco zorientować się, w jaką to kabałę wpadłem. Straszliwe słowo „judaizować” padło co najmniej pięciokrotnie, nieodmiennie jeżąc mi włos na głowie. Owe dziesięć liter niejednego już na stos zawiodło.

– Wiedziałaś, że rodzina de la Cruz nie posiada krwi czystej?

To zdanie dopadło mnie niczym potężny cios, bom się go zgoła nie spodziewałem. Od czasu, gdy Monarchowie Katoliccy wygnali byli Żydów³¹ inkwizycja skrupulatnie tępiła ślady religii mojżeszowej, osobliwie zaśię tych przechrztów, którzy potajemnie pozostali wierni wyznaniu przodków. W naszej obłudnej Hiszpanii, gdzie najnikczemniejszy ordynus mienił się szlachcicem i starym chrześcijaninem, rozpowszechniła się nienawiść do Żydów, a zaświadczenie o czystości krwi, autentyczne lub zdobyte za pieniądze, było nieodzowne, by dochrapać się godności czy ważniejszego urzędu. Moźni wzbogacali się na niecnym procederach, pozory stwarzając nabożeństwami i jałmużnami na pokaz, biedota tymczasem, złości i poczuciu krzywdy upust dając, zabijała głód i nudę, całując relikwie, polując na odpusty i z lubością prześladowując czarownice, heretyków i judaizantów. Wspominałem już przy jakiejś okazji, kiedym mówił o panu de Quevedo i innych, że nawet najtęższe umysły hiszpańskie nie potrafiły odegnąć od siebie tego tchnienia nienawiści i wstrętu wobec innowierców. Zważcie waszmościowie, wszak sam wielki Lope napisał:

*Nikczemny naród, wygnan przez Hadriana,*³²

*Na naszą hańbę do Hiszpanii przybył,
Świątą monarchię w dyby
Ucisku wciąż zagania,
Plugawi każdą piędź hiszpańskiej ziemi
Wszeteczne plemię, co się wielkim mieni.*³³

Inny znamienity komediopisarz, mość Pedro Calderón de la Barca, miał później w usta jednego ze swych bohaterów takie oto słowa włożyć: Antychryst siejący zgrozę!

*Wielu w płomieniach szczzło,
Ja zasię z lubością mogłem
Patrzyć, jak płoną, i mówić,
Kiedy podsyciałem ogień:
„Jam sędzią jest inkwizycji,
Wy zaś zdradzieckim pomiotem”.*³⁴

Nie zapominajmy przy tym o samym mości Franciscu de Quevedo – tymże poecie, który w owej nieszczęsnej chwili musiał albo niewolę cierpieć, albo kryć się gdzie, iż za punkt honoru poczytał był sobie pomóc przyjacielowi przechrzcie. On to wszak – o paradoksie naszej fatalnej i niepojętej epoki! – wyczelował niejeden wiersz i urywek prozy, skierowany przeciwko potomkom Mojżesza. Za panowania wielkiego a poczciwego Filipa Drugiego, a więc stosunkowo niedawno, kiedy spalono bądź przegnano protestantów i morysków, za to przyłączono do naszej monarchii królestwo Portugalii, wielka obfitość Żydów jawnych i ukrytych pojawiła się w naszych granicach. Ci stanowili tedy łakomy kąsek dla

inkwizycji, która nie omieszkała osaczać ich z wolna, jak hiena leżące ścierwo okrąża. Rzecz jasna, tu tkwiła kolejna kość niezgody pomiędzy faworytem hrabią de Olivares a radą Świętego Oficjum. Chcąc bowiem ocalić przed roztrwonieniem rozległe dziedzictwo habsburskie bez naruszania spustoszonych szkatuł wasali i zazdrośnie strzeżonych majątków szlachty, chcąc dalej pobić wroga we Flandrii i unieważnić statuty Aragonii i Katalonii (wszystko razem, jak to mówią, nie w kij pierdział) – mość Gaspar de Guzman robił wszystko, by monarchia nie wpadła w łapy bankierów genueńskich. W tym celu wielkie miał staranie, ażeby miast tych ostatnich powierzyć sprawy państwa ich portugalskim odpowiednikom – ci wprawdzie nie mogli udowodnić, że czystej są krwi, ich pieniądze wszelako miały jak najbardziej starochrześcijańskie pochodzenie, były czyste, przejrzyste i pięknie dźwięczące. To sprowokowało konflikt faworyta z radami królestwa, z inkwizycją i z samym nuncjuszem apostolskim, nasz król tymczasem, potulny gołowąs, w materii sumienia słaby jak i w wielu innych, niesłychaną bezradność okazywał i wolał, żeby wszystkich poddanych raczej rzetelnie złupić, ostatniego marawedi każdego pozbawiając, niżli żeby obca wiara w nas się wdała. Powiadając zaś bez ogródek, usiłował wykręcić się sianem, czy jak to się mówi. W miarę jak nasze stulecie upływało, nasz hrabia–diuk popadł w niełaskę, a wówczas Święta Inkwizycja wystawiła rachunek, rozpętując tak krwawą nagonkę na przechrztów, jakiej dotąd Hiszpania nie oglądała. Tym samym zamiary Olivaresa wniwecz obróciła, skutkiem czego siła hispanoportugalskich bankierów i kupców wyjechało precz do innych krajów, między innymi do Niderlandów, bogactwami swymi i smykałką do interesu zasilając majątek naszych przeciwników. Nam zaś z tego zostało się wielkie gówno. Wielkie, powiadam, jako żeśmy znaleźli się między Scyllą a Charybdą, bo tu tacy owacy możnowładcy i mnisi, tam zaś schizmatycy do spółki łącno ogolili

nas bez mydła. Na chudym psie same pchły skaczą, a nam Hiszpanom nie trzeba nikogo z zewnątrz, co by nam pętlę na szyję naciągnął, sami zawsze ze skóry wyjdziemy, byleby własnymi rękami to uczynić. I tak wśród całego tego galimatiasu utknąłem ja, nieopierzony jeszcze młokos, i wszelkie znaki wskazywały, że przyjdzie mi karku za to wszystko nadstawić. Westchnąłem z rezygnacją, zaczętem spojrzałem ku inkwizytorowi, którym wciąż był młodszy dominikanin. Skryba czekał z piórem uniesionym nad papierem, gapiąc się na mnie, jakbym już w jego oczach przeistaczał się w rozżarzone węgliki.

– Nie znam rodziny de la Cruz – odparłem wreszcie z całym przekonaniem, jakie wykrzesać zdołałem. – Przeto nie mnie sądzić o czystości ich krwi.

Pisarz pochylił się, jakby tej właśnie odpowiedzi się spodziewał, i zazgrzytał piórem, wracając do swego paskudnego zatrudnienia. Stary i chudy mnich nie spuszczał ze mnie wzroku.

– A wiesz – zapytał młody – że na Elvirze de la Cruz ciąży oskarżenie o to, że nakłaniała inne mniszki i nowicjuszki do praktyk judaistycznych?

Przełknąłem ślinę. A raczej, Bóg mi świadkiem, próbowałem, bo gardziel suchą miałem niby pieprz. Potrzask coraz bardziej się zaciskał, potrzask osobliwie nikczemny. Ponownie zaprzeczyłem, nie przeczuwając, dokąd ta droga mnie prowadzi.

– Wiesz, że jej ojciec i bracia wspólnie z innymi kamratami, cała judaizująca kompania, planowali porwanie jej z klasztoru, kiedy kapelan i przeorysza przejrżeli jej nieczne praktyki i odosobnili ją w celi?

Od całej sprawy już jawnie spalenizną czuć było, i to ja miałem posłużyć za piecyste. Znów pokręciłem głową, ale głosu dobyć nie mogłem. Mówiąc uczenie: gadać nie było wolą gardzieli. Niestety, mój oskarżyciel, czy jak go tam zwać, nieubłaganie szedł naprzód.

– I zapierasz się, jakobyś wraz z resztą kamratów należał do spisku hebrajskiego?

Tu, na przekór lękowi – zgoła niemałemu – z lekka się uniosłem.

– Jestem Baskiem i starym chrześcijaninem – zaprotestowałem. – Nie gorszym niżli rodzic mój, który jako żołnierz padł, walcząc pod sztandarem królewskim.

Inkwizytor machnął dłonią pogardliwie, jakby pod sztandarem królewskim wielka mnogość dusz do nieba poszła, przeto moje słowa nijakiego znaczenia nie miały. W tym momencie chudy i milczący mnich pochylił się ku młodemu, sącząc mu coś do ucha, na co tamten skinął głową z uszanowaniem. Wówczas stary ku mnie się zwrócił i przemówił pierwszy raz. Głos miał tak złowieszczy i głuchy, że jałem na młodego patrzeć jak na ucieleśnienie miłosierdzia i dobroci.

– Powtórz, jak cię zwa – polecił chudy.

– Íñigo...

Surowe spojrzenie dominikanina, jego rozgorączkowane oczy świdrujące z zapadłych oczodołów, niemal do cna mowę mi odjęły. Mój prześladowca nie dał się zbyć.

– Íñigo i jak dalej?

– Íñigo Balboa.

– A nazwisko twojej matki?

– Zwie się Amaya Aguirre, wielebny ojczy.

Wszystko to jużem był wyznał wcześniej, stało wyraźnie w papierach, dlatego teraz zaczęły mi ciarki po plecach przechodzić. Zakonnik popatrzył na mnie groźnie i dziwnie triumfująco.

– Balboa – rzekł – to nazwisko portugalskie.

Ziemia jak gdyby uciekła mi spod stóp, bo w mig zmiarkowałem całą perfidię tego jadowitego stwierdzenia. Oczywiście, nazwisko pochodziło z

portugalskiego pogranicza, gdzie żył mój dziadek i gdzie zaciągnął się do królewskiego wojska. I naraz – wspominałem już waszmościom, że młodzieńcem byłem bystrym – przejrzałem z niezwykłą wyrazistością, do czego owa machinacja prowadzi, i gdybym zoczył w pobliżu otwarte drzwi, czmychnąłbym przez nie, ile sił w nogach.

Zerknąłem z ukosa na kozła, narzędzie do tortur czekające z boku, do którego inkwizycja uciekała się nie dla wymierzania kary, jeno dla wyświecenia prawdy, co absolutnie nie działało na przesłuchiwanego uspokajająco. Jedyłą nadzieją dla mnie było, że reguły w Świętym Oficjum obowiązujące zakazywały torturowania tych, co się dobrą sławą cieszyli, doradców królewskich i ciężarnych niewiast, sług, by przeciw swym panom nie zeznawali, ani też młodzików poniżej czternastej wiosny, a zatem i mnie. Atoli ja zbliżałem się już do chwili, gdy miałem ukończyć ową nieszczęsną czternastą wiosnę. A skoro ci tutaj byli zdolni do tego, by wśród rodu mego doszukiwać się żydowskich przodków, nie omieszkaliby snadnie sprawić, bym dorósł do wieku, który użyciu sznurów kozła już by nie przeszkadzał. A lubo kozioł ów z drewna był sporządzony, przecie przytroczony doń pacjent wystarczająco głośno beczeć potrafi.

– Ojciec mój nie był Portugalczykiem – zaoponowałem. – Był żołnierzem pochodzącym z Leonu, podobnie jak i jego rodzic. Po kolejnej kampanii osiadł w Oñate i tam się wżenił... Żołnierz i stary chrześcijanin.

– Każdy tak prawi.

I raptem dobiegł mnie wrzask. Był to krzyk przerażonej niewiasty, straszliwy, choć przez oddalenie przytłumiony, ale tak donośny, że wypełnił sobą korytarze i przez zamknięte drzwi przebić się zdołał. Moi inkwizytorzy aliści, jakby go nie słysząc, dalej wpatrywali się we mnie bez nijakiego poruszenia. Zadrzałem z trwogi jak liść, kiedy chudy mnich

popatrzył w stronę kozła, a potem swój rozjarzony gorączką wzrok na mnie przeniósł.

– Ile masz lat? – zapytał.

Rozległ się powtórny wrzask niewieści niczym trzaśnięcie z okrutnego bicia. Oni zaś milczeli, jak gdybym tylko ja słyszał owe krzyki. Gorejące oczy fanatycznego dominikanina jawiły mi się jak dwa stopy pokutne. Trząśłem się niby w febrze.

– Trzynaście – wybełkotałem.

Zapadła pełna udręki cisza, którą zakłócało jeno pióro skrzypiące po papierze. Oby dobrze zapisał – pomyślałem.

Trzynaście i ani roku więcej. Wówczas chudy mnich ponownie na mnie popatrzył, a w jego wzroku zapłonęło nieoczekiwanie jeszcze jaśniejsze światółko, pełne pogardy i nienawiści.

– A teraz – ozwał się – pogawędzimy sobie o kapitanie Alatryste.





VI. ZAUŁEK ŚWIĘTEGO GINESA.



szulerni roiło się od ludzi, pogrążonych w grze po uszy, na śmierć i życie. Juan Vicuña, niegdysiejszy wachmistrz kawalerii okaleczony pod Nieuwpoort, przedzierał się przez gwar rozmów, wśród wędrujących tam i sam graczy, gapiów i darmożjadów liczących na datki. Szedł, bacząc, by nikt nie rozlał mu wina Toro, które niósł w dzbanie, i rozglądał się wokół z ukontentowaniem. Przy półtuzinie stolików szeleściły karty, terkotały kości, brzęczały monety, zmieniając właścicieli, prowokując do westchnień, bluźnierstw, przekleństw i zawistnych spojrzeń. Złoto i srebro lśniły w świetle lamp łożowych, zawieszonych u ceglanej powały, interes szedł tedy jak marzenie. Przybytek Juana Vicuñi znajdował się w suterenie przy tunelu Świętego Michała, nieopodal placu Mayor. Tutaj oddawano się różnorakim uciechom, edyktami Najjaśniejszego Pana dozwolonym, a także, z lekka po kryjomu, innym, niekoniecznie legalnym. Gier była taka rozmaitość, jaką tylko imaginacja graczom podpowiadała, a ta ostatnia przecież niegorzej się miała. Grano tedy w lombra, w mariasza i kupce – to dla łbów chłodnych – oraz w oczko, straszaka i inne zwane „ostrymi”, jako że łącno można przy nich było odebrać komu pieniądze, mowę i tchnienie. Tak o tym pisał Feniks Lope:

*Z tym do walki staniesz łącno,
Kto za rapier chętnie chwyta,
Z tym usiądziesz do stolika,
Kto z sakiewką przyjdzie własną³⁵*

Dopiero kilka miesięcy wcześniej wyszedł dekret królewski, zakazujący organizowania domów gry – nasz młody Filip Czwarty, zbożnymi intencjami wiedziony, za podszeptem swego spowiednika wierzył w takie sprawy, jako to dogmat o Niepokalanym Poczęciu, sprawa katolicka w Europie i odnowienie moralne poddanych na obydwu półkulach. Ale zarówno ten krok, jak i próby zamknięcia lupanarów – nie mówiąc o sprawie katolickiej w Europie – były istną walką z wiatrakami. Cóż bowiem podniecało Hiszpanów w monarchii habsburskiej, oprócz teatru, korridy i jeszcze czegoś, o czym później, jeśli nie hazard właśnie? Wieś z trzema tysiącami dusz potrafiła rocznie zużyć pięćset tuzinów talii karcianych. A grano wszędzie: na ulicach, gdzie rajfurzy, szulerzy i inni osobnicy spod ciemnej gwiazdy organizowali naprędce partyjki, by proste dusze obrabiać w nagłym zamieszaniu, oraz w legalnych i nielegalnych domach gry, w więzieniach, lupanarach, gospodach i budach strażniczych. W dużych miastach, jak Madryt albo Sewilla, roiło się od oczajduszów i próżniaków z dźwięczącą monetą w kieszeni, gotowych skupić się wokół roztaski, jak używaną talię nazywano, albo nad koszałką-opałką, co w ich tajemnej mowie oznaczało kości. Grali wszyscy, gmin i szlachta, możni i łotrzykowie, a nawet damy, które lubo do takich domów, jak ten prowadzony przez Juana Vicuñę, wniknąć nie miały prawa, to jednak do różnych szulerni uczęszczały i niezgorszą wiedzą o figurach, blotkach tudzież atutach wykazać się mogły. I dodać się tu ośmielę rzecz oczywistą: ponieważ zawsze byliśmy i nadal jesteśmy ludem gorącym, dumnym i do

bitki skorym, nie dziwota przeto, że niejedna rozgrywka karciana kończyła się zrazu wymianą obelg, a potem sztychów na ostre.

Vicuña przeszedł już całą izbę, pilnując kątem oka kilku doktorów sztuki walenckiej, jak nazywał oszustów, we wżenianiu słabej karty i podglądaniu nadzwyczaj biegłych, zawsze zaopatrzonych w znaczone karty w rękawie i baczących, co na stół spada. Wielce układnie przywitał się z panem Raulem de la Poza, szlachcicem z Cuenki, człkiem z urodzenia majątnym, ale szalawią i o wszetecznych upodobaniach – był to bowiem jeden z jego najprzedniejszych klientów. Mość Raul obyczajnie miał utarte, właśnie przybył z lupanaru przy ulicy Francos – gdzie namiętnie rezydował – by zapamiętać się w grze aż po świt, kiedy to szedł na mszę do Świętego Ginesa. Przy jego stoliku eskudy fruwały aż miło, a wokół kłębił się nieodmiennie tłum graczy i ciekawskich, którzy świece mu objaśniali, trunki donosili, a i urynały podstawiali, gdy gorączka go opadała i za nic nie chciał dobrej karty choćby na chwilę samej pozostawiać. A wszystko to czynili w zamian za jaki datek, real lub dwa, jeśli tylko partia rozegrana była po myśli mości Raula. Owego wieczoru jego kompanię stanowili markiz de Abades i jeszcze paru przyjaciół, co snadnie Juana Vicuñę uspokoiło, ponieważ rzadki był dzień, żeby przy wyjściu nie czekało na mości Raula trzech czy czterech opryszków, wielką oskomę na jego łup czujących.

Diego Alatryste był w samej koszuli, oblicze miał nieogolone. Z wdzięcznością przyjął przyniesiony dzban toro i spełnił go jednym długim pociągnięciem. Juan Vicuña ulokował go na sienniku w odosobnionej izdebce, która wybranym gościom do wytchnienia służyła. Dzięki okienku z żaluzją można stąd było baczenie mieć na główną salę, samemu widzianym nie będąc. Kapitan mimo tego czujności nie poniechał, co rusz

przez drewnianą kratkę zerkając, butów nie zzuł, broń zasię pod ręką trzymał: rapier na taborecie, nabity pistolet na obrusie, a lewak na poduszce. Znajdowały się tu tylne drzwi, prawie tajne, na korytarzyk wychodzące, którym można było przedostać się pod arkady placu Mayor. Nie umknęło uwadze Vicuñi, że kapitan w gotowości był, ażeby w każdej chwili na nogi się zerwać i przez owe drzwi czmychnąć, jeśliby sytuacja tego wymagała. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin udało mu się wszak ledwie na krótko oko zmrużyć – a i to snem lekkim zasypiał, skoro gdy Vicuña cichaczem doń wstąpił, by zmiarkować, zali kapitan czego nie potrzebuje, stanął oko w oko z wycelowaną weń lufą śmiercionośnego pistoletu.

Alatriste nie zdradził się z nijaką niecierpliwością, pytań żadnych nie zadawał, oddał jeno opróżniony dzban Vicuñi i czekał, patrząc na gospodarza jasnymi, nieruchomymi oczyma. Żrenice rozszerzyły mu się osobiwie, a to na skutek mętnego światła, jakie dawała płonąca na stole lampka oliwna.

– Oczekuje cię za pół godziny – rzekł były wachmistrz. – W zaułku Świętego Ginesa.

– Jakże się miewa?

– Dobrze. Wczorajszy i dzisiejszy dzień spędził u swego przyjaciela, diuka de Medinaceli, i nikt go tam nie trapił. Nie rozgłoszono jego nazwiska, nie łąziła za nim ani straż sądowa, ani inkwizycja, nikt zgoła. Zdarzenie całe, jakkolwiek przebiegło, nie przedostało się do powszechnej wiadomości.

Kapitan skinął z wolna głową w zadumie. Tajemnica go nie dziwiła, dawała się logiką objąć. Inkwizycja wszak nigdy nie czyniła hałasu wokół sprawy, póki wszystkie nitki nie doprowadziły jej do kłębka. A przecie nic

się jeszcze nie zakończyło. Brak wiadomości też mógł stanowić część pułapki.

– A o czym gadają pod Świętym Filipem?

– Ach, plotki – Vicuña wzruszył ramionami. – że ktoś żelaza skrzyżował pod klasztorem Przemienienia, że ktoś życie postradał... Ludzie skłonni są winę przypisywać raczej zalotnikom nowicjuszek niż komukolwiek innemu.

– Ktoś w domu mnie szukał?

– Nie. Atoli Martín Saldaña musi coś zważać, bo do gospody się pokwapił. Jak powiada Cyganicha, nic nie powiedział, ale dużo dał do zrozumienia. Pachołkowie burmistrza nie maczali tu swych palców, powiada, ale ktoś tam myszkuje już i czegoś się dowiedzieć usiłuje. Kto, tego nie zdradził, ale wspomniał o „krewniakach” Świętego Oficjum. Przesłanie jest proste: on na tym balu żadną miarą nie tańczy, więc masz sam pilnować własnej skóry. Zmiarkować łącno, że sprawa jest mocno delikatna i z wielką skrupulatnością prowadzona, a istotę jej ktoś zazdrośnie skrywa przed okiem gawiedzi...

– Co z Īńgiem?

We wzroku kapitana nie sposób było dostrzec jakiegokolwiek gorączki. Weteran spod Nieuwpoort wpadł w konfuzję i zamilkł. Kręcił jeno młynka pustym dzbanem, który dzierżył w swej jedynej dłoni.

– Cisza – odrzekł wreszcie z trudem. – Rzekłbyś, pod ziemię się zapadł.

Alatriste przez chwilę nie odzywał się ani słowem. W końcu popatrzył na deski podłogi u swych stóp i powstał.

– Rozmawiałeś z Klechą Perezem?

– Robi, co może, ale niełatwe ma zadanie – Vicuña obserwował, jak kapitan wbija się w napierśnik ze skóry bawolej. – Nie jest tajemnicą, że jezuici i Święte Oficjum nie dzielą się plotkami, a jeżeli chłopak uwikłał się

gdzieś w tych kręgach, nieprędko się czegoś dowiemy. Gdy tylko coś do niego dojdzie, znać da ci natychmiast. Ofiarowuje ci też kościół Towarzystwa, jeśli chciałbyś schronić się u ołtarza... Jak powiada, stamtąd dominikanie nie zdołają cię wyłuskać, choćby klęli się, żeś samego nuncjusza zgładził... – Tu zerknął przez żaluzję w kierunku sali gry, by po chwili z powrotem na kapitana spojrzeć. – Oczywiście, Diego, nie pytam cię, coś był uczynił, ale mam nadzieję, żeś na p r a w d ę nuncjusza nie zabił.

Alatriste sięgnął po rapier, wsunął go do pochwy, przypasał, następnie wsadził w kaburę nabity pistolet, odwiódłszy przedtem kurek, by sprawdzić, czy jest w należytej gotowości.

– Kiedyś ci wszystko opowiem – odparł.

Sposobił się, żeby odejść tak, jak przybył, bez nijakich wyjaśnień lub ceregieli. W świecie kapitana i dawnego wachmistrza kawalerii taka postawa uchodziła za rzecz najzupełniej normalną. Vicuña zarechotał szorstko, po żołniersku.

– Jak mi Bóg miły, Diego, druhem twym jestem, ale anim ciekaw. Zresztą nie chciałbym umrzeć na nagłą chorobę gardła, którą nazywają stryczkiem... Przeto może lepiej nie opowiadaj mi nigdy.

Noc już dawno nad miastem się rozpanoszyła, gdy wyszedł, okryty płaszczem i kapeluszem, i ruszył pod arkadami placu Mayor w kierunku ulicy Nueva. Nikt z nielicznych przechodniów uwagi nań nie zwrócił, poza jedną na pół okrytą ladacznicą, która widząc go, zaproponowała, że będzie mógł dać sobie pofolgowanie za jaką garść grosiwa. Minął bramę Guadalajary, gdzie dwóch strażników drzemało pod zamkniętymi okiennicami sklepu złotniczego, następnie zaś, chcąc uniknąć spotkania z łapsami, którzy w pobliżu warować zwykli, podążył w dół ulicą Hileras ku

Arenalowi, by tam zawrócić pod górę ku zaułkowi Świętego Ginesa, gdzie o tej porze gromadziły się wyrzutki gwoli zwilżenia gardła.

Jak to jest waszmościom wiadome, kościoły w owej epoce służyły także za schronienia, dokąd nie sięgały ręce zwykłej sprawiedliwości. Kto tedy ograbił, zranił bądź zabił – a więc zabrnął w opały – mógł u ołtarza się schronić, czyli dać nogę do kościoła albo monasteru, gdzie duchowni, zazdrośnie swych przywilejów strzegący, bronili delikwenta przed władzą królewską zębami i pazurami. Owo „uciekanie się pod obronę” albo „skok do kruchty” tak wielkim cieszyło się więciem, że niektóre kościoły w szwach pękały od klientów, bezkarnością zwabionych. W owej zamkniętej społeczności spotkać można było przedstawicieli najszlachetniejszych domów i stryczków nie wystarczyłoby, by tyle znamienitych gardeł obsłużyć. Z racji profesji swojej Diego Alatryste też razu pewnego musiał się być uciec do takiego „pobożnego” manewru, a i sam mość Francisco de Quevedo w młodych latach, jak powiadają, w podobnych znalazł się był terminach, że nie wspomnę o gorszych, w Wenecji podczas wypadu diuka de Osuna, kiedy to poeta nasz musiał się za żebraka przebrać. Owóż miejsca takie, jak dziedziniec Drzewek Pomarańczowych przy katedrze w Sewilli i całe mnóstwo zakątków w Madrycie, jak na przykład zaułek przy Świętym Ginesie, wielkim acz podejrzanym cieszyły się powodzeniem wśród zabijaków, huncwotów, złodziejasków i zuchwalców wszelakiej maści. A cała ta znamienita konfraternia, co przecież i jeść musiała, i pić, i potrzeby swe zaspokajając, i sprawy rozmaite rozstrzygać, korzystała ze zmroku, by nogi rozprostować, to i owo zmalować, rachunki wyrównać czy co tam akurat chwila dyktowała. Ludzie ci spotykali się też ze swymi druhami, a nawet z kochanicami i współnikami, skutkiem czego okolice rzeczonych kościołów, a także tereny samych świątyń nocą przemieniały się w jaskinie złoczyńców i burdele, gdzie nie było końca przechwałkom na temat

wyczynów prawdziwych lub zmyślonych i gdzie ferowano wyroki śmierci, ustalając liczbę ciosów do zadania. Tam to właśnie biło serce owej upadłej, niebezpiecznej i hardej Hiszpanii, Hiszpanii łotrów, oczajduszów i innych rycerzy występku, której nie odmalował żaden dworski artysta płótna, za to unieśmiertelniły ich najprzedniejsze pióra. Znam kilka takich – niezgorszych, jak tuszę – co to spod ręki samego mości Francisca wyszły:

*Żurawcowi kaźń zadano gdy zaznał prawdy jarzma,
Mówił „nie” – jak bronić trza się Na mękach i u ołtarza.*

Albo weźmy taki wierszyk, równie zacny i sławetny:

*W studni dla szelm i łotrzyków,
Gdzie kat swe świadczy usługi,
Ciemnicą mnie ugościli,
Bom krew komuś nożem puścił.³⁶*

Zaułek Świętego Ginesa należał do ulubionych miejsc takich właśnie wyrzutek. Przychodzili tu nocą zaczerpnąć powietrza, skutkiem czego w okolicy rychło robiło się gwarno, wkoło wyrastały naprędce sklecone kramy z gotową stawą. I całe owo najprzedniejsze towarzystwo rozpływało się jak kamfora, gdy tylko na horyzoncie pojawiali się strażnicy miejscy.



Zaułek Świętego Ginesa należał do ulubionych miejsc takich właśnie wyrzutków.

Kiedy Diego Alatryste dotarł na miejsce, w zaułku kręciło się ze trzydzieści dusz: pyszałków, zwodzicieli, kilka uliczników, usiłujących porachować się ze swymi sutenerami, jedna czy dwie grupki fanfaronów i zwykła ciżba, rozprawiająca zawzięcie przy jakimś cienkuszku. Światło było skąpe – ledwie jedna lampka, na rogu zaułka pod łukiem arkady zawieszona – niemal cały teren tonął w cieniu, a znaczna część kompanii

przyszła zamaskowana. Lubo zatem wszyscy toczyli wielce ożywione rozmowy, scena zionęła posepnym mrokiem, co zgoła pasowało do charakteru spotkania, na które zdążył kapitan. Jeśliby los sprowadził tu ciekawskiego, gapia albo słabo uzbrojonego strażnika bez wsparcia, mógł taki skończyć z poderżniętą gardzielią, nimby się zdążył przeżegnać.

Pomimo maski w mig rozpoznał stojącego wedle lampy mość Francisca de Quevedo. Zbliżył się doń jakby nigdy nic i obydwaj zaraz odeszli na bok, kryjąc twarze za podniesionymi połami płaszczy i pod zsuniętymi rondami kapeluszy. Nie różnili się zresztą wyglądem od większości zgromadzonej tu gawiedzi.

– Moi przyjaciele rozpatrzyli się tu i tam – powiedział poeta, gdy już wymienili pierwsze spostrzeżenia. – Niemal pewnym jest, że mość Vicentego i jego synów inkwizycja na oku miała. I coś czuję, że ktoś chciał skorzystać ze sposobności, by więcej ptaszków upolować. Także i waszą miłość, kapitanie.

Tu, baczenie dając na przechodzących mimo obcych, mość Francisco zdał półgłosem sprawę kapitanowi z tego, czego zdołał się być dowiedzieć. Przebiegłe a cierpliwe Święte Oficjum, dobrze poinformowane dzięki szpiegom swym o zamysłach rodziny de la Cruz, szyków im zrazu nie mieszało, chcąc in flagranti nieszczęsnych przyłapać. Nie zamierzali przy tym ochraniać wielbnego Coroado, przeciwnie zgoła – jako że cieszył się on poparciem hrabiego de Olivares, z którym z kolei inkwizycja ostro na pieńku miała, nadzieje żywili, że skandal skompromituje i monaster, i jego protektora. Przy sposobności zasie mogli dopaść rodzinę przechrztów, których o judaizowanie oskarżyć mogli, a kolejny stosik więcej przysporzyłby splendoru Świętemu Oficjum. Kłopot w tym, że niemal nikogo nie zdołali żywcem pojmać: mość Vicente de la Cruz i jego młodszy syn Luis drogo swą krew sprzedali, życie stradając podczas potyczki.

Starszy zasię chłopak, mość Jerónimo, ranę otrzymał, zdołał atoli zbiec i ukrywa się w miejscu niewiadomym.

– A co z nami? – zagadnął Alatryste.

Poeta pokręcił głową, łyskając szklami.

– Żadnych nazwisk nie powtarzano. Było tak ciemno, że nikt nas nie rozpoznał. A ci, co bliżej podeszli, już niczego wyśpiewać nie będą mogli.

– Aliści tamci wiedzą, że maczaliśmy w tym palce.

– Może – mość Francisco miał niepewną minę. – Wedle prawa jednak nic na nas nie zdobędą. Ja na ten przykład na nowo korzystam z uprzejmej opieki faworyta i króla, zatem kto będzie chciał mnie ułapić, wdepnie sam po szyję – tu zamilkł na moment z wyrazem zakłopotania. – Co się waszej miłości tyczy, nie wiem, czego się trzymać. Tak samo, tuszę, chcą znaleźć coś, co by waszmości pogrzyżyło. A może szukają jakichś dyskretnych sposobów.

Akurat przechodzili tamtędy dwaj fanfaroni z jedną dziewczką, pogrążeni w zapalczywej dyskusji, mość Francisco i kapitan ustąpili im przeto miejsca, podsuwając się bliżej ściany.

– Co się dzieje z Elvirą de la Cruz?

Poeta westchnął zboląły.

– Aresztowana. Nieszczęsna dziewczyna, przypadł jej najpodlejszy los. Trzymana jest w tajnym więzieniu w Toledo, czuję zatem już swąd dymu w powietrzu.

– A Íñigo?

Tu pauza jeszcze dłużej trwała. W głosie Alatrystego nie znać było nijakiej gorączki. Mnie kapitan pozostawił sobie na koniec. Mość Francisco rozejrzał się po spacerujących i rozmawiających wokół ludziach, by na koniec znów się ku swemu druhowi zwrócić.

– Też jest w Toledo – i powtórnie zamilkł, kręcąc bezsilnie głową. –
Pojmali go nieopodal konwentu.

Alatriste długo nic nie mówił, przyglądał się jeno mijającym ich
bywalcom zaułka Świętego Ginesa. Gdzieś u wylotu uliczki zabrzmiały
dźwięki gitary.

– To jeszcze dzieciak – rzekł nareszcie. – Musimy go stamtąd wydostać.

– Wykluczone. Lepiej nie próbuj się waszmość do niego dostać... Jak
mniemam, będą chcieli jego zeznanie wykorzystać przeciwko tobie.

– Nie ośmielą się go torturom poddawać.

Zza maski dobiegł kapitana cierpki a złowróżbny śmiech mości
Francisca.

– Inkwizycja, kapitanie, ogromną ma śmiałość.

– Przeto tym bardziej coś trzeba zrobić.

Powiedział to z naciskiem, zdecydowanie, wzrok utkwivszy w końcu
zaułka, skąd słyhać było muzykę. Mość Francisco zerknął w tym samym
kierunku.

– Nie wątpię – przystał. – Ale nie wiem co.

– Masz waszmość przyjaciół na Dworze.

– Jużem wszystkich zobligował. Nie zapomniałem, że to jam was był w
to wszystko wciągnął.

Kapitan machnął dłonią nieznacznie, dając do zrozumienia, że nie bierze
jakiegokolwiek winy mości Francisca w rachubę. Owszem, oczekiwał odeń,
że poeta uczyni wszystko, co w jego mocy, ale z drugiej strony nie
zamiarował nijakich wyrzutów mu czynić. Wszak otrzymał był zapłatę za
swoją robotę, a ja byłem przecież jego prywatną sprawą. Zastygł
nieruchomo, co niepokój w poecie wzruszyło.

– Nie myślisz waszmość chyba oddać się samemu w ich łapy? – szepnął.

– To nikomu ocalenia nie przyniesie, a już najmniej waszej miłości.

Alatriste milczał nadal. Trzech, może czterech sutenerów jęło gawędzić nieopodal, przerzucając się różnymi „waszmościami”, „mospanami” i „jakem szlachcic”, choć żaden z nich ani na krztę takowego nie przypominał. Niezgodnie na dodatek przezwiska nosili: Czartomór, Żądełko... Po upływie paru minut kapitan znowu ozwał się cicho: – Wspomniałeś waszmość, że inkwizycja usiłowała upiec kilka pieczeni na jednym ogniu... Kto jeszcze w grę wchodził?

Mość Francisco odparł również pod nosem: – Waszmość. Tyś był czwartym gołąbkim, ale zdołali cel osiągnąć połowicznie... Cały plan nakreślony został najwidoczniej przez dwóch waszmościnych dobrych znajomków, Luisa de Alquézar i brata Emilia Bocanegrę.

– Do kroćset.

Poeta nie podjął zrazu przemowy, spodziewając się, że kapitan doda coś do przekleństwa, ten wszelako poniechał dalszego gadania. Stał jeno, owinięty szczelnie płaszczem i nadal zwrócony w stronę wylotu zaułka. Rondo kapelusza nie dozwalało dostrzec wyrazu jego oblicza.

– Jak się wydaje – jął mówić poeta – nie mogą waszmości wybaczyć tamtej historii z księciem Walii i Buckinghamem... Teraz sposobność spadła im z nieba: oto ojciec Coroado, ulubiony klasztor faworyta, familia przechrztów i jeszcze wasza miłość, czyli ładna wiązka chrustu do wielebnego ognia.

Tu przerwał mu jeden z ciemnych typów, który odchylił się był właśnie, by z bukłaka tęgi łyk pociągnąć, i na mość Francisca się wtoczył. Zaraz też obrócił się ku niemu, szcękając żelazem u boku i z miną wielce złowrogą.

– Jakem syn ojca mego, zawadzasz mi tu waszmość!

Poeta zmierzył go spojrzeniem, cofnął się nieco i jął kpiąco pod nosem deklamować:

*Dla Francuzów tyś Bernardem,
Zaś Rolandem dla Hiszpanów,
Waleczniejszy od Galena,
Skuteczniejszy od rumianku.*³⁷

Zagniewał się srodze zabijaka, słysząc te słowa, i nuże łąjąc mość Francisca górnotną przemową: – Na rany Chrystusowe! Żaden tam Galen, Roland czy inny Bernard, zwę się ni mniej, ni więcej, jeno Antón Byczy Ogon!... I klnę się na zacną krew rodu mego, że kto mi tu dopiec będzie usiłował, tego łącno zaszlachtować mogę raz–dwa!

Gadał tak, by wrażenie zrobić, że w okamgnieniu może za rękojęść chwycić, czekał jeno, aż się do cna wyklaruje, z kim to zadrzeć mu przyszło. Na to kompani jego zbliżyli się, podobnie nachmurzeni i do bitki sposobni, w rozkroku stanęli i jęli żelazem potrzasać a wąsiska podkręcać. Należeli do gatunku, który wielką dzielnością i niedokonanymi czynami zwykł się chełpić. Gdyby się pospołu skrzyknęli, mogliby snadź z trudem jednego kuternogę uprzatnąć, ale mość Francisco na nieboraka nie wyglądał. Alatryste spostrzegł, że poeta, wciąż za maską ukryty, poprawił sobie skrycie rapier i lewak, osłaniając wątpia płaszczem. Sam też podobnie miał postąpić, bo miejsce aż zapraszało do krwawego tańca, gdy raptem jeden z kamratów nieokrzesanego pyszałka – buńczuczne chłopisko w berecie i z pendentem na piędź szerokim, w poprzek piersi zawieszonym, z którego wielkie żelastwo wyzierało – ozwał się tymi słowy: – Rach–ciach, dwiesta razy każdy z tych mospanów dziurę we własnym ciele obaczy, jak amen w pacierzu. Tutaj albo idziesz górą, albo doliną.

Na obliczu więcej miał kropek i kresek, niżli znajdziesz w podręczniku do muzyki, do tego akcent i powierzchowność sutenera z Potro w Kordobie – jak mówi znane porzekadło, Kordoba stręczy walenckie dziewczeczki – i

również sprawiał wrażenie, jakby chciał postraszyć, że lada chwila ostrze rapiera obnaży. Pewnikiem liczył, że ktoś jeszcze z okolicznych parafian do ich kompanii dołączy, albowiem czterech na dwóch wciąż nie rokowało zbyt wielkich nadziei na korzystne rozstrzygnięcie potyczki.

I wówczas, ku zdumieniu wszystkich, Diego Alatryste śmiechem się zaniósł.

– Ejże, Cupamagna – ozwał się, rozbawienie tłumiąc. – Dajże nam waszmość wsparcie, mnie i temu tu mężowi, a zabijesz nas rach–ciach, ale jeszcze nie teraz. W imię starych, dobrych czasów.

Zuchwały olbrzym jął się nań gapić zaskoczony, próbując rozeznąć się mimo mroku i osłoniętej twarzy, z kim ma do czynienia. Wreszcie pod beretem się poskrobał, nasadzonym na same brwi tak gęste, że jedną się zdawały.

– A niechże to Panienska Najświętsza... – wymamrotał. – Toć to pan kapitan Alatryste.

– Nie inaczej – potwierdził tenże. – A ostatnio tośmy się w ciemnicy spotkali.

Ciemnica istotnie panowała wokół, ale kapitan miał na myśli wcześniejszą okazję, gdy za jakieś długi trafił był do dworskiej turmy i tam z miejsca przystawił rzeźnicki nóż do gardzieli niejakiego Cupamagny, o imieniu Bartolo, który za największego chwata w ciupie podówczas uchodził. Takim przemysłem Diego Alatryste zaskarbił sobie sławę człeka z ikłą, a także niekłamany respekt ze strony kordobańczyka i całej reszty więźniów. Respekt rychło przemienił się w rzetelną lojalność, gdy tylko kapitan jął pomiędzy całą kompanię sowicie rozdzielać zupy i flaszki wina, które Caridad Cyganicha i druhowie posyłali mu, by w trudnych terminach ulgę odczuł. A i gdy już na wolność wyszedł, też co jakiś czas wspomagał dawnych towarzyszy niedoli.

– Jużem myślał, że waszmość wiosłami trzepiesz sardynki po łbach, mości Cupamagna. W każdym razie, o ile mnie pamięć nie zawodzi, więzienni dobrodzieje na morze waszmości zamiarowali wyekspediować.

Kamraci zuchwalca raptem zmienili swe nastawienie – nie pomijając tego, co się zwać kazał Antón Byczy Ogon – i teraz z zawodową ciekawością jęli się dalszej pogawędce przysłuchiwać, a nawet z pewnym uszanowaniem, jak gdyby względy, przez olbrzyma okazywane owemu zamaskowanemu osobnikowi, większą moc miały niżli papieskie brewe. Sam Cupamagna zasię też czuł się zaszczycony, że Alatryste tak wiele szczegółów z jego *curriculum laudis*³⁸ sobie był przyswoił.

– A jakże, panie kapitanie – odrzekł tonem zgoła odmiennym od tego, jakim jeszcze chwilę wcześniej przyobiecawał dwiesta dziur. – I pewnikiem już bym zdobywał laury pirszego wioślarza galer królewskich, przygrywając rybom do tańca łańcuchami, gdyby nie moja luba, Blasa Pizorra, która zwąchała się z pisarczykiem w trybunale i pospołu sędziego ugłaskali.

– A teraz wyrzutkiem zostałeś?... Czy tylko wpadłeś tu waszmość w odwiedziny?

– Oj, wyrzutkiem, i to na całego, jak Pan Bóg w niebiesiech – westchnął obwieś z rzetelnym rozzaleniem. – Będzie już ze trzy dni, jak pospołu z tymi tu kamratami zacnie wypatroszyliśmy duszę z jednego strażnika, po czym żeśmy do ołtarza się pokwapili, ażeby burzę przeczekać. Albo póki moja bogdanka nie przyoszczędzi paru dukatów, bo to wiadomo, nic ci takiej sprawiedliwości nie sprokuruje, jak piniądze.

– Kontent jestem, że waszmości widzę.

W półmroku można było dostrzec, że Bartolo Cupamagna rozdziawił gębę w czymś na kształt przepastnego, ciemnego i przyjaznego uśmiechu.

– I ja mospana widzieć żem rad. Zaklinam się przeto, jakem człek niepośledniego męstwa, że masz mnie tu pan, u Świętego Ginesa, na swe rozkazy z tą moją różeczką – tu klepnął się po rapierze, który zadzwonił ostro, objając się o lewak i pomniejsze sztylety. – Gotów jestem służyć Bogu i godnym kompanom, gdy trzeba po ciemku o głowę kogo skrócić. – Tu popatrzył pojednawczo na pana de Quevedo, po czym znów się ku kapitanowi zwrócił, dwa palce do beretu przystawiając. – I racz waszmość omyłkę wybaczyć.

Dwie dziewczki przebiegły mimo, podwinąwszy spódnice, by im w ruchu nie wadziły. Gitara na rogu zamilkła i wśród gawiedzi, w zaułku zgromadzonej, wszczął się ruch i niepokój. Rozejrzeli się wokół.

– Ront!... Ront! – rozległ się czyjś krzyk.

Od strony ulicy dobiegał już zgiełk czyniony przez strażników i pachołków. Padały wezwania „stój, w imieniu prawa”, „stój, jak ci mówię”, a po chwili także powszechnie znane wołania na cześć sprawiedliwości i monarchy. Jak za dotknięciem różdżki zgasła lampa, a tymczasem cała brać rozpierzchła się w okamgnieniu: wyrzutkowie do kościoła, pozostali zaś czmychnęli zaułkiem ku ulicy Mayor. I nim ktokolwiek zdołałby duszę diabłu odprzedać, w okolicy nie pozostał nawet jeden cień.

W drodze powrotnej do tunelu Świętego Michała, okrążywszy niemal cały plac Mayor, Diego Alatryste przystanął przed Gospodą Pod Turkiem i zastygł po drugiej stronie ulicy, korzystając z kompletnych ciemności. Dłuższą chwilę obserwował zawarte okiennice i oświetlone okno na pięterku gdzie mieszkała Caridad Cyganicha. Albo nie spała, albo przynajmniej lampę zostawiła, by znak mu przekazać. Jestem i czekam – zdawało się przemawiać światełko za szybą. Kapitan wszakże kroków swych tam nie skierował. Trwał tylko milczący, owinięty szczelnie

płaszczem i z kapeluszem głęboko naciśniętym, może gwoli wtopienia się w mrok bramy. Ulica Toledo i krzyżująca się z nią ulica Arcabuz wyglądały na opustoszałe, nie sposób wszelako było stwierdzić, czy z pobliskiej sieni ktoś nie daje baczenia na dom. Alatryste dostrzegał jeno wyludnioną ulicę i rozjaśnione okienko, w którym cień jakiś zdawał się przemykać. Może to Cyganicha czuwała i czekała. Wyobraził ją sobie, jak przechadza się po izbie, wstążka koszuli nocnej zwisa luźno z jej obnażonych smagłych ramion – i zniemacka zatęsknił do jej ciepłego zapachu. Pomimo tylu wojen, tylu kampanii, w których jako najemnik folgował sobie nocami w cudzych objęciach cudzych dłoni, wśród cudzych pocałunków – przecież właśnie to ciało zdawało mu się najpiękniejsze, gorące i jędrne, kojące jak sen lub zapomnienie.

Zwalczył w sobie pokusę, by przejść przez ulicę i zanurzyć się w gościnnych ramionach, których nigdy mu nie skąpiła. Atoli ozwał się w nim popęd ku przetrwaniu. Kapitan musnął dłonią rękajeść lewaka, zatkniętego za pas po lewej stronie, tuż obok rapiera, dla równowagi wobec ukrytego pod płaszczem pistoletu – i jął na nowo wypatrywać w ciemnościach wrażego cienia. I długo czuł dojmujące pragnienie, by takowy cień wypatrzeć. Od kiedy wiedział już, że popadł w niewolę inkwizycji, i odkąd znał nazwiska tych, co pociągali za sznurki w tej zasadzce, żywił w sobie niekłamaną furję, zimną a czystą, bliską bezgranicznej rozpacz, której musiał dać jakowyś upust. O losy mości Vicentego de la Cruz i jego synów ani nawet uwięzionej nowicjuszki zgoła nie dbał. Wedle reguł tej niebezpiecznej gry, gdzie na szalę kładło się nie rzadko własną skórę, takie rzeczy należały do oczywistości. W każdej batalii należy się liczyć ze stratami, życie składa się także z ciemnych stron. Kapitan przyjmował ów fakt bez zmrużenia oka, co nieraz obojętnością postronnym się zdawało, naprawdę zaś było stoicką rezygnacją starego wiarusa.

Ale ze mną sprawa przedstawiała się inaczej. Ja – darujcie waszmościowie, że tak rzecz ujmę – dla Diega Alatryste y Tenorio, weterana regimentu flamandzkiego, walczącego za ową niebezpieczną i niewdzięczną Hiszpanię, byłem czymś, co najlepiej oddają słowa „wyrzut sumienia”. Mnie nie potrafiłby tak łatwo zapisać po stronie strat, w bitwie lub innej przygodzie poniesionych. Czy mu się to podobało, czy nie, był za mnie odpowiedzialny. I jak nie wybieramy sobie przyjaciół i żon, bo to oni i one ciebie wybierają, tak życie, mój nieboszczyk ojciec i igraszka Losu postawiły mnie na jego drodze i na nic zdałoby się zasłaniać oczy przed oczywistą, bolesną prawdą: byłem jego słabym punktem. Przeznaczenie obdarzyło go takim, a nie innym żywotem i Diego Alatryste był takim samym skurwysynem, jak wielu mu podobnych. Aliści należał do tego gatunku skurwysynów, którzy kierują się pewnymi zasadami. Dlatego właśnie stał i milczał, wyrażając tym samym głęboką rozpacz. I dlatego także przepatrywał mroczne zakątki ulicy w nadziei, że dostrzeże jakiegoś przycupniętego zabijakę, szpiega lub jakiegokolwiek innego wroga, by utopić w jego ciele swój podły nastrój, od którego kurczył mu się żołądek, a zęby zaciskały się aż do bólu. Marzył, że dojrzy kogoś, podejdzie ku niemu niepostrzeżenie w mroku, przygwoździ do muru, usta płaszczem zaknebluje i bez jednego słowa wrazi mu lewak prosto w gardziel, aż tamten na amen zdrętwieje i odejdzie do czarta. I że gdy mowa o regułach, takich właśnie przestrzegał.





VII. CZYTELNICY JEDNEJ KSIĘGI.



óg nigdy nie zawiódł kruka ni wrony, osobliwie zaś sądowego pisarczyka. Nie zechciał tedy łaskawie zawieść i mnie. Owóz nie torturowali mnie zanadto. Także Święte Oficjum reguły swoje miało i lubo pełne okrutnych fanatyków, przecie części z tych reguł przestrzegało nadzwyczaj skwapliwie. Zgoda, zgarnąłem mnogość policzków i razów, cierpiałem w niedostatku i wycieńczeniu. Atoli kiedy potwierdził się wiek mój, owe nieukończone czternaście lat odsunęły ode mnie na przyzwoitą odległość perspektywę bliższego zaznajomienia się z przeraźliwą machiną drewnianą, najeżoną wałkami i sznurami, jaką widziałem w rogu izby podczas każdego przesłuchania. A i ciągi, jakie mi spuszczali, ograniczone były co do liczby, siły i długości. Innym wszelako takiego szczęścia los poskąpił. Nie wiem, czy to za pośrednictwem kozła, czy bez niego – a trzeba waszmościom wiedzieć, że delikwent lądował na wierzchu, następnie zaś rozciągano mu członki kolejnymi obrotami kołowrotów, aż ze stawów wyskakiwały – w każdym razie krzyk niewieści, którym pierwszego dnia był posłyszał, później dobiegał mnie jeszcze po wielekroć, aż pewnego dnia zamilkł. Zdarzyło się to w dniu, kiedy przy kolejnym badaniu miałem smutną sposobność poznać wreszcie nieszczęsną Elvirę de la Cruz.



Mogła liczyć z osiemnaście, dziewiętnaście może wiosen, aliści wyglądała na zgrzybiałą staruchę...

Była drobna i pulchna i w niczym nie przypominała urojenia, jakie mój własny łeb wytworzył był w trakcie pamiętnej mszy. Wszelako i najcudniejsza uroda nie uchowałaby się przy bezlitośnie ogolonej głowie, oczach zaczerwienionych i podkrążonych od bezsenności i cierpień, przy męczarskich pręgach wokół nadgarstków i kostek, spod brudnego sukna habitu wyzierających. Siedziała – rychło miałem zmiarkować, że nie potrafiła już o własnych siłach stanąć – a wzrok miała tak pusty i nieobecny, jakiegom nigdy dotąd nie oglądał, skutkiem bólu, znużenia i goryczy, jakie snadnie muszą ogarnąć tego, kto poznał dno najgłębszej

studni. Mogła liczyć z osiemnaście, dziewiętnaście może wiosen, aliści wyglądała na zgrzybiałą staruchę, poruszała się na krześle bardzo powoli i z widowym trudem, rzekłbyś – choroba lub przedwczesna starość pokruszyły jej kości i rozchwierutały stawy. I klnę się, że nie jestem tu od prawdy daleki.

A wracając do mnie, to lubo nieszlachetnie samego siebie wychwalać, to jednak nie wydusili ze mnie żadnego słowa, na jakie czekali. Nawet wówczas, gdy jeden z katów, ten rudy, skrupulatnie pomierzył mi plecy pokaznym bykowcem. Wprawdzie cały z tyłu byłem potem w sińcach i musiałem spać na brzuchu – o ile snem nazwać można lękliwą drzemkę na granicy rzeczywistości i wymagowanych upiorów–nikomu nie udało się wyrwać z mych wysuszonych, popękanych i strupami mojej już krwi upstrzonych warg niczego ponad zbolełe jęki i przysięgi o niewinności. Owej nocy przechodziłem jeno tamtędy, do domu się kierując. Mój pan kapitan Alatryste nie miał z tym nic wspólnego. Nigdy w życiu nie słyszałem o rodzinie de la Cruz. Jestem starym chrześcijaninem, a mój ojciec zginął za króla we Flandrii... I wciąż od nowa: owej nocy przechodziłem jeno tamtędy, do domu się kierując...

Nie napotkałem w nich zmiłowania ani choćby jakichś szczątków człowieczeństwa, które można dostrzec czasami u tych najbardziej zatwardziałych. Wszyscy oni, mnisi, sędzia, skryba i kaci wprost zionęli chłodem i obojętnością, które osobliwą bojaźń wzruszały, większą zgoła niżli ból, jakiego nie omieszkali zadawać. Była to lodowata determinacja kogoś, kto oparcie w prawach Bożych i ludzkich odczuwa i ani przez chwilę nie wątpi, że słusznie robi. Z czasem dopiero zmiarkować miałem, że lubo wszyscy zdolni jesteśmy do czynienia zarówno dobra, jak i zła, to najgorsi są ci, co zło innym wyświadczając, usprawiedliwiają się tym, jakoby zwierzchność nad nimi stała, jakoby wpływu na nic nie mieli albo

rozkazy byli stosownie otrzymali. Szkaradnie, gdy kto w imię władzy, pryncypałów albo ojczyzny działa, atoli znacznie gorzej, gdy sądzi, że robi to w imię boga jakiego. Ilekroć później miałem sposobność wyboru, z jakimi złoczyńcami mam się układać – bo i tego uniknąć się nie dawało – zawsze wolałem tych, co sami pełną odpowiedzialność przyjmowali. W lochach Toledo bowiem pobrałem lekcję, której omal życiem nie przyplącałem, że nie masz na tym padole rzeczy podlejszej i groźniejszej nad łotra, co każdej nocy spać się kładzie z czystym sumieniem. Rzecz to straszna. Tym gorsza, gdy towarzyszą jej jeszcze niewiedza, uprzedzenia, głupota albo potęga – a te łącznie potrafią pospołu chadzać. Zasię ostateczne diabelstwo miejsce ma, jeżeli twój oprawca mieni się być egzegetą jednego słowa, z Talmudu, z Biblii czy z Koranu, czy jakiegokolwiek już napisanego albo dopiero czekającego na uwiecznienie. W udzielaniu rad nie znajduję upodobania – przecie nikt jeszcze nie zmądrzał od tego, że rozum do cudzej przyszedł głowy – aliści tę jedną dam waszmościom za darmo: nigdy nie ufajcie komuś, kto przeczytał tylko jedną księgę.

Nie mam pojęcia, jakie księgi czytali moi prześladowcy, wszelako gdy o ich sumieniach mowa, to ani chybi spały jak susły. Oby teraz za to spokoju nie miały i przez wieczność całą w piekle się smażyły. Na tej stacji mej drogi krzyżowej zdołałem już wywiedzieć się, kim jest ów mroczny i wąty mnich o śpiewnym głosie i rozgorączkowanym wejrzeniu. Był to Emilio Bocanegra, przewodniczący Rady Sześciu Sędziów, najstraszliwszego trybunału w całym Świętym Oficjum. Na domiar złego, jakem był usłyszał od kapitana Alatryste i druhów jego, należał do najbardziej zawziętych wrogów mego pana. On to ustalał rytm moich przesłuchań, teraz dwaj pozostali zakonnicy i milczący sędzia w czarnej szacie służyli jeno za świadków, skryba zasię zapisywał tylko pytania dominikanina i moje zdawkowe odpowiedzi.

Tego dnia aliści było inaczej. Kiedym się pojawił, pytania postawiono nie mnie, jeno nieszczęsnej Elvirze de la Cruz. Zmiarkowałem w lot, że sprawa niepomyślny przybiera obrót, kiedy brat Emilio wskazał na mą osobę palcem.

– Znasz tego młodzieńca?

Moje obawy w panikę się przemieniły – bom w przeciwieństwie do dziewczyny jeszcze nie był skrajnie wyczerpany – gdy kiwnęła potakująco byle jak ogoloną głową, zgoła na mnie nie spojrzawszy. Przerażony patrzyłem, jak pisarczyk czeka z piórem w pełnej gotowości, bacząc, co powie Elvira de la Cruz albo inkwizytor.

– Odpowiedz na pytanie – nakazał brat Emilio.

Biedaczka wydała z siebie zgaszone, ledwie słyszalne „tak”. Skryba umoczył pióro w inkauscie i zapisał odpowiedź, ja zaś dopiero teraz naprawdę poczułem, że pod stopami ziemia mi się zapada.

– Słyszałaś o tym, że młodzian ten judaizuje?

Po kolejnym „tak” Elviry aż podskoczyłem z oburzenia i usadził mnie dopiero solidny kuksaniec rudego osiłka, on to bowiem obecnie – może obawiali się, że nie przetrzymam paraliżujących ciosów tego drugiego, rosłego – zajmował się mą skromną osobą. Nie bacząc na mój protest, brat Emilio wciąż palcem we mnie celował, ale spoglądał na dziewczynę.

– Potwierdzasz zatem przed niniejszym Świętym Trybunałem, że niejaki Íñigo Balboa słowem i uczynkiem zaświadczał o swej żydowskiej wierze oraz że wspólnie z ojcem twym, braćmi i innymi kamratami uczestniczył w spisku gwoli porwania ciebie z klasztoru?

Trzecie „tak” było ponad moje siły. Przeto, od łap rudego oprycha się migając, wrzasnąłem, że dziewczka kłamie jak najęta i że nigdy nic wspólnego nie miałem z wiarą mojżeszową. Naówczas, ku memu zdumieniu, miast jak dotąd uwagi na mnie nie zwracać, brat Emilio

popatrzył na mnie z uśmiechem. Był to uśmiech triumfującej nienawiści, tak przeraźliwy i nikczemny, że odebrał mi mowę, siły i oddech. Dominikanin tymczasem z widomą rozkoszą podszedł do stołu, za którym zasiadała reszta, podniósł zeń łańcuszek z wisiorkiem, którym był otrzymał od Angeliki de Alquézar przy Fontannie Stalowej, pokazał go zrazu mnie, potem członkom trybunału, na koniec zaś nowicjusze.

– A widziałaś kiedykolwiek tę pieczęć magiczną, związaną z ohydny m zabobonem, jakim jest hebrajska kabała, a znalezioną przy wspomnianym Íñigu Balboi, kiedy został był aresztowany przez „krewniaków” Świętego Oficjum? Pieczęć, która dowodzi jego udziału w tym żydowskim spisku?

Elvira de la Cruz ani razu nie podniosła na mnie wzroku. Teraz nie spojrzała także na wisiorek od Angélik, przez brata Emilia tuż przed nią dzierzony, odrzekła jeno „tak” tym samym tonem, co uprzednio, z oczami wbitymi w ziemię, przybita albo zmaltretowana do tego stopnia, że nawet nie wiedziała już, co to wstyd. Musiała raczej odczuwać potworne zmęczenie, obojętność, jak gdyby raz na zawsze pragnęła zakończyć to wszystko, w ciemny kąt się usunąć i zapaść w sen, którego od wieków jej pozbawiono.

Ja zaś taką bojaźń odczułem, że już nie miałem nawet siły protestować. Koziół męczarski przestał mnie dręczyć. Teraz pilnie próbowałem rozstrzygnąć, czy ludzi poniżej czternastego roku życia prowadzą na stos, czy też nie.

* * *

– Potwierdzone. Nosi podpis Alquezara.

Álvaro de la Marca, hrabia de Guadalmedina, odziany był w sutą, przetykaną srebrną nicią zieloną szatę, buty z łosiowej skóry i koszulę z

pierwszorzędnej roboty flamandzką koronką na kołnierzu. Płeć miał białą, dłonie smukłe i gładką powierzchowność – powiadano, że to najprzystojniejszy mąż w stolicy – na dodatek zaś nic ze szlachetności i dumy nie tracił nawet, kiedy siedział okrakiem na taborecie w mizernej izdebce szulerni prowadzonej przez Juana Vicuñę. Po drugiej stronie zakratowanego okienka widać było gęstą cizbę gości.

Hrabia miał już za sobą kilka partii, w których zgrał się co nieco, wszak nigdy do kart nie miał głowy, teraz jednak wymknął się cichaczem do sąsiedniego pomieszczenia, tłumacząc się kompanom przy stoliku, że za potrzebą idzie. Tu spotkał się z kapitanem Alatryste i mość Franciskiem de Quevedo, który od stóp do głów okutany wpadł właśnie przez tajne wnińście od strony placu Mayor.

– I mieliście waszmościowie słusność – prawił dalej Guadalmedina. – Celem całego przedsięwzięcia było istotnie zadać bezkrwawy cios Olivaresowi, sromotę na jego konwent sprowadzając. Przy sposobności zaś można było uregulować stare porachunki z kapitanem... Wykoncypowali przeto spisek hebrajski i usiłują do stosu doprowadzić.

– Chłopakowi też grożą? – spytał mość Francisco.

Jego powściągliwy, czarny strój, zakłócony jeno czerwonym akcentem krzyża Zakonu Świętego Jakuba na piersi, mocno odbijał od wyszukanej elegancji magnata. Siedział wedle kapitana, z płaszczem złożonym na oparciu krzesła, rapierem za pasem i kapeluszem na kolanach. Na dźwięk jego pytania Álvaro de la Marca poniechał napełniania szklanicy muszkatelem z dzbana, który obok niego stał na taborecie razem z glinianą długą fajką i tabakierką. Muszkatel z Malagi pochodził, ale dzban był już w połowie pusty, jako że Quevedo, ledwie przyszedł, tego zeń pociągnął, złorzecząc przy tym jak zwykle na nocną porę, na podłą drogę i na pragnienie.

– Owszem – potwierdził magnat. – Tylko jego i dziewczynę dopaść zdołali, bo ostatni żyjący członek rodziny, czyli starszy syn, przepadł jak kamień w wodę – tu wzruszył ramionami i zasepił się. – O ile wiem, gotują się do auto da fé z całym przepychem.

– Wasza miłość jest pewien?

– Absolutnie. Dotarłem tak daleko, jak się dało, płacąc, ile żądali. Jak by powiedział nasz przyjaciel Alatryste, dobry podkop dużo prochu wymaga... Tego akurat nie brakuje, ale gdy z inkwizycją gra się toczy, nawet przekupstwo napotyka przeszkody.

Kapitan nic na to nie rzekł. Siedział na pryczy w rozpiętym kaftanie, przesuwając z wolna szmerglem po ostrzu lewaka. Mimo zapalanej lampki oliwnej oczy pogrążone miał w cieniu.

– Dziwne, że Alquézar tak wysoko łapami sięga – ozwał się mość Francisco, przecierając szkła skrajem koszuli. – Sekretarz królewski rzadko ośmiela się z faworytem zadzierać, choćby i za pośrednictwem osób trzecich.

Guadalmedina z marsową miną pociągnął kilka łyków muszkatelu i strzelił językiem, po czym otarł sobie kędzierzawe wąsy naperfumowaną chusteczką, którą wyciągnął z rękawa.

– A dziwić się nie ma czemu. Ostatnimi miesiącami Alquézar znaczne wpływy w królewskim otoczeniu zyskał. To pomiot Rady Aragonii, której członkom sporo usług ważnych oddaje, a niedawno zdołał przekupić kilku członków Rady Kastylii. Na dodatek, dzięki pośrednictwu brata Emilia Bocanegry, poparciem ze strony najsurowszego skrzydła Świętego Oficjum się cieszy. Przy Olivaresie udaje, że jest mu powolny, atoli nie mam wątpliwości, że własną grę prowadzi...Z każdym dniem potęga jego rośnie, a takóž i jego fortuna.

– Skąd pieniądze czerpie? – zagadnął poeta.

Álvaro de la Marca ponownie ramionami wzruszył. Nabił przed chwilą swą glinianą fajkę tytoniem i teraz od kaganka ją przypalał. Fajka i tytoń wielką namiętność w Juanie Vicuñi budziły, iż lubił palić w chwilach, gdy towarzyszył kapitanowi Alatryste. Pomimo wszelako uznanych własności leczniczych – szeroko zachwalanych przez aptekarza Fadrique – sam kapitan nie zaprzyjaźnił się dotąd z owymi aromatycznymi liśćmi, przywożonymi drogą morską z Indii Zachodnich. Quevedo z kolei wołał wdychać je w postaci sproszkowanej.

– Nikt tego nie wie – odrzekł hrabia, dym nosem wypuszczając. – Może Alquézar też pracuje na cudze zlecenie. Snadź złotem szasta bez umiaru, przekupując, kogo się da. Nawet samego faworyta, który kilka miesięcy temu mógł go z powodzeniem odesłać z powrotem do Hueski³⁹, a przecie obchodzi się z nim jak z jajkiem. Powiadają, że sekretarz dąży do stanowiska protonotariusza Aragonii, może i sekretarza głównego gabinetu państwa... Jeżeli to mu się uda, będzie nietykalny.

Diego Alatryste zdawał się nie słuchać, o czym mówiono. Odłożył szmergiel na siennik i jął sprawdzać opuszką palca ostrze lewaka. Gdy skończył, niezmiernie powolnym ruchem sięgnął po pochwę i ostrożnie wsunął sztylet do środka. I wówczas dopiero podniósł wzrok na Guadalmedinę.

– Nie ma sposobu, by Íñigowi pomoc przynieść?

Przez kłęb dymu można było dostrzec życzliwą, atoli zboląłą twarz hrabiego.

– Obawiam się, że nie. Obydwaj wiemy wyśmienicie, że kogo inkwizycja pochwyci, ten wpada w tryby maszyny nieubłaganej a nader wydajnej... – Zmarszczył czoło i potarł w zamyśleniu bródkę. – Co innego mnie zdumiewa: że ciebie nie złapali.

– Ukrywam się.

– Nie o tym mówię. Mają w posiadaniu środki, za pomocą których mogą sprawdzić wszystko, co należy, a mimo tego nawet nie przeszukali dotąd twego mieszkania... Z czego wnoszę, że nie dysponują wciąż materiałem do oskarżenia wystarczającym.

– Dowody mają głęboko gdzieś – mość Francisco gwałtownie sięgnął po dzban muszkatelu. – Można je snadnie sfabrykować albo kupić:

*Każde prawo złamać może,
Zaszczyt niosąc i niwecząc...*⁴⁰

wydeklamował, sącząc przy tym wino. Guadalmedina unosił właśnie fajkę do ust, lecz w pół drogi się zawahał.

– Nie, raczy wasza miłość wybaczyć, panie de Quevedo. Święte Oficjum to instytucja nader rygorystyczna i skrupulatna. Jeżeli dowodów nie uzyska, to choćby Bocanegra zarzekał się i przysięgał na świętości wszelkie, że kapitan po uszy w spisku siedzi, to inkwizycja nigdy zgody na jakiegokolwiek kroki przeciwko naszemu przyjacielowi nie udzieli. A skoro nie podejmują nijakiej oficjalnej procedury, to oznacza, że chłopak pary z ust dotąd nie puścił.

– Wszyscy zawsze puszczają – poeta pociągnął tęgi łyk, a zaraz potem następny. – W końcu to jeszcze dziecko.

– A ja przy swym zdaniu obstaję, że lubo dziecko, ale wytrwale milczy. To właśnie dają mi do zrozumienia osoby, z którymi przez cały dzień konferuję. Oczywiście, Alatryste, tyle złotam dziś w twej sprawie wydał, że możemy właściwie zapomnieć o historii przy Qerqennie... O ile złoto pomogło wówczas załatwić pewne sprawy.

I tu Álvaro Luis Gonzaga de la Marca y Álvarez de Sidonia, hrabia de Guadalmedina, grand Hiszpanii, zaufany króla, przedmiot uwielbienia

wszystkich dam na dworze i zawiści niejednego szlachcica z najlepszych rodów, skierował ku Diegowi Alatryste porozumiewawcze, pełne przyjaźni spojrzenie, jakiego snadź nie podejrzewałby nikt, wiedząc, że siedzą naprzeciw siebie człek tak zacnego urodzenia i skromny wiarus, który z dala od Flandrii czy Neapolu musiał zarabiać na życie, najmując się jako zabijaka.

– Przyniósł wasza miłość to, o co go prosiłem? – spytał Alatryste.

Uśmiech rozjaśnił oblicze hrabiego.

– Przyniosłem – Guadalmedina odłożył fajkę na stół i wyciągnął zza pazuchy paczuszkę, którą zaraz kapitanowi wręczył. – Masz.

Ktoś mniej obeznany z sytuacją niżli mość Francisco de Quevedo zdumiałby się, taką widząc zażyłość pomiędzy magnatem a żołnierzem. To prawda, Guadalmedina nieraz już był prosił Diega Alatryste, by ten swym żelazem załatwiał zań sprawy, wymagające zwinnej ręki i skromnych skrupułów, jak chociażby zabójstwo młodego markiza de Soto i jeszcze kilka innych umówionych potyczek. To wszelako nie oznaczało, by zlecający jakiegokolwiek zobowiązania miał wobec wykonawcy. A już z pewnością niedopuszczalne było, żeby grand Hiszpanii, bardzo w stolicy ustosunkowany, ganiał jako przynieś-podaj w sprawach tyczących inkwizycji, i to na prośbę jakiegoś Pana Nikogo, którego usługi mógł kupić, ledwie sakiewką potrząsając. Pan de Quevedo wiedział aliści aż nadto dobrze, że Diega Alatryste i Álvaro de la Marca łączyło coś więcej niż tylko wspólne mętne interesy. Niemal dziesięć lat temu Guadalmedina, gołowąs jeszcze, popłynął na galerach wicekrólów Neapolu i Sycylii w fatalną eskapadę ku Qerqennie i w solidnych znalazł się tarapatach, gdy na oddziały katolickie, przez lagunę w bród się przeprawiające, spadli znienacka Maurowie. Diuk de Nocera, któremu mość Álvaro towarzyszył, pięć okrutnych ran otrzymał, a tymczasem ze wszech stron nadbiegali

poganie ze swymi handżarami, lancami i gęsto walącymi arkebuzami. Owóż stało się, że pomór istny wśród Hiszpanów nastał, a ten, kto żyw się ostał, już nie za króla, ale o własną skórę się bił, zabijał, ażeby samemu nie zginąć, po pas w wodzie rozpaczliwy odwrót czyniąc. Jak opowiadał później Guadalmedina, wyglądało na to, że na wieczerzę w Stambule staną, jeśli nie u samego Chrystusa. Dopadł go Maur, w starciu hrabicz rapier postradał, a gdy ku wodzie się schylił, by sztylet swój odszukać, dwa sztychy handżarem go dosięgły. I już widział się trupem albo niewolnikiem – tym pierwszym raczej niżli drugim – kiedy jakaś w pobliżu walcząca grupka żołnierzy, co się nawzajem osłaniała i animuszu sobie dodawała, krzycząc „Hiszpania! Hiszpania!”, pomimo palby z arkebuzów wołanie jego posłyszała i dwóch albo trzech skoczyło mu na pomoc poprzez muł, natychmiast bez pardonu siekąc bezbożników, którzy go opadli. Jeden z owych żołnierzy miał sumiaste wąsy i bardzo jasne oczy. On to, uczyniwszy swą lancą jednemu Maurovi dodatkowy otwór w twarzy, zarzucił sobie rękę młodego Guadalmediny na ramię i powłókł go poprzez czerwone od krwi błoto ku łodziom i galerom, naprzeciwko plaży stojącym. Ale przecież i tam bić się im przyszło, Guadalmedina krwią przy tym na piach broczył wśród kul, strzał i handżarów, w końcu atoli jasnooki żołnierz zdołał go w pół ucapić i ciągnąc przez wodę, do szalupy ostatniej galery dociągnąć. Z tyłu zasię dobiegały go jęki nieszczęśliwców, którym czmychnąć się nie udało – ci już to życie na okrutnej plaży oddawali, już to popadali w jasyr.

Te same jasne oczy miał hrabia teraz przed sobą w domu gry, do Juana Vicuñi należącym. I jak to zwykle bywa, ale wśród zacnych ludzi jeno, lata minęły, a Álvaro de la Marca swego długu w niepamięć nie puścił. A tym głębiej sobie rzecz całą w głowie zakarbował, gdy tylko zwiedział się, że żołnierz ów, który był pod Qerqenną życie mu ocalił, przez towarzyszy

broni z szacunkiem (choć bez faktycznego uzasadnienia) kapitanem zwany, walczył także we Flandrii pod rozkazami ojca jego, starego hrabiego Fernanda de la Marca. Diego Alatryste z kolei spłaty długu tego nigdy się nie dopominał, chyba że popadał w śmiertelną kabałę. Tak stało się podczas niedawnej awantury z dwoma Anglikami, tak też było i teraz, gdy moje życie na włosku wisiało.

– Wracając do naszego Íñiga – ciągnął Guadalmedina.– Jeśli przeciw tobie, Alatryste, nie zezna, rzecz cała utknie w martwym punkcie. On wszelako już został aresztowany i, jak się zdaje, ciężą na nim poważne oskarżenia. Co w oczach inkwizycji czyni go przestępcą.

– Co mogą mu zrobić?

– Zgoła wszystko. Dziewczynę zapewne spalą, jak Bóg na niebie. Z nim zasię, zależy. Może się wykpi kilkoma latami w turmie, chłostą dwustu biczów, paradą w czepcu pokutnym, sam nie wiem. Atoli ryzyko stosu nad biedakiem wisi.

– A co z Olivaresem? – zapytał mość Francisco.

Guadalmedina zrobił niewyraźną minę. Na powrót cmoktał ustnik fajki, mrużąc oczy przed dymem.

– Wiadomość otrzymał, ze sprawą się zapozna, lubo dużo odeń oczekiwać nie możemy... Jeśli będzie miał nam codo zakomunikowania, da znać.

– Do kroćset, niewielka to pociecha – burknął mość Francisco.

Guadalmedina zerknął na poetę z lekkim marsem na czole.

– Faworyt Jego Wysokości ma też inne sprawy na głowie.

Słowa te wyrzekł tonem z lekka oschłym. Álvaro de la Marca podziwiał talenty pana de Quevedo, szanował w nim szczerego druha kapitana i darzył estymą z uwagi na wielu wspólnych przyjaciół – zetknęli się już byli wcześniej w Neapolu u boku diuka de Osuna – aliści magnat też w wolnych

chwilach poezją się zatrudniał i doskwierało mu, że pan na Wieży Jana Opata nie ceni jego twórczości. Tym bardziej że jemu samemu zadedykował był oktawę, jedną z najprzedniejszych, jakie spod jego pióra wyszły. Zyskała sobie nawet pewną sławę, a rozpoczynała ją linijka:

Rocha pocziwego, co chromał stale...

Kapitan nie zwracał na nich uwagi, zajęty był bowiem rozwijaniem paczuszki od hrabiego. Álvaro de la Marca ssał dalej fajkę, oczu zeń nie spuszczał.

– Bylebyś ostrożność zachował, Alatryste – rzekł wreszcie.

Ten nic nie odrzekł, jeno z uwagą przypatrywał się zawartości zawiniątka. Na pogniecionej kapie siennika leżał plan i dwa klucze.

* * *

Na Błoniu wielki panował harmider. Właśnie odbywała się parada wieczorna, powozy od bramy Guadalajary i ulicy Mayor nadjeżdżające zwalniały wedle fontann i alej topolowych, a tymczasem dachy madryckie złościły ostatnie promienie zachodzącego słońca. Między rogiem ulicy Alcalá a początkiem traktu Świętego Hieronima panował ożywiony ruch: w obydwie strony podążały powozy odkryte i zakryte, jeźdźcy damom kompanii dotrzymujący, białe czepce dam dworu, fartuszki służących, giermkowie, sprzedawcy wody ze Złotej Studni tudzież miodu oraz niewiasty nawołujące do owoców, śmietanki, marynat i słodkich smakołyków.

Jako grand Hiszpanii, który prawo ma w przytomności króla głowę mieć zakrytą, hrabia de Guadalmedina mógł jechać pojazdem w czwórkę mułów

zaprzęzoną – szóstka zastrzeżona była tylko dla Jego Wysokości. Atoli z uwagi na okoliczności, które większej dyskrecji wymagały, magnat wybrał w swej powozowni skromny pojazd bez znaków nijakich, z parą szarych mułów i stangretem bez liberii. Wewnątrz było wszakże wystarczająco dużo miejsca, by onże, mość Francisco de Quevedo i kapitan Alatryste wygodnie rozsiąść się mogli i w spokoju oczekiwali na wyznaczone spotkanie, jeżdżąc Błoniem w tę i nazad. Śród mnogości innych powozów nie rzucali się zgoła w oczy, cały elegancki Madryt bowiem lubił o zmierzchu paradować w pobliżu monasteru Świętego Hieronima. Tu można było napotkać posępnych mnichów, zażywających przedwieczornego spaceru dla zaostżenia apetytu, studentów w koncepty równie bogatych, co w marawedi ubogich, kupców i rzemieślników z rapierami u boku, mieniących się szlachcicami, a osobliwie całe mnóstwo galantów, szukających okazji, by jaki komin ochędożyć (i wcale nie o kominiarskiej robocie tu myślę); wszędy widać było białe dłonie, rozsuwające i zasuwające firaneczki w oknach powozów, a niejedna dama przy wysiadaniu jawnie lub skrycie na pół łokcia odsłaniała, niby to należnego baczenia na baskinę swą nie dając, ponętą krynolinę. Tak to upływały rozkosznie na Błoniu ostatnie chwile dnia, a wokół jęły panoszyć się cienie. Osoby wysokiego stanu z wolna opuszczały okolicę, na ich miejsce zasię wkraczali z wolna kawalerowie przygód szukający, ladacznice i wszelakiego autoramentu łotrzykowie, rychło też Błonie stawały się scenerią zalotów, schadzek i ukradkowych spotkań pod topolami. Wszystkie owe zachody odbywały się z pełnym zachowaniem pozorów i zacnych manier, szły w ruch bileciki z powozu do powozu śród spojrzeń, trzepotu wachlarzy, pochlebstw i obietnic. Trzeba rzec również, że niejeden szlachetnie urodzony kawaler tudzież dama, którzy mijali się tu, niby to się nie znając, ledwie słońce zaszło, zaraz czmychali pospołu w lubieżne

zakątki, by z chwili prywatności w kabinie pojazdu skorzystać albo z osłony, jaką dawały licznie rozlokowane w alejach kamienne fontanny, sposobne do polowań na upatrzone zdobycze. Nie należały snadź do rzadkości i szermiercze pojedynki, wzniecane już to przez zakochanych, już to przez zazdrosnych kochanków, już to przez mężów, co się na obce nasienie we własnym ogródku natknęli. O tym ostatnim gatunku pisał był nieboszczyk hrabia de Villamediana – który w biały madrycki dzień podczas parady własny nader zuchwały język przypłacił przepastną dziurą w patrochach – taką oto sławetną frazą:

*W Madrycie znów jestem, nie wierzę oczom,
Błonie snadź inne, niż znałem za młodu:
Tylu po kwiatkach stąpa tu ochoczo,
Choć winni je raczej gryźć już od spodu.*

Álvaro de la Marca, człek majątny, samotny i zwyczajny tego wszystkiego, co działo się na Błoniu i ulicy Mayor, a także tego, że tuzinami całymi rogi się tu przyprawia, owego wieczoru wszelako w innym charakterze tu przebywał. Odziany był w szatę równie szarą, co jego stangret i muły, by uwagi niczyjej nie zaprzętać – do tego stopnia, że raptownie zasunął firanki, przez które na otoczenie zerkał, gdy minął ich odkryty powóz, w którym zasiadały damy, suto obszyte srebrzystymi i jedwabnymi pasamonami tudzież neapolitańskimi falbanami – widomie nie chciał się z nimi witać, snadnie były mu aż nader dobrze znane. Z kolei mość Francisco de Quevedo pilne baczenie na ulicę dawał przez drugie okienko, zerkając przez prawie zasuniętą zasłonkę. Diego Alatryste pomiędzy nimi siedział, wyciągnąwszy nogi w długich butach żołnierskich, i jak zwykle milczenie zachowywał, kiwając się delikatnie wraz z całym

pojazdem. Wszyscy trzej kapelusze mieli na głowach, a rapiery postawione pomiędzy kolanami.

– Jest – ozwał się naraz Guadalmedina.

Quevedo i Alatryste pochylili się nieco w kierunku hrabiego, by też okiem rzucić. Czarny powóz, podobny do tego, którym sami jechali, również bez znaku nijakiego i z zakrytymi okienkami, minął właśnie Torrecillę i skręcał w aleję. Woźnica odziany był w bury strój, z kapelusza sterczały mu dwa pióra, białe i zielone.

Guadalmedina drzwiczki otwarł i wydał polecenia swemu stangretowi, który w mig lejcami szarpnął, by zrównać się tempem z drugą karetą. Jechali tak czas jakiś w niedużej od siebie odległości, aż wreszcie jeden pojazd zatrzymał się w odosobnionym zakątku pod starym kasztanowcem, wedle strugi płynącej ze źródła, nad którym wznosił się wyrzeźbiony z kamienia delfin. Po chwili obok zatrzymał się i drugi powóz. Guadalmedina natychmiast wysiadł, za nim pojawili się Alatryste i Quevedo, obydwaj od razu kapelusze z głów zdjęli. Tymczasem firanka w oknie pierwszej karety została odsunięta, ukazując wielką głowę i oblicze przekrwione a stanowcze, co dodatkowo podkreślały mroczne, inteligentne oczy, groźna broda i wąsy oraz szerokie ramiona, poniżej których czerwieniał krzyż Zakonu Calatrava. Na ramionach tych spoczywało brzemień najpotężniejszej monarchii na całej Ziemi, należały one bowiem do mości Gaspara de Guzmán, hrabiego de Olivares, faworyta naszego miłościwego pana Filipa Czwartego, króla obojga Hiszpanii.

– Nie spodziewałem się ujrzeć waszmości tak rychło, kapitanie Alatryste. Sądziłem, żeś już do Flandrii wyruszył.

– Takem zamiarowałem, ekscelencjo. Tyle że powstała drobna przeszkoda.

– Rozumiem... Zali wspominał kto waszmości, że masz wyjątkowy talent do komplikowania sobie życia?

Niezwykła to była rozmowa, jeśli zważyć, że prowadzili ją faworyt króla Hiszpanii i prosty zabijaka. Guadalmedina i Quevedo przysłuchiwali się jej w milczeniu. Hrabia de Olivares wymienił był już z nimi zwyczajowe powitania i teraz zwracał się do kapitana Alatryste z nieomal dwornym zainteresowaniem, nieznacznie jeno maskowanym wyniosłą miną na szorstkim obliczu. Rzadka była u faworyta podobna uprzejmość, czego nikt z przytomnych nie omieszkał zauważyć.

– Zdolności zdumiewające – powtórzył Olivares, jak gdyby już do siebie.

Kapitan poniechał komentarza, milczenie zachować woląc. Głowę miał odkrytą i stał tuż przy stopniach powozu hrabiego, zachowując respekt, aczkolwiek nie pozbawiony pewności siebie. Olivares ostatni raz na kapitana okiem rzucił, by wreszcie wzrok na Guadalmedinę przenieść.

– W tej szczególnej kwestii, która nas dzisiaj zajmuje—ozwał się—wiedźcie, panowie, że niczego uczynić nie sposób. Wdzięczny wam jestem za dostarczone wiadomości, aliści w zamian nic zaoferować nie mogę. W materię Świętego Oficjum nawet nasz Miłościwy Pan swego królewskiego nosa nie wtrąca—tu machnął swą silną i krzepką dłonią z wydatnie wężłącymi się żyłami.—Rzecz oczywista jednak, nie jest to sprawa, którą moglibyśmy Jego Wysokości głowę zawracać.

Álvaro de la Marca popatrzył na niewzruszonego Alatryste, po czym ku dostojnikowi się zwrócił.

– Zatem nie ma wyjścia?

– Nie ma. Srodze żałuję, że pomóc wam nie zdołał—w głosie faworyta zabrzmiała nuta szczerzej wyrozumiałości.—Osobliwie, ponieważ cios, jaki

w kapitana Alatryste wymierzono, i mnie mógł łącno dosięgnąć. Atoli tak już układają się rzeczy tego świata.

Guadalmedina czoło skłonił przed Olivaresem, również odkryte, lubo sam tytułem granda Hiszpanii się cieszył. Álvaro de la Marca jako człek z Dworem obeznany, wiedział, że w stolicy wszelkie targi mają swoje granice. Za wielki poczytywał zaszczyt już to, że najpotężniejsza osoba w całym królestwie zechciała z nimi odrobinę czasu swego zmitrężyć.

Wszelako odważył się na jeszcze jedno pytanie: – Czy chłopak na stos pójdzie, ekscelencjo?

Faworyt poprawiał sobie akurat flamandzkie koronki, które wysunęły mu się spod kaftana, ciemnozieloną nicią przesywanego, lecz bez nijakich klejnotów albo ozdób. Strój magnata tak był skromny, jak tego wymagały edykty przeciwko ostentacji, jakie sam był królowi do podpisu podsunął.

– Lękam się, że tak – rzekł bezbarwnym głosem. – Jak również dziewczyna. I możecie Bogu dzięki składać, że nikogo więcej na stos nie poprowadzą.

– Ile czasu nam pozostało?

– Mało. O ile zdołałem się wywiedzieć, prowadzący proces zostali ponaglani, zatem już za parę tygodni na placu Mayor zapłonie ogień. Zważywszy obecny stan mych relacji ze Świętym Oficjum, będą mogli to sobie zapisać na swój pożytek – pokręcił głową na potężnej szyi, wyrastającej z nakrochmalonej krezy.– Nie mogą mi darować tamtej historii z Genuńczykami.

Na ustach jego, gdzieś pomiędzy czarną brodą a srogimi, gęstymi wąsami, zamajaczył ślad melancholijnego uśmiechu. Hrabia uniósł lekko szeroką dłoń, dając do zrozumienia, że audiencja dobiegła końca. Guadalmedina ponownie głowę z lekka pochylił, w sam raz, by godności własnej nie uwłaczając, respekt ministrowi okazać.

– Ekscelencja szczerze obdarował nas swym cennym czasem. Pozostajemy w głębokiej wdzięczności i czujemy się dłużnikami wielmożności waszej.

– Spodziewaj się skryptu dłużnego, mości Álvaro. Moja wielmożność nigdy nie świadczy usług za darmo – tu faworyt zwrócił się ku panu de Quevedo, który stał cały czas niczym posąg Komandora⁴¹. – Co zaś się waszmości tyczy, żywię nadzieję, że stosunki między nami ku lepszemu się obrócą. Parę sonetów, sławiących mą politykę we Flandrii, nie powinno mi zaszkodzić, tych niby anonimowych, łącno rozpoznawanych atoli przez wszystkich, iż spod waszmościnego pióra wyszły. Do tego jakiś poemacik stosowny na temat potrzeby dewaluacji miedziaka o połowę... Coś w stylu tych zacnych wierszy, które byłeś waszmość łaskaw zadedykować mi swego czasu:

*Bowiem szczęśliwa gwiazda, co cię skłania,
By mądrze odjąć to, na czym nam zbywa,
Zawistne słowa cudem precz przegania...*⁴²

Mość Francisco, najwyraźniej nieswój, zerknął z ukosa na swych towarzyszy. Dobre znaki na widnokręgu zwiastowały koniec długiej i bolesnej niełaski, w jaką poeta był popadł, i teraz usiłował odzyskać dawną pozycję w stolicy, niechając waśni i odwracając monetę losu. Sprawa konwentu Benedyktynek zdarzyła się w mocno niefortunnym dlań momencie i nadzwyczaj zacnie świadczyło o poczciwości jego, że obecną pomyslną gwiazdę na szwank narażał gwoli wypełnienia dawnych zobowiązań, w imię honoru i przyjaźni zaciągniętych. Quevedo, którego cierpki koncept tudzież przedni talent zawiść i lęk budziły, ostatnimi czasy baczył, by wrogości możliwym nie okazywać, co sprawiało, że zmuszony był

swój zwyczajny pesymizm i napady złych humorów łagodzić okazjonalnymi peanami. Koniec końców, nasz wielki satyryk był istotą na wskroś ludzką, powrót na wygnanie mu się nie uśmiechał, chciał także podreperować co nieco nadszarpnięty majątek, przeto gryzł się w język ze strachu, że wszystko zmarnotrawi. Na domiar szczerze ufał, jak i wielu mu współczesnych, że Olivares istotnie jest owym żelaznym chirurgiem, zdolnym wykurować starego i schorowanego hiszpańskiego lwa. Należy wszelako przyznać, że druh kapitana Alatryste nawet w owej epoce względnego dobrobytu spłodził komedię *Jaki winien być faworyt*, w której na ciężką próbę wystawiał względy, jakimi przyszły hrabia–diuk raczył go coraz bardziej darzyć. Atoli pomimo zabiegów Olivaresa i innych wpływowych dworaków, by relacje z poetą zacieśnić, owa nader wątła przyjaźń i tak miała po latach ustać. Długie języki powtarzały, że poszło o sławetną petycję w sprawie serwetki, ja jednak pozwalam sobie tuszyć, że sprawa znacznie mniej błaha uczyniła z nich wrogów śmiertelnych, wzruszyła gniew u naszego miłościwego króla i ostatecznie doprowadziła sędziwego już i schorowanego mość Francisca do więzienia w San Marcos de León. A wydarzyło się to dużo później, kiedy monarchia przekształciła się już była w nienasyconą bestię, co podatki pożera, a nic w zamian znękanemu ludowi nie daje krom wyniszczających wojen i nierozważnych decyzji politycznych, kiedy Katalonia i Portugalia zbrojne bunty podniosły, Francuz – jak to ma we zwyczaju – nie omieszkał własnej pieczeni upiec, Hiszpania zaś pogrążyła się w wewnętrznej zawierusze, co ruinę i wstyd przyniosła. Atoli o tych ponurych czasach relację zdam w sposobniejszej chwili. Na razie bowiem opowiedzieć się godzi, że owego wieczoru na Błoniu poeta przytaknął co prawda oschle, ale uprzejmie i niemal dwornie: – Zasięgnę opinii muz, ekscelencjo. I zrobi się, co będzie można.

Olivares, już teraz kontent, pokiwał głową.

– Nie wątpię – głos jego brzmiał, jakby właściciel jego nie dopuszczał nawet innej możliwości. – Co zaś tyczy się waszego procesu o osiem tysięcy czterysta reali z diukiem de Osuna, to wiesz waszmość, że Pałac sprawiedliwy, ale w tych sprawach nierychliwy... Wszystko w swoim czasie. Wpadnij waszmość do mnie któregoś dnia, to pogawędzimy bez pośpiechu. A nie zapomnijże o moim wierszu.

Quevedo jeszcze raz oddał ukłon, nie przestając z niepokojem zerkać na swych kompanów. Osobliwie na Guadalmedinę spoglądał, bacząc, czy nie dojrzy u niego jakowej drwiny.

Álvaro de la Marca wszelako niejedno w swym magnackim życiu widział, znał także naszego satyryka jako wyśmienitego szermierza, przeto ostrożnie udawał, że nic nie słyszy. Faworyt zasię ku Diegowi Alatryste się obrócił.

– Waszmości natomiast, kapitanie, pomoc nie mogę i wielcem z tego tytułu niekontent – słowa te wypowiedziane były znów tonem wyniosłym, jak nakazywała różnica stanu rozmówców, aliści uprzejmym. – Wyznam, że dla zagadkowej przyczyny, którą może ja i waszmość znamy, mam do waszmości osobliwą słabość... Jej to, oprócz prośby mego drogiego przyjaciela mości Álvaro, zawdzięczasz nasze dzisiejsze spotkanie. Wiedz waszmość aliści, że im większą władze posiadasz, tym mniej sposobności masz, by z niej korzystać.

Alatryste trzymał w jednej dłoni kapelusz, druga na rękojeści rapiera spoczywała.

– Z całym należnym szacunkiem, wasza miłość może ocalić tego chłopaka jednym słowem.

– Przypuszczam, że tak. Wystarczyłby pewnikiem jeden rozkaz, podpisany przeze mnie własnoręcznie. Ale nie jest to takie łatwe. Na ten przykład, musiałbym w tym celu poczynić dalsze koncesje, co na moim

stanowisku powinno się dokonywać po drobiazgowym zbadaniu sprawy. Waszmoścין młodociany przyjaciel, na takiej szali położony, niewiele waży, gdy porównać go z wielkimi zadaniami, jakimi Bóg i nasz miłosierny król zechcieli łaskawie mnie obarczyć. Przeto przychodzi mi jeno życzyć waszmości szczęścia.

Ostatnim słowem towarzyszyło surowe spojrzenie, oznaczające, że postanowienie jest nieodwołalne. Alatryste jednak patrzył faworytowi prosto w twarz bez zmrużenia oczu.

– Ekscelecencjo, mam do dyspozycji jeno kartę zasług, która dla nikogo złamanego szeląga nie jest warta, i rapier, dzięki któremu zarabiam na życie – kapitan przemawiał powoli, jakby nie do pierwszego ministra dwóch światów się zwracał, ale do samego siebie. – Nie mam też gęby pełnej słówek ani trzosa pełnego monet. Mają wszak spalić niewinnego chłopca. Jego ojciec, a mój towarzysz broni, życie postradał na wojnie, którą razem z królem rozpoczęliście. I może ani ja, ani Lope Balboa, ani syn jego nie ważymy wystarczająco dużo na tej szali, o której wasza miłość raczył właśnie napomknąć. Aliści nikt nie może być pewien, jaki obrót życie przybierze. I czy pewnego dnia jedno dodatkowe ostrze nie zaważy więcej niżli wszystkie papiery i wszyscy skrybowie, i wszystkie pieczęcie królewskie, jakie świat zna... Jeśli raczysz wasza miłość pomóc sierocie po jednym z waszych żołnierzy, daję słowo, że gdy przyjdzie pora, będziesz, panie, mógł liczyć i na mnie.

Ani Quevedo, ani Guadalmedina, ani nikt zgoła nigdy jeszcze nie słyszał, by Diego Alatryste wypowiedział tyle słów naraz. Faworyt słuchał zasię nieruchomo, z miną nieprzeniknioną, i tylko w jego bystrych ciemnych oczach pojawił się osobliwy błysk. Kapitan mówił z respektem przepojonym melancholią, twardo, co można by uznać za oznakę

grubiaństwa, gdyby nie to spokojne spojrzenie i wyważony ton bez cienia pychy. Rzekłbyś, że opowiada o rzeczach zgoła oczywistych.

– Nie wiem, zali po pięciokroć, po siedmiokroć czy po dziesięciokroć...
– dodał z naciskiem. – Ale będziesz mógł na mnie liczyć.

Zapadła nader długa cisza. Olivares już miał drzwiczki zatrzaskać i tym samym zakończyć spotkanie, aliści zawahał się. Najpotężniejszy człowiek w Europie, który jednym gestem potrafił zawrócić galeony załadowane złotem i srebrem albo całe armie w jedną i drugą stronę mapy świata, przypatrywał się teraz szaremu weteranowi z Flandrii. A pod groźny czarny wąs faworyta zabłąkał się cień uśmiechu.

– Do kroćset – ozwał się hrabia.

Przysiąc można, że wieczność całą patrzył na kapitana. Następnie zaś, ruchem nadzwyczaj powolnym, wyciągnął z obitego w marokin notatnika kartkę i skreślił na niej ołówkiem cztery słowa: *Alquézar. Huesca. Zielona księga*. Przeczytał je kilkakrotnie w zadumie, by wreszcie z wolna, jakby do ostatniej chwili walczył z wątpliwościami, wręczyć papier Diegowi Alatryste.

– Masz wielką rację, kapitanie – mruknął, wciąż zamyślony, po czym zerknął na rękojeść rapiera, gdzie nadal dłoń kapitana spoczywała. – W rzeczy samej, nigdy nic nie wiadomo.





VIII. NOCNE ODWIEDZINY.

Dwukrotnie zabrzmiał dzwon na wieży Świętego Hieronima, kiedy Diego Alatryste nadzwyczaj powoli przekręcał klucz w zamku. Obawy szybko ustąpiły miejsca uldze, skoro tylko naoliwiony tegoż wieczoru mechanizm zadziałał z delikatnym trzaskiem. Popchnięte drzwi otwarły się w mroku bez najlżejszego skrzypnięcia zawiasów. *Auro clausa patent*, złoto otwiera drzwi, jak powiedziałyby Klecha Pérez, a mość Francisco de Quevedo dodałby, że nie cesarz i nie ksiądz, lecz potężniejszy od nich mospan Pieniądz. W istocie zasię złoto pochodziło z sakiewki hrabiego de Guadalmedina, nie sposób wszak przypuszczać, by kapitan Alatryste mógł je wysupłać ze swej chudej kieszeni. Nikt atoli nie pytał, co to za pieniądze, skąd pochodzą i czym pachną. Wystarczyły na zakup kluczy i planu domostwa, dzięki czemu ktoś owej nocy miał przeżyć zgoła nieprzyjemną niespodziankę.

Z mość Franciskiem Alatryste pożegnał się był parę godzin wcześniej, gdy odprowadził go na ulicę Postas. Chwilę później zobaczył jeno, jak poeta wypadł co koń wyskoczy, w strój podróżny odziany. Pan Quevedo rapier, mantelzak i pistolet do łęku siodła miał przytroczone, a pod zakładką kapelusza zatknął owe cztery słowa, które przekazał mu był Olivares. Guadalmedina ze swej strony pochwalał wyprawę poety, atoli awantura, w jaką Alatryste zamiarował się wdać tejże nocy, zgoła nie przypadła

hrabiemu do gustu. „Lepiej poczekać” – powiedział, kapitan wszelako czekać nie mógł. Podróż poety mogła się powieść lub nie, on sam zaś czuł, że nie wolno mu przez ten czas próżnować. I nie kwapił się ustąpić.

Zacisnąwszy w dłoni obnażony lewak, ruszył skroś wewnętrznego dziedzińca, bacząc, by na nic w ciemności nie nadepnąć i sług nie pobudzić. Jeden z nich przynajmniej, ów, który agentom Alvara de la Marca dostarczył był klucze i plany domostwa, z pewnością spał owej nocy głuchy, niemy i ślepy. Reszta wszelako liczyła z pół tuzina i można było przysiąc, że o tej porze potrafiliby nieboraka z łoża poderwać. Licząc się z niepomyślnym obrotem spraw, kapitan przedsięwziął środki ostrożności właściwe jego profesji. Strój miał ciemny, bez płaszcza i kapelusza, by mu nie były zawadą, do pasa przytroczył jeden ze swych pistoletów skałkowych, nabity i gotów do strzału, a krom rapiera i lewaka wdział na siebie jeszcze stary napierśnik z bawolej skóry, który stosownym się okazał w ówczesnym Madrycie, mieście przez samego Alatryste uznawanym za miejsce nader niezdrowe. Buty Diego Alatryste ostawił był w przybytku Juana Vicuñi, a miast nich na nogach miał łapcie skórzane na pleciance z ostnicy, dzięki którym mógł stąpać zwawo i cicho niczym cień, co wielce przydatnym było w terminach jeszcze trudniejszych niżli przeze mnie opisywane, kiedy to podczas sekretnych akcji przychodziło nocą przemykać się wśród faszyn i okopów, by zgładzić paru heretyków we flamandzkim bastionie, a zmiłowania nie mogłeś spodziewać się zgoła znikąd.

Dom spowijały cisza i mrok. Alatryste natknął się na obmurowaną cysterne, okrążył ją i nareszcie dotarł do poszukiwanych drzwi. Ku jego ukontentowaniu drugi klucz również zadziałał, wyprowadzając kapitana na całkiem szerokie schody. Wszedł po nich, oddech wstrzymując i dzięki w duchu składając, że z kamienia, nie zaś z drewna są uczynione i nie

trzeszczą. Znalazłszy się na górze, skrył się za okazałą szafą, by sytuację ogarnąć, po czym kilka kroków naprzód postąpił, znów zawahał się w ciemności korytarza, odliczył dwoje drzwi po prawej ręce i wszedł z lewakiem w dłoni, przytrzymując rapier, by o żaden sprzęt nie zawadzić. Wedle okna, w półmroku nocnym rozproszonym nieco słabym światłem lampki oliwnej, chrapał spokojnie Luis de Alquézar. Diego Alatryste z trudem okiełznał uśmiech. Jego potężny wróg, sekretarz królewski, bał się spać w ciemnościach.

Alquézar, na wpół rozbudzony, z opóźnieniem pojął, że to nie zły sen. Miał się właśnie przewrócić na drugi bok, by ponownie zasnąć, lecz sztylet pod gardziel podsunięty przeszkodził mu w tym w bolesny sposób. Wtedy sekretarz królewski ocknął się na dobre, dotarło doń bowiem, że stanął oko w oko z ponurą rzeczywistością. Zatrwożony wyprostował się raptownie, jął też oczy i usta otwierać, chcąc krzyknąć donośnie, atoli dłoń Diega Alatryste zapobiegła temu bez szczególnych ceregieli.

– Jedno słowo – szepnął kapitan – a zginiesz waszmość.

Oczy i wąsy sekretarza królewskiego, widoczne pomiędzy jego szlafmycą a grożącą mu stalą, trzęsły się bojaźliwie. Pełgający zaledwie kilka cali od jego oblicza wąty płomyk lampki oliwnej wydobywał z mroku orli nos kapitana, jego bujny wąs i ostrą główkę lewaka.

– Straż ma broń?

Tamten pokręcił głową. Oddech jego pokrył kapitańską dłoń drobnymi kropelkami wilgoci.

– Wiesz waszmość, kim jestem?

Zamrugały zalęknione oczy, a po chwili głowa skinęła twierdząco. A gdy Alatryste dłoń od ust Luisa de Alquézar odsunął, ten ich nie zamknął, lecz dalej trwał w milczeniu, z licem zastygłym, i wpatrywał się jeno w

pochylony nad nim cień, jakby zjawę ujrzał. Kapitan przyparł sztylet mocniej do gardzieli leżącego.

– Co chcesz zrobić z chłopakiem?

Alquézar zezował teraz na ostrze. Szlafmyca na poduszkę mu się zsunęła, odsłoniwszy w słabym świetelku lampki skąpe włosy, zmierzwione i przetłuszczone, które jeszcze bardziej podkreślały nikczemność zaokrąglonej twarzy, grubego nosa i rzadkiej, wąskiej, przyciętej bródki sekretarza królewskiego.

– Nie wiem, o kim waszmość mówisz – wycharczał niepewnie.

Bliskość ostrego żelaza nie zdołała snadź buty zeń przegnać. Alatryste docisnął broń tak mocno, iż jęk bólu z tamtego wydobył.

– Tedy zabiję waszmości teraz, jak Bóg na niebie.

Gospodarz znów zajęczał wystraszony. Teraz nie śmiał już choćby powieką poruszyć. Pościel jego i koszula nocna roztaczały odór kwaśnego potu, lęku i nienawiści.

– Nie w moich on rękach – wybełkotał nareszcie. – Inkwizycja...

– Nie pierdolże mi tu o inkwizycji. Brat Emilio Bocanegra, waszmość i na tym koniec.

Alquézar bardzo powoli dłoń uniósł w pojednawczym geście, oka z wciśniętego w jego szyję sztyletu nie spuszczał.

– Może i by się udało... – wymamrotał. – Spróbujemy...

Bał się. Atoli widowym było, że za dnia, gdy ostrze oddali się już od jego gardzieli, zachowanie sekretarza królewskiego mogłoby zgoła inaczej wyglądać, i należało się spodziewać, że tak właśnie będzie. Alatryste wszelako nie miał dużego wyboru.

– Jeżeli cokolwiek przytrafi się młodzieńcowi – rzekł, przysuwając twarz na odległość mniejszą niżli piędź do oblicza Alquezara – wrócę tu tak

samo, jakem tu wszedł dzisiejszej nocy. Przyjdę zarznąć waszmości jak zwierzę, podczas waszmościnego snu.

– Powiadam jeszcze raz waszmości, że inkwizycja...



– Tedy zabiję waszmości teraz, jak Bóg na niebie.

Oliwa w lampce zaszurgotała i przez chwilę w oczach kapitana zatańczyły niemal piekielne skry.

– Podczas snu – powtórzył i poczuł drugą dłoń, wspartą na piersi Alquezara, że tamten cały się trzęsie. – Przysięgam.

Nikt ani trochę nie mógłby wątpić w słów tych prawdziwość, co potwierdzało zatrwożone spojrzenie tamtego. Aliści kapitan dostrzegł w

nich także ulgę, że tej nocy śmierć jeszcze nie nadejdzie. A w świecie tego nikczemnika noc była nocą, dzień zasię dniem. Za dnia przeto wszystko można będzie zacząć od początku, rozstawić szachy i zagrać od nowa. Raptem Diego Alatriste zmiarkował, że wszystko to na nic się zdało i że sekretarz królewski znów potęgę odzyska, ledwie ostrze lewaka od gardła jego się odsunie. I owa pewność, że cokolwiek uczyni, wyrok na mnie zapadł i wykonany zostanie, wprawiła kapitana w głęboką, zimną furję i rozpacz. Zawahał się, a bystry umysł Alquezara w mig owo wahanie dostrzegł, i trwoga w nim na powrót zagościła. Kapitan wszystko to w jednym okamgnieniu pojął, jakby poprzez głównię sztyletu wyczuł puls swego wroga i niecne myśli jego.

– Jeśli teraz mnie zabijesz – wyrzekł z wolna Alquézar – nic chłopaka nie ocali.

Ani chybi – zważył rzecz kapitan. Atoli nic by mnie nie ocaliło także, gdyby pozostawił sekretarza królewskiego przy życiu. Odsunął się nieco, medytując, zali jednak nie byłoby stosownym poderżnąć od razu gardło Alquezarowi, by choć jednej godzinie w tym gnieździe żmij żywot ukrócić. Wszelako ramię wstrzymywała mu niepewność co do losu mego. Obrócił się, by się wokół rozejrzeć, jakby miejsca szukał dla pędzących mu przez głowę myśli – i w tym momencie łokciem strącił dzban z wodą, na stoliku nocnym stojący, którego wcześniej z powodu ciemności nie był dostrzegł. Naczynie roztrzaskało się na podłodze z hukiem raptownym – a kiedy Alatriste, wciąż rozdarty, miał na nowo ostrze do szyi tamtego przysunąć, w drzwiach ukazało się jakieś światło. Natenczas podniósł wzrok i ujrzał tam Angélicę de Alquézar w nocnej koszulce, z ogarkiem w dłoni. Stała rozspana i spoglądała na nich z zaskoczeniem.

Od tej chwili wszystko potoczyło się błyskawicznie. Dziewczynka krzyknęła głosem ostrym i przerażającym, nie bojaźni pełnym, a

nienawiści. Był to krzyk długi, przeciągły, przypominający wrzask sokolicy, co swych piskląt broni, i popłynął poprzez noc, o ciarki kapitana przyprawiając. A gdy w pomieszczeniu chciał od łoża się odsunąć, nadal z lewakiem w dłoni i bez konceptu, co w takiej sytuacji czynić, Angélica niczym pocisk zdążyła przemierzyć sypialnię wuja i ogarek na ziemię cisnąwszy, rzuciła się nań na podobieństwo małej, mściwej jędry, loki wstążkami powiązane w powietrzu jej furkotały, biała, jedwabna koszula nocna powiewała niby całun – i zaiste, musiała w tym gniewie wyglądać przecudnie, choć akurat ta jedna rzecz kapitańskiej uwadze umknęła. Dopadła go bowiem, ułapiła jego lewą rękę i ugryzła ją niczym jasnowłosej, wściekły pies myśliwski. Wbiła mu zęby w skórę i nie puszczała wystraszonego kapitana, ten zaś uniósł ją w górę, próbując uwolnić się za pomocą mocnych uderzeń wolną dłonią. Ta jednak nie dała się odpędzić.

W tym samym momencie Diego Alatryste ujrzał, że wuj dziewczynki, raptem od sztyletu oswobodzony, nadspodziewanie zwinnie z łoża wyskakuje, gołe nogi ukazując, podbiega do szafy, krótki rapier z niej dobywa i woła: „mordercy!”, „pomocy!”, „do mnie!” oraz różne podobne okrzyki wznosi. Wkrótce też rejwach się w domostwie uczynił, zewsząd dźwięki kroków i uderzeń tudzież głosów zaspanych dobiegały. Słowem, rozpętało się istne piekło.

Kapitan zdołał nareszcie uderzyć dziewczynkę tak, że puściła go i na ziemię się potoczyła – w samą porę, by odbić sztych Luisa de Alquézar, który mógłby kres awanturniczemu życiu Diega Alatryste położyć, gdyby napastnik nie był jeszcze całym zajściem roztrzęsiony. Pan mój za swój rapier chwycił, czyniąc jednocześnie uniki przed ciosami, jakie tamten zadawał mu raz po raz, skacząc po całej izbie. Ochłonawszy, sam do natarcia oburącz ruszył. Usiłował przy tym do drzwi dotrzeć, na drodze atoli stanęła mu dziewczynka, na powrót do boju ruszając z wrzaskiem

krwawo w żyłach mrozącym. Rzuciła się ku niemu, nie zważając na ramię, który nieopatrznie trzymał ku niej wzniesiony, teraz zaś musiał unieść go szybko, by nie nawlec nań dziecka niby kurczaka na szpikulec. I oto w okamgnieniu na nowo wpijała mu się w ramię zębami i paznokciami, on tymczasem jął się po izbie miotać, znów nie mogąc się uwolnić od napastniczki, i uchylać się od ciosów, jakie Luis de Alquézar mu zadawał. Ten ani trochę na siostrzenicę baczenia nie dawał, całą uwagę na wściekłym atakowaniu kapitana skupiwszy. W ten sposób cała rzecz wieczność mogła jeszcze trwać, przeto Alatryste ponownie cisnął dziewczynkę daleko od siebie i wyprowadził w kierunku sekretarza królewskiego pchnięciem, które zmusiło tamtego do kilku kroków wstecz, skroś brzęczących miednic, urynałów i innych wszędy rozstawionych naczyń. Zdołał wreszcie kapitan dopaść do korytarza, aliści tu natknął się już na trzech, może czterech służących, co z bronią właśnie nadbiegli. Widoki rysowały się nieprzyjemne. Do tego stopnia nieprzyjemne, że dobył pistoletu i wypalił zeń, na co przeciwnicy nowi pierzchli aż ku schodom, płacząc po drodze własne nogi, ręce, rapiery, tarcze i pałki. I nim się na powrót zebrać zdążyli, cofnął się, rygiel od środka zasunął i jak huragan ku oknu przemknął przez izbę, po drodze omijając dwa następne ciosy Alquezara i znów otrząsając się z dziewczynki, która podniosła się, by kolejny, trzeci już raz zatopić zęby w jego ręce z wściekłością i siłą niezwykłą u dwunastoletniego dziecka. Ledwie do szyby dotarł, kopniakiem okiennicę otworzył, rozdarł ramię koszulę sekretarza królewskiego (który natychmiast w obronnej pozycji ku łożu pokuśtykał), nogę przez żelazną balustradę przesadził i jeszcze raz potrząsnął ramieniem, chcąc się od Angeliki wyswobodzić. Błękitne oczy i bielutkie, drobne ząbki – które, niech mi pan de Quevedo wybaczy, sam Luis de Góngora opisałby jako perełki wśród róż purpurowych – rozblęsnęły niesłychaną wściekłością, lecz Alatryste, snadnie incydentem

całym znużony, chwycił dziewczynkę za łoki, oderwał ją od swego zmaltretowanego ramienia i cisnął niczym najeżoną gniewem piłkę prosto w jej wuja, skutkiem czego obydwójce padli na łoże, ono zaś się załamało się pod nimi z trzaskiem.

Kapitan wysliznął się chyłkiem przez okno, przebiegł przez dziedziniec, wyszedł na ulicę i nie poniechał biegu, póki koszmar nie pozostał za nim daleko w tyle.

Przemierzał miasto pod osłoną ciemności, najmroczniejsze uliczki wybierając i kierując się ku przybytkowi Juana Vicuñi. Przeprowadził się przez Cava Alta do Cava Baja⁴³ przechodząc mimo oberży Posada de la Villa, minął zawarte na głucho okiennice apteki Cyklopa Fadrique i przekroczył plac Puerta Cerrada, o tak nieprzytulnej porze wyludniony na amen.

Wiele by dał, żeby myśli odegnąć, atoli nachodziły go nieustępliwie. Ani chybi popełnił był właśnie głupotę, która jeno pogorszyła sprawę. Gniew zimny gwałtownymi falami krwi pulsował mu w skroniach i rękach i kapitan łącno pokładałby lico swe pięściami, byle tylko rozpaczy i złości swej dać pofolgowanie. Atoli gdy ochłonał już nieco, przyznał w duchu, że to właśnie nagły poryw, by coś uczynić, a nie czekać z założonymi rękami, aż inni decyzję podejmą, wygnał go na ulicę jak rozjuszonego wilka z jamy, i tak gonił nie wiedzieć za czym. Nie leżało to w jego naturze. Życie, choćby i najkrótsze, prostsze jest, kiedy sam o się zadbać musisz w tym trudnym świecie, gdzie zewsząd dybią na ciebie, gdzie każdy na własne tylko siły liczyć może, niczego zaś od innych się nie spodziewając, bo tylko on za swą skórę i żywot odpowiada. Diego Alatryste y Tenorio, weteran regimentu flamandzkiego i galer neapolitańskich, długie lata z dala omijał wszelkie sytuacje, których nie dałoby się rozstrzygnąć rapierem. I owóż młodzik pewien, którego imienia jeszcze kilka lat temu nie znał

zgoła, właśnie wszystko to na nice wywrócił, uświadamiając kapitanowi, że najbardziej zahartowany i nieskazitelny pancerz ma przecie pęknięcia, którymi łącno do wątpiów dobrać się można.


A skoro o pęknięciach mowa, jął Alatriste lewe przedramię obmacywać, obolałe wciąż od ukąszeń Angeliki, i nie mógł powstrzymać uczucia podziwu. Niektóre tragedie przybierają pozór krotochwilnych intermediów – pomyślał. Owa jasnówłosa, drobna kocica, o której dotąd tylko pobieżne miał pojęcie – ja sam nigdy dotąd imienia jej nie był wspominał, kapitan nic przeto o naszych kontaktach nie wiedział – zapowiadała się na osóbkę wielkiej zawziętości i zimnej krwi. Można było przysiąc, że niedaleko padło jabłko od jabłoni.

Wspomniał raz jeszcze przerażone oczy Luisa de Alquézar, oddech jego na dłoni, którą usta mu kneblował, kwaśny odór potu i strachu – i ramionami wzruszył. Budził się w nim na nowo dawny niewzruszony wiarus. Pomyślał, że przecież nigdy nic nie wiadomo, nigdy nie zdołamy do końca przewidzieć następstw swych uczynków. Teraz przynajmniej, po zakończonej właśnie nocnej awanturze, także Luis de Alquézar wie już, że nie jest nietykalny. Sztylet może przekłuć jego gardło tak samo, jak każdego innego, i świadomość ta mogła obrócić się tak na złe, jak i na dobre, zależnie od tego, jak los karty rozda.

Tak to dumając, dotarł nareszcie do placyku Conde de Barajas, o krok od placu Mayor, lecz gdy za róg skręcił, dostrzegł światło i ciżbę. Czym prędzej w jakiejś sieni się schronił, snadź nie była to pora spacerom sposobna. Może to klientela Juana Vicuñi, po całonocnych hazardach wychodząca, może nocne marki, co okazji szukały, a może straż. Ktokolwiek się tam kręcił, należało wystrzegać się niespodzianych spotkań i pytań, kto zacz i po co.

W świetle latarni na ziemi stojącej spostrzegł, że ludzie owi obwieszczenie jakieś wieszają pod Bramą Płatnerzy, po czym odchodzą w głąb ulicy. Pięciu ich było, uzbrojonych po zęby, płacht mieli cały rulon i do tego kubeł z kłajstrem, i Alatryste poszedłby dalej prosto nosa, nie bacząc, co tamci robią, gdyby blask latarni nie dozwolił mu dostrzec, że jeden z idących trzyma w ręku czarną laskę „krewniaków” inkwizycji. Przeto ledwie tylko z oczu mu znikli, podszedł do kartonu, chcąc go przeczytać, atoli za mało miał światła. Ponieważ więc kłajster jeszcze nie zasechł, zerwał obwieszczenie z muru, we czworo je złożył i wszedł pod arkady. Idąc wzdłuż placu, dotarł wreszcie do tajnych drzwi szulerni Juana Vicuñi, tam zasię skrzesał ogień przy pomocy hubki z krzesiwem i po chwili świeca w korytarzu jarzyła się sporym płomieniem. Kapitan wszystko to czynił, starając się spokój zachować, jak ktoś, kto opóźnia chwilę, gdy pieczęcie na liście złamie, złe nowiny przynoszącym. I zaprawdę złe nowiny nań czekały. Obwieszczenie wydało Święte Oficjum:



 *to wiadomym się czyni wszystkim mieszkańcom i przejazdem będącym w Mieście naszym i we Dworze Jego Królewskiej Mości, że Oficjum Najświętszej Inkwizycji urządza publiczny Akt Wiary na placu Mayor w Grodzie Królewskim w najbliższą niedzielę, dnia czwartego...*

Pomimo niebezpiecznego sposobu zarabiania na życie kapitan Alatryste nie należał do takich, którzy by imienia Pana Boga wzywali nadaremno, teraz aliści zagrzemiał siarczystym, żołnierskim bluźnierstwem, od którego aż zachwiał się płomień świecy. Do czwartego dnia miesiąca brakowało ledwie pół tygodnia, on zaś nie był już w stanie zgoła nic zrobić, mógł jeno siedzieć z założonymi rękami i czekać, klnąc w żywe kamienie. Należało

przy tym liczyć się, że po nocnej wizycie, jaką był sekretarzowi królewskiemu złożył, na mieście pojawi się drugie obwieszczenie, tym razem przez burmistrza rozlepione, a domagające się jego własnej głowy. Zmiał papier, oparł się o ścianę i trwał tak bez ruchu dłuższą chwilę, w przestrzeń pustą zapatrzony. Już wszystkie naboje zostały wystrzelane – oprócz jednego. Jedyłą nadzieją był teraz mość Francisco de Quevedo.

Wybaczcie waszmościowie, że na powrót zajmę się teraz moją osobą, osadzoną w kazamatach tajnego więzienia w Toledo, gdzie nieomal utraciłem poczucie czasu, nie wiedząc, czy dzień jest, czy noc zapadła. Po kilku kolejnych przesłuchaniach i towarzyszących im batach z ręki rudego oprawcy (ponoć Judasz też był ryży, więc niech i mój prześladowca skończy tak, jak tamten zdrajca), w wyniku których nie zeznałem niczego, co by wzmianki było godne, ostawili mnie właściwie w spokoju. Oskarżycielskie słowa Elviry de la Cruz i amulet od Angeliki okazały się nad wyraz wystarczające, przeto ostatnie naprawdę trudne posiedzenie sprowadziło się do w nieskończoność powtarzanych zdań w rodzaju „a czy nie było tak”, „powiedz prawdę” i „przyznaj się, że”. Nieustannie pytali mnie o rzekomych współników, macerując mi przy tym grzbiet bykowcem za każdym razem, kiedy milczałem, czyli bez przerwy. Powiem tylko tyle, że zdzierżył i nijakiego imienia ze mnie nie wydusili. A tak mnie osłabili i wyczerpali, że omdlenia, którem zrazu udawał i które tak dobre rezultaty były przyniosły, teraz przytrafiały mi się w sposób zgoła naturalny, co oszczędzało mi co nieco owej drogi przez mękę. Jak tuszę, kaci moi nie posunęli się dalej z obawy, że tym samym pozbawiliby się widowiska i osobliwej roli, jaką przeznaczili dla mnie na placu Mayor. Nie byłem atoli zdolny wszystkiego rozważyć w detalach, bo umysł mój w ciężkich terminach się znajdował i sam siebie nie umiałem rozpoznać w owym

Íñigu, który cierpiał teraz chłostę albo budził się wylękniony w wilgotnej toledańskiej ciemnicy, nasłuchując skrobania szczura. Jedyne, czegom się naprawdę obawiał, to że będę gnić tu aż do chwili, gdy wybije mi czternasta wiosna, albowiem groziło to zawarciem bliższej znajomości z drewnianym kozłem i jego rzemieniami, który wciąż swoje miejsce w sali przesłuchań zajmował, jakby pewny, że prędzej czy później trafię w jego objęcia.

Tymczasem jałem tedy polować na szczura. Dosyć już miałem nocnych lęków, że podczas snu bydlę mnie ukąsi, przeto postanowiłem długie godziny poświęcić na studiowanie jego obyczajów. Pojąłem je ostatecznie lepiej niż swoje własne, poznałem jego obawy (a było to stare, doświadczone szczurzysko), zuchwalstwa i rytm, w jakim śród tych murów się poruszał. Potrafiłem odgadnąć myślą, ile razy przebiegał przez mą celę, nawet po ciemku. Owóż razu pewnego, udając że śpię, odczekałem, aż przejdzie zwyczajną drogą aż do zakątka, gdzie przewidując dzień w dzień okruszki chleba zostawiał, skutkiem czego zwierz nawykł do nowej oskomy. Ledwie tam się znalazł, chwyciłem dzban z wodą i grzmotnąłem nim w gryzonia tak udatnie, że wyzionął ducha, nawet „ovej” nie pisnąwszy, albo co tam szczury gadają, kiedy przyjdzie na nie kryska.

Owej nocy nareszcie mogłem zasnąć w spokoju. Atoli nazajutrz od rana zaczęło mi się do zwierzaka cknić. Jego nieobecność sprawiła, że ku innym sprawom myśli me pognały, jako to ku zdrajczynie Angélice i ku stosowi, na którym rychło mogłem ani chybi krótkiego żywota swojego dokonać. Wyznam tu bez fanfaronady ni samochwalstwa: niewiele troskał się o to, że niebawem mogą mnie osmalić. Tak udręczony byłem więzieniem i męczarnią, że każda zmiana wyzwoleniem się zdawała. Chwilami zajmowałem się obliczaniem, ile czasu zmitręzę, nim umrę w płomieniach – lubo gdybym we właściwy sposób odrzekł się herezji, jeszcze przed podpaleniem dREW otulano by mi kark garotą, dzięki czemu przedsięwzięcie

miałoby sprawniejszy przebieg. Pocieszałem się wszak, że żadne cierpienie nie może trwać wiecznie, niezależnie zaś od tego, jak długo się tu męczysz, tam przecie odpoczniesz. Na dodatek w owych czasach umieranie było zajęciem zgoła łatwym i często spotykanym. Przy tym nie doskwierały mi osobliwie ciężkie grzechy, które mogłyby przeszkodzić mej duszy, by we właściwym miejscu i czasie spotkała się z duszą dobrego wojaka Lopego Balboi. Skutkiem młodego wieku patrzyłem na życie jako na pasmo czynów bohaterskich – na me usprawiedliwienie dodajmy tu, że mogłem tak to widzieć, bom kapitana ni druhów jego nie zdradził – przeto i perspektywa ponura znośną się zdawała, skoro traktowałem ją jako próbę, z której, za pozwoleniem waszmościów, wyszedłem chyba zwycięsko. Nie wiem, zali w owym czasie istotnie byłem chłopcem walecznym, czy też nie, ale Bóg niech zaświadczy, że pierwszy krok ku waleczności to postępować tak, jakbyś z odwagą w sercu się urodził. Ja zaś, wystawcie sobie waszmościowie, owych kroków zrobiłem już co najmniej kilka.

Aliści odczuwałem dojmujący smutek. Rozpacz głęboką, iż płakać się w duchu chciało łzami niepodobnymi do tych, które z bólu czy słabości fizycznej ronić mi się zdarzało. Była to raczej zimna, smutna udręka, której towarzyszyły wspomnienia macierzy mej i siostrzyczek, spojrzenia kapitana, gdy w milczeniu aprobował jakiś mój postępek, łagodnych, zielonych zboczy mego rodzinnego Oñate, zabaw z chłopcami z okolicznych gospodarstw. Czułem, że na zawsze żegnam się z tym wszystkim, czułem, że bezpowrotnie tracę wszystkie piękne rzeczy, jakie jeszcze w życiu mnie oczekiwały. A osobliwie czułem, że już nigdy więcej nie spojrzę w oczy Angélikę de Alquézar.

Zaklinam się waszmościom, że nie nijakiej urazy do niej nie czułem. Przeciwnie, pewnośc, że jej właśnie zawdzięczam swój podły los, miała cierpko-słodki posmak, który wspomnienie o niej jeszcze czarowniejszym

czynił. Była osobką niegodziwą – i jak mi Bóg miły, jej niegodziwość rosła wraz z nią – ale przecudną. Właśnie owa cicha zmowa podłego z urodziwym sprawiała, że trwał w zachwycie, że cierpiał z rozkoszą i upajał się swym pohańbieniem. Musiała to być jako żywo sprawka szatańska. Po latach wszakże poznałem opowieści o ludziach, którym sprytny czart duszę do cna przekabacił – i w każdej z nich rozpoznałem łącznie swój własny upadek. Angélica de Alquézar zmaćła mą duszę i zawładnęła nią na całe swe życie. Ja zaś, który po tysiącokroć miałem ochotę śmierć jej zadać i tyleż samo razy śmierć byłem dla niej gotów ponieść, nigdy już nie zapomnę jej zwodniczego uśmiechu, jej chłodnych modrych oczu, jej śnieżnobiałej skóry, atłasowej i gładkiej, której dotyk wciąż jeszcze pamięta moje ciało, samo pokryte licznymi bliznami, w tym kilkoma od niej właśnie otrzymanymi, do kroćset. Ot, choćby ta na plecach, długa, sztyletem zadana, równie trwała jak wspomnienie owej nocy, dużo późniejszej niż czasy, o jakich teraz tu prawię, kiedy to już dawno nie byliśmy dziećmi, a ja obejmowałem ją, kochałem i zarazem nienawidziłem, nie kłopotując się, czy świt zastanie mnie żywym czy martwym. Ona zaś patrzyła na mnie z tak bliska, wargami czerwonymi od krwi całowała tę ranę i szeptała słowa, których nie zapomnę ani w tym życiu, ani w przyszłym: „Raduję się, że cię jeszcze nie zabiła”.

Czy to bojaźń sprawiła, ostrożność czy też spryt – a może wszystkie trzy jednocześnie – w każdym razie Luis de Alquézar okazał się lisem nader przebiegłym, a przecie i karty miał w zanadrzu, które pozwalały mu grać wedle woli. Tedy powstrzymał się przed pochopnym krokiem i imię Diega Alatryste nigdzie nie zostało podane do publicznej wiadomości. Ten ostatni przeto cały dzionek, jak i wiele poprzednich, spędził bezpieczny w ukryciu u Juana Vicuñi. Przy tym w owym czasie kapitan raczej nocą budził się do

życia, dlatego skorzystał skwapliwie, gdy kolejna osłonę mu dawała, i postanowił odwiedzić starego druha.

Rotmistrz Martín Saldaña napotkał go na progu swego domostwa przy ulicy León. Było to nad ranem, gdy właśnie powracał z ostatniego nocnego obchodu. Albo może, abyśmy ściślej faktów się trzymali, napotkał błysk lufy pistoletu, wymierzonego weń z mrocznej sieni. Saldaña był wszelako człkiem zimnej krwi, na swej drodze życia niejedną raz widział, jak mierzą doń z pistoletu, arkebuzą i lichem wie czego jeszcze, i ani go to nie parzyło, ani nie ziębiło. Wziął się tedy pod boki i popatrzył długo na Diega Alatryste, który stał w płaszczu i kapeluszu, z pistoletem w prawicy, lewą zaś dłoń oparłszy czujnie na rękojeści lewaka, co mu zza biodra wystawał.

– Jak mi król miły, Diego, lubisz z ogniem igrać.

Alatryste nic na to nie odrzekł. Wyszedł jeno nieco z cienia, by w skąpym świetle spojrzeć w twarz rotmistrzowi straży – ledwie jeden kaganek płonął na rogu z ulicą Huertas – po czym uniósł lufę pistoletu, jakby chciał się nim pochwalić tamtemu.

– Będzie mi potrzebny?

Saldaña przez chwilę patrzył nań bez słowa.

– Nie – odparł wreszcie. – Na razie nie.

Nastrój poprawił się z lekka. Kapitan wsunął pistolet za pas i zdjął lewą dłoń z lewaka.

– Przejdźmy się – zaproponował.

– Jednej rzeczy pojąć nie mogę – powiedział Alatryste – dlaczego nie szukają mnie otwarcie?

Schodzili placikiem Antona Martina ku pustej o tej porze ulicy Atocha. Sierp księżyca dawał jeszcze słabą poświatę z nieba nad kapitelem szpitala Miłości Bożej, lśniąc w strumyczkach wody wypływającej z fontanny i

spływającej w dół ulicą. Wokół czuć było woń gnijącej zieleniny i cierpki odór mulich i końskich odchodów.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć – odrzekł Saldaña. – Ale prawda to, jako żywo. Nikt o tobie sędziów nie powiadomił.

Ominął kałużę błota, postawił stopę tam, gdzie nie powinien, i zmełł przekleństwo w głębi szpakowatej brody. Krótka kurta uwydatniała jego masywną, barczystą sylwetkę.

– Pomimo to – ciągnął – miej na siebie baczenie. Zgoda, moi pachołkowie nie węszą za twym śladem, ale nie znaczy to, że wszystkim zdrowie twoje zubożniało... O ile mi wiadomo, „krewniacy” inkwizycji mają rozkaz dopaść cię nader dyskretnie.

– A mówiono ci, za co?

Saldaña zerknął na kapitana z ukosa.

– Ani mi nie mówiono, anim się sam dopytywał. Ale przy okazji: znamy już imię zmarłej niewiasty, którą niedawno znaleziono w lektyce... To była niejaka María Montuenga, do owego dnia służyła przy pewnej nowicjuszcze w konwencie Benedyktynek Sakramentek... Mówi ci to coś?

– Zgoła nic.

– Tak też sobie myślałem – rotmistrz zaśmiał się z cicha pod nosem. – I właściwie niech tak pozostanie, bo sprawa jest nad wyraz mętna. Mówią, że stara stręczycielstwem się trudniła i że teraz inkwizycja się w to wdała... To również nic ci nie mówi, jak tuszę.

– Nic a nic.

– Jasne. Powiadają też o jakichś zabitych, których ciał nie widziano, i o awanturze wedle jakiegoś klasztoru, której żaden sąsiad sobie nie przypomina... – znów zerknął z ukosa na Alatríste. – Są tacy, co wiążą tę historię z aktem wiary na niedzielę szykowanym.

– A ty?

– Ja niczego nie wiążę. Ja otrzymuję rozkazy i je wypełniam. A kiedy nikt niczego nie mówi, czego bardzo bym sobie w obecnej sytuacji życzył, jeno patrzę, słucham i milczę. Co snadź w moim zawodzie jest postawą ze wszech miar słuszną... Tobie natomiast, Diego, radzę: trzymaj się z dala od całej tej historii... Dlaczego nie dałeś drapaka ze stolicy?

– Nie mogę. Íñigo...

Saldaña przerwał mu bezpardonowym przekleństwem.

– Nie kończ. Jużem ci mówił, że nie chcę nic wiedzieć o twoim Íñigu i o innych ciemnych sprawkach... Co do niedzieli, jedno mogę ci doradzić: nie pokazuj się tam. Mam rozkaz oddać wszystkich moich strażników w pełnym uzbrojeniu do dyspozycji Świętego Oficjum. Cokolwiek się stanie, ani ty, ani nawet Najświętsza Panienska niczego nie wskóracie.

Jak błyskawica przemknął przed nimi czarny cień kota. Znajdowali się w pobliżu wieży szpitala Niepokalanego Poczęcia, skądś dobiegło niewieście wołanie „leje się!”. Odsunęli się przeto skwapliwie i po chwili dobiegł ich plusk opróżnianego na ulicę urynału.

– Jeszcze jedno – rzekł Saldaña. – Kręci się tu pewien człowiek. Zabijaka, przed którym na baczości mieć się winieneś... Widomie w tym całym interesie macza palce nie tylko pewien urząd, ale ktoś jeszcze, kto chce cię urządzić.

– W jakim interesie...? – Alatryste wykrzywił kpiąco wąsy. – Dopiero com usłyszał, że o niczym nie wiesz.

– A niech cię diabli porwą, kapitanie.

– Już ktoś ani chybi dał diabłom znać, jak mnie dopaść.

– To, psiakrew, nie daj się – Saldaña poprawił sobie kurtkę na ramionach. Pistolety i całe żelazo, jakie miał na sobie, zadźwięczało groźnie. – Ten, o którym mówię, wszędy o ciebie rozpytuje. Wynajął też z

pół tuzina zbójów, żeby ci łącniej to i owo poszatkować, nim się zdążysz przywitać. Człek ten zowie się...

– Malatesta. Gualterio Malatesta.

Znów rozległ się przyciszony śmiech rotmistrza.

– Tenże sam – potwierdził. – Włoch, jak się zdaje.

– Z Sycylii. Kiedyś mieliśmy wspólnie robotę do zrobienia. Ściślej, wykonaliśmy ją do połowy... A potem wpadliśmy na siebie parokrotnie.

– I jak mi Bóg miły, nie pozostawiłeś po sobie dobrych wspomnień. Chyba ma na ciebie chrapkę.

– Co jeszcze o nim wiesz?

– Mało. Ma potężnych mocodawców i jest sprawnym zabójcą. Jak mi wiadomo, bywał w Genui i Neapolu, gdzie wynajmował się często i skutecznie do wysyłania ludzi na tamten świat. Podobno nawet z takiego zajęcia wielce jest kontent. Jakiś czas mieszkał w Sewilli, w Madrycie przebywa mniej więcej od roku... Jeżeli chcesz, rozpytam o więcej szczegółów.

Alatriste nic nie odparł. Dotarli na skraj Błoni przy Atocha, przed ich oczami rozpościerała się mroczna przestrzeń ogrodów i łąk oraz początek traktu na Vallecas. Przez chwilę stali w milczeniu, wsłuchując się w szemranie cykad. Pierwszy na nowo usta otworzył Saldaña.

– W niedzielę miej się na baczności – rzekł cicho, jak gdyby wokół od niepożądanych uszu się roiło. – Wolę nie musieć zakuwać cię w kajdany. Albo zabić.

Kapitan wciąż milczał. Stał dalej nieruchomo w płaszcz owinięty, z twarzą pogrążoną w mroku, jeszcze pogłębianym przez szerokie rondo kapelusza. Saldaña westchnął chrapliwie, zrobił kilka kroków, jakby zamierował się oddalić, westchnął raz jeszcze i zatrzymał się z gniewnym „na Boga” pod nosem.

– Słuchaj, Diego – patrzył, podobnie jak Alatryste, w ciemną pustkę. – Ani ty, ani ja nie mamy przesadnie wielkich złudzeń co do świata, w którym żyć nam przyszło... Jestem zmęczony. Mam piękną żonę i pracę, którą lubię i która daje sowity zarobek. Dlatego też, gdy mam na sobie szarżę rotmistrzowską, to ni brat, ni swat... Potrafię być kawałem skurwysyna, zgadza się, ale moje skurwysyństwo obciąża jeno mnie. Chciałbym, żebyś...

– Za dużo gadasz, Martín.

Kapitan wyrzekł te słowa łagodnie, w zamyśleniu. Zdjął na to Saldaña swój pilśniowy kapelusz i przesunął krótką, szeroką dłońią po czaszce, z rzadka włosami pokrytej.

– Słusznie prawisz. Za dużo gadam. Może dlatego, że się starzeję – westchnął trzeci raz, nadal w ciemność wpatrzony i zasłuchany w cykady. – Starzejemy się, kapitanie. I ty, i ja.

Z oddali dobiegło ich bicie zegara. Alatryste wciąż stał nieporuszony.

– Mało nas jest – ozwał się.

– Coraz mniej, do kroćset – rotmistrz włożył z powrotem kapelusz na głowę, zawahał się przez moment, po czym podszedł do kapitana. – Mało takich, z którymi warto wspólnie wspominać i wspólnie milczeć. Na domiar złego coraz mniej też przypominamy tych, którymiśmy byli.

Jął pogwizdywać z cicha dawną śpiewkę wojskową. Mowa w niej była o starych regimentach, atakach, łupach i wiktoriach. Niegdyś śpiewali ją razem, jeszcze z rodzicem mym i innymi towarzyszami, osiemnaście lat temu, podczas oblężenia Ostendy i w trakcie marszu doliną Renu ku Fryzji, gdy dowodził nimi mość Ambrosio Spínola i zdobywali Oldenzaal i Linghen.

– Ale może ten wiek – dodał, gdy dobiegł do końca melodii – już nie zasługuje na takich jak my... To znaczy na takich, jakimi byliśmy.

Przeniósł wzrok na Diega Alatryste. Ten skinął głową niespiesznie.
Wąziutki sierp księżycy rzucał u jego stóp niewyraźny, rozmyty cień.

– Może – mruknął – my na nich też nie zasługujemy.





IX. AUTO DA FÉ.

Hiszpania za Filipa Czwartego, podobnie jak za jego poprzedników, kochała palić na stosach heretyków i judaizantów. Akty wiary potężne cizby przyciągały, od magnaterii po najprostszymi gmin, a gdy odbywały się w Madrycie, z honorowej łoży przypatrywała im się para królewska. Nawet Najjaśniejsza Pani, królowa Elżbieta, która zrazu nosem kręciła na takie rozrywki, iż młoda była i z zabojadzkiego plemienia, z czasem wszakże nabrała do nich upodobania, na tym dworze zwyczajnego. Przyjęcia jednego tylko z tutejszych obyczajów córka Henryka Wielkiego z Bearn odmówiła, a mianowicie mieszkania w Escorialu – na którym kładł się wciąż cień Króla Przewornego⁴⁴ – uważała to miejsce bowiem za nazbyt zimne, ogromne i odpychające. A przecie i tak naszej Francuzeczce cierpieć przyszło za grobem, albowiem lubo za życia stopa jej tam nie stanęła, po śmierci została tam pochowana. Przebóg, nie najgorsze to miejsce, tuż wedle grobowców cesarza Karola i syna jego, wielkiego Filipa, dziadów naszego czwartego Habsburga. A to dzięki nim właśnie, a wbrew woli Turczyń, Francuza, Holendra, Anglika, takich owakich synów, Hiszpania przez półtora stulecia dzierżyła Europę i świat cały za zbuki – a czy to na dobre, czy na złe się obróciło, to już inna opowieść.

Wróćmy wszelako do święta ognia, gdzie skutkiem złego dopustu miałem miejsce zarezerwowane. Rzecz przygotowywana była już parę dni naprzód, cieśle i ich czeladź mnóstwo zatrudnienia mieli na placu Mayor, wznosili bowiem wysoki podest, na pięćdziesiąt stóp długi, wokół niego zasię amfiteatr z ławkami, drapowali domy kobiercami, gobelinami i adamaszkami, a ludzie dziwowali się, że nawet podczas ślubu pary królewskiej takiej pomysłowości i rozmachu nie widziano. Odgrodzono wszystkie ulice do placu dochodzące, ażeby wozy i konie przejścia nie tarasowały, natomiast dla króla i królowej przewidziano baldachim od strony Arkady Kupieckiej, tam bowiem najszczodrzej cień padał. Jako że *auto* zwykle ciągnęło się w czasie, cały dzień nierzadko, przygotowywano też stoiska z napojami i strawą, wszystkie pod dającymi wytchnienie namiotami. Postanowiono też dla wygody osób dostojnych, że będą one mogły wniknąć na trybunę od strony pałacu hrabiego Barajas po kładce, zamocowanej ponad tunelem Świętego Michała i łączącej łoże z kamienicami, jakie hrabia posiadał wokół placu. A tak wielkie były oczekiwania w związku z nadchodzącym wydarzeniem, że o karty wstępu do okien zawzięte toczono boje, niejeden musiał hojnie grosiwem rzucić burmistrzowi stołecznego grodu, by godziwe miejsce sobie zagwarantować – nie wyłączając legatów, grandów, dygnitarzy dworskich, przewodniczących rad, a nawet samego nuncjusza Jego Świątobliwości, ten bowiem nie zamierował przegapić żadnej korridy, turnieju na laski ani ludzkich fajerwerków, choćby go z Rzymu kuszono białym dymem.

Podczas takiego przedstawienia, jako że w pamięć zapaść miało, Święte Oficjum chciało upolować wiele ptaszków za jednym strzałem. Zdecydowani zniweczyć prowadzoną przez hrabiego de Olivares politykę zbliżenia z żydowskimi bankierami z Portugalii, co bardziej zapalczywi członkowie Rady Najwyższej Świętego Oficjum umyślili urządzać

szczególnie wystawne *auto da fé*, by bojaźń wzruszyć u wszystkich, którzy z czystością krwi na bakier stali. Wiadomość była tedy czytelna: lubo faworyt góry pieniędzy by dawał Portugalczykom hebrajskiego pochodzenia, i tak nigdy w Hiszpanii bezpiecznie czuć się nie będą. Inkwizycja, nieodmiennie odwołująca się w ostatecznej rachubie do religijnego sumienia naszego Najjaśniejszego Pana – a za młodu był on równie niezdecydowanym i chwiejnym monarchą, co na starość, ot, pocziwina charakteru wyzbyty – o ruinę królestwa nie dbała, byleby wiara uszczerbku nijakiego nie doznała. Takie poczynania z czasem zdecydowanie i z katastrofalnym skutkiem pokrzyżowały plany Olivaresa, dla którego i z nagłą przyśpieszona sprawa benedyktynek sakramentek, i inne podobne procesy stały się gorzką publiczną nauką. Tak to w kilka tygodni przeprowadzono coś, co w innym razie wymagałoby drobiazgowego śledztwa, trwającego może miesiące, jak nie lata.

Pośpiech sprawił, że i całą protokolarną procedurę uproszczono. Wyroki, zazwyczaj odczytywane skazańcom poprzedzającego wieczoru, zaraz po uroczystej procesji dostojników, którzy nieśli zielony krzyż na ołtarz oraz biały⁴⁵ wedle samego stosu ustawiany – tym razem przeniesiono na dzień kaźni, gwoli ogłoszenia go wszem i wobec, przy całej zgromadzonej gawiedzi. W wigilię wydarzenia przywieziono z turmy toledańskiej wszystkich nieszczęśników przewidzianych do aktu wiary, a było ich – nas – około dwadzieścioro, następnie umieszczono nas w lochach inkwizycji przy ulicy Premostenses, okrytej ponurą sławą jako ulica inkwizycji, o krok zaledwie od placu Santo Domingo.

Dotarłem tu przeto w sobotni wieczór, z nikim słowa nie zamieniwszy od chwili, gdy z celi mnie wyprowadzono i wrzucono do powozu, którym jechałem przy zasłoniętych oknach i pod silną strażą, a gdym zeń dopiero w Madrycie wysiadał, powitał mnie szpaler uzbrojonych „krewniaków”

inkwizycji z zapalonymi pochodniami. Zaprowadzili mnie do nowego lochu, gdzie zgoła godziwie wieszczałem, syty więc, do dyspozycji mając derkę i siennik, przeleżałem niespokojną noc, pełną tupotów, brzęku kluczy tuż za drzwiami, to bliższych, to znów dalszych nawoływań, krzątania i ogólnego niepokoju. Skutkiem tego jałem strach odczuwać, że nadchodzący dzień przyniesie mi niegorsze opał. Wysilałem mózgowie, usiłując przypomnieć sobie różne kłopotliwe sytuacje, w komediach na podwórku oglądane, w nadziei, że tak jak ich bohaterowie, ja też znajdę jakieś zbawienne wyjście. Miałem już podówczas pewność, że jakkolwiek winą mnie obarczą, w płomienie trafić nie mogę, a to z uwagi na mój młody wiek. Nie można wszak było wykluczyć ciężkich plag i więzienia, nawet dożywotniego, tedy w głowę zachodziłem, co byłoby rozwiązaniem lepszym. Atoli – chwalić należy tu dobroczynną naturę – żwawa krew młodzieńcza, przebyte biedy i znużenie podróżą sprawiły nieuchronnie, że po dłuższym czuwaniu, spędzonym na próżnej zadumie nad swym losem, padł w ramiona miłosiernego i krzepiącego snu, który ukojenie przyniósł mojej skołatanej głowie.

Dwa tysiące ludzi czuwało przez noc, by zająć z rana dogodne miejsce, i o siódmej na placu Mayor nie wcisnąłbyś już szpilki. Wtopiwszy się w ciżbę, Diego Alatryste przeciskał się między ludźmi, w kapeluszu nisko na oczy nasuniętym i okutany szczelnie kurtą, kierując się ku Bramie Rzeźniczej. Arkady przepełnione były gawiedzią wszelkiego stanu i autoramentu. Szlachta, duchowni, rzemieślnicy, służące, kupcy, lokaje, żacy, łotrzykowie, żebracy i inna hałastrą – wszyscy przepychali się, by jak najlepsze miejsce zdobyć. W oknach wokół placu roiło się od osób dystygowanych, można było podziwiać ich złote i posrebrzane łańcuchy, zagraniczne sukna, kosztowne koronki, habity i runa. A poniżej całe rodziny, z dziećmi, a jakże, stały w pogotowiu z kosztami wiktuałów i

napojami przeznaczonymi na chwilę łaknienia i pragnienia, sprzedawcy zaś miodów, wody i łakoci już zaczęli ubijać interesy. Jakiś handlarz obrazkami religijnymi i różańcami głośno towary swe zachwalał, wołając, że w taki dzień gwarantują one błogosławieństwo samego papieża i całkowite odpuszczenie. Nieco dalej rzekomy kaleka z Flandrii, co to przez życie całe lancy nawet z daleka nie oglądał, zebrał żałośliwie, kłócąc się przy tym zawzięcie o miejsce z fałszywym paralitykiem i jeszcze jednym osobnikiem, który posmarowawszy wygolony łeb smołą, bezczelnie udawał, że to strupy. Galanci szermowali słówkami, ulicznice nagabywały klientów. Dwie niewiasty, jedna urodziwa i bez okrycia, druga zasię o nerwowym i przez to szpetnym licu – z tych, co to przysięgają nigdy pod jemiółą nie zasiąść, dopóki nie rozkochają w sobie granda Hiszpanii albo Genuieńczyka – przekonywały jakiegoś rzemieślnika, skorego do wywijania rapierem gwoli zawojowania serca dam, żeby wydusił co nieco grosza na garść owoców i migdałów w cukrze. A ów biedaczyna, na przyrzeczoną schadzkę licząc, wydusił wszystko, co miał przy sobie, czyli cztery poczwórne dublony, kontent, że więcej z domu nie był zabrał. Nie wiedział nieszczęsny, że prawdziwy pan nigdy nie daje ani nie udaje, że da – wprzód zapowiada, że nie da, a po wszystkim takóż.

Dzień był przejrzysty, idealny do uroczystości, kapitan musiał tedy mrużyć swe jasne oczy, oślepiony błękitnym blaskiem plac zalewającym. Przesuwał się ku przodowi, pomagając sobie łokciami. Pachniało potem, ścisaniem i świątecznym nastrojem. On aliści odczuwał rosnący, nieutulony żal, bezsilność wobec nieuchronnego przeznaczenia. Bezlitosna maszyna, raz uruchomiona, napawała jeno rezygnacją i strachem. Niczego zgoła uczynić nie mógł, sam też nie czuł się tam bezpiecznie. Szedł z nosem schowanym w ramię i cofał się, ilekroć kto baczenie nań dawał dłużej, niżli by należało. Tak naprawdę szedł, bo wolał się czym

zająć, miast tkwić jak kołek oparty o kolumnę arkady. I zapytywał w duchu, gdzie, do czarta, podziawa się teraz mość Francisco de Quevedo, którego wyprawa, jakikolwiek rezultat by przyniosła, była teraz jedynym promykiem nadziei, że uda się oszukać nieubłagany los. Promyk ten jednak pobladł bardzo, gdy rozbrzmiały trąby strażników. Na ich dźwięk kapitan uniósł wzrok i spojrzął na okno w fasadzie Kupieckiej, zasłonięte karmazynową kotarą. Najjaśniejszy Pan, jego małżonka i dwór cały zajmowali właśnie miejsca przy owacjach zgromadzonego tłumu. Filip Czwarty, odziany w czarny aksamit, siedział z powagą, nie drgnąwszy stopą, dłonią ni głową, i jeno włosy błyszcząły mu na równi ze złotymi wstążeczkami i łańcuchem, co pierś mu przepasywał. Królowa, w żółtych satynach, miała na sobie czaple pióra i sute klejnoty. Poniżej stanęły w równych szeregach straż halabardników, hiszpańska po jednej stronie, niemiecka po drugiej, a łucznicy w środku, wszyscy zasię spokojem swym ogromny szacunek wzbudzali. Imponujący musiał to być spektakl dla każdego, komu nie groziło, że płonącego stosu zakosztuje. Zielony krzyż stał umocowany na podeście, na fasadach widniały rozwieszane na przemian insygnia Jego Wysokości i inkwizycji, te ostatnie wyobrażające zielony krzyż otoczony rapierem i gałązką oliwną. Wszystko zgodnie z regułą. Widowisko mogło się rozpoczynać.

Wyprowadzono nas o wpół do siódmej w asyście strażników miejskich i „krewniaków” Świętego Oficjum, zbrojnych w rapiery, piki i arkebuzy, po czym ruszyliśmy procesją przez placik Santo Domingo, w dół pod Świętego Ginesa, tam minęliśmy ulicę Mayor i wkroczyliśmy na plac przez Bramę Szewską. Szliśmy rzędem, każde pod osobną eskortą uzbrojonego strażnika i „krewniaka” w ponurym stroju i ze złowieszczą czarną laską. Po drodze od duchownych się roiło w komże odzianych, co posępne śpiewy

zawodzili przy akompaniamencie bębnow, widziałem także krzyże w kirspowite i gęstą ciżbę gapiów. Porządek naszego pochodu taki był: wprzód szli bluźniercy, dalej o bigamię oskarżani, za nimi sodomici, judaizanci i adepci sekty Mahometa, na koniec zasię winni czarostwa. W każdej grupie znajdowały się również figury z wosku, kartonu i szmat, przedstawiające tych, co byli zmarli w celi albo uciekli, teraz zaś na stos trafić miały ich trupy bądź też podobizny. Ja szedłem mniej więcej w połowie procesji, wśród młodszych judaizantów, tak oszołomiony, jakbym śnił i przy większym wysiłku mógł się ze snu tego w dogodnej chwili obudzić. Wszyscy mieliśmy na sobie sambenita: coś w rodzaju długich koszul, nałożonych nam przez strażników zaraz po opuszczeniu lochu. Na moim widniał czerwony krzyż, inne atoli pomalowane były w ognie piekielne. Byli wśród nas mężczyźni i niewiasty, i nawet jedna dziewczynka niemal moich lat. Jedni płakali, inni spokój zachowywali, jak na przykład pewien ksiądz, który w trakcie mszy był zaprzeczył, jakoby Bóg był obecny w sakramencie, i odmawiał odrzeczenia się takiego bluźnierstwa. Jedna starucha, którą sąsiedzi o czary obwinili, tak podeszła wiekiem, że nie potrafiła sama się na nogach utrzymać, oraz człek jakiś o nogach skutkiem tortur doszczętnie paraliżem dotkniętych, dosiedli na oklep muła. Najciężej oskarżeni nieśli na głowach czepce pokutne, a wszyscy mieliśmy w dłoniach gromnice. Elvirę de la Cruz, w sambenito i czepiec odzianą, dostrzegłem, kiedy jeszcze ustawiali nas w procesję – szła w grupie wieńczącej pochód. Kiedy ruszyliśmy, z oczu już ją straciłem. Kroczyłem z licem pochylonym, lękając się, że zobaczę w tłumie kogoś, kogo znam. Łacno zmiarkujecie waszmościowie, że szedłem i umierałem ze sromoty.

Gdy procesja na plac dotarła, kapitan usiłował wyłowić mnie wzrokiem w długim rzędzie skazańców. Zdołał to wszelako uczynić dopiero, kiedy

wprowadzono nas na podest i usadzono na specjalnych ławach, każdego pomiędzy dwoma „krewniakami” Świętego Oficjum, a i tak sporo trudu go to kosztowało, jako że się starałem głowę trzymać spuszczoną, poza tym nasze podwyższenie dobrze dało się widzieć ludziom w oknach, ale gorzej gminowi zgromadzonemu pod arkadami. Wyroków publicznie jeszcze nie zakomunikowano, dlatego Alatryste ogromną ulgę odczułem, widząc mnie w grupie młodszych judaizantów, bez czepca na łbie, co z pewnością wykluczało karę płomieni. Śród żałobnie wystrojonych pachołków inkwizycji przewijały się czarno–białe habity dominikanów, oni bowiem całą rzecz urządzali, przedstawiciele zaś innych zakonów – krom franciszkanów, którzy odmówili udziału, bo ich za augustianami usadzono, co za zniewagę uznawali – już miejsca honorowe zdążyli zająć wespół z burmistrzem Grodu Stołecznego oraz członkami Rad Kastylii, Aragonii, Italii⁴⁶, Portugalii, Flandrii i Rady do Spraw Indii. Tuż wedle Generalnego Inkwizytora, w miejscu przeznaczonym dla trybunału Sześciu Sędziów, zasiadał wychudły i nikczemny brat Emilio Bocanegra. Widomie smakował dzień swego triumfu, podobnie snadź jak Luis de Alquézar, oczekujący ceremonii w loży dla najwyższych urzędników pałacowych, wzniesionej tuż pod oknem, w którym akurat w owej chwili nasz król miłościwy przysięgał, iż będzie Kościoła katolickiego tudzież ścigać heretyków i apostatów, przeciwiających się jedynej prawdziwej wierze. Hrabia Olivares zajmował okno nieco mniej na widok wystawione, po prawej stronie Najjaśniejszych Państwa, a oblicze miał marsem spowite. Wtajemniczeni w sprawy Dworu łatwo domyślali się tedy, że cały ten spektakl jemu właśnie jest poświęcony.

Jęto odczytywać wyroki. Pokutnicy jeden po drugim wyprowadzani byli przed trybunał, gdzie wprzódy drobiazgowo wyliczano wszelkie ich grzechy i zbrodnie, następnie zaś powiadamiano o czekającym ich losie.

Osoby przeznaczone do chłosty bądź na galery wychodziły z postronkami na szyjach, a skazane na stos – z rękami skrępowanymi. Tych ostatnich zwano zwolnionymi, a to dlatego, że inkwizycja z natury swej była instytucją kościelną, przeto nie mogła przelać choćby kropli krwi, chcąc zatem formom wierności dochować, zwalniała ich, czyli przekazywała w ręce sprawiedliwości świeckiej, by ta przyjęła na siebie krwawą rolę egzekutora. A i tak śmierć zadawano poprzez płomienie, by do końca zapobiec przelewowi krwi. Waszmościom pozostawiam ocenę tej, pies ją trącał, subtelności.

Ale, ale. Zaczęło się, jak już nadmieniałem, odczytywanie, sentencje, odrzeczenia lekkie i ciężkie⁴⁷, krzyki skazanych na surowsze kary, westchnienia rezygnacji u innych, wreszcie pomruki zadowolenia, z jakimi gawieź przyjmowała wyroki najbardziej bezwzględne. Ksiądz, co zaprzeczał był obecności Chrystusa w sakramencie, skazany został na stos przy głośnym ukontentowaniu publiczności. Okaleczywszy mu pierwszej rękę, język i tonsurę, by tym samym odjąć mu święcenia, powiedli go na stos, narządzony na skwerku tuż za Bramą Alcalá. Starej oskarżonej o wyprowadzanie skarbów i czary wyznaczono karę stu batów, a na dokładkę dożywotnie zamknięcie – jakże daleko sięgali jej sędziowie⁴⁸. Bigamista pewien zarobił dwieście batogów i dziesięć lat banicji, z tego pierwszych sześć na galerach przy wiośle. Dwóch bluźnierców – wygnanie i trzy lata osadzenia w Oranie. Jeden szewc i jego małżonka, dwoje skruszonych judaizantów, dostali dożywotnią turmę i obowiązek odrzeczenia ciężkiego. Dwunastoletnie dziewczę, także skruszona judaizantka, miała wdziać habit i spędzić dwa lata w więzieniu, po czym udać się do domu poczciwej chrześcijańskiej rodziny, by tam nauki stosowne pobierać w zakresie wiary. Jej starsza szesnastoletnia siostra zasię, również judaizująca, trafiła na całe życie do celi bez możliwości złagodzenia kary. Obydwie zostały wydane na

torturach przez własnego ojca, portugalskiego garbarza, skazanego na odrzeczenie ciężkie i stos, tegoż samego, którego na mule przywieźli, bo stopy miał już niewładne. Matka ich z kolei, która przebywała w miejscu nieznanym, miała zostać spalona zaocznie pod postacią kukły.

Krom księdza i garbarza zwolniono na stos jeszcze pewnego kupca z żoną, judaizujących Portugalczyków, czeladnika z zakładu złotniczego – obwinionego o grzech haniebny⁴⁹ i Elvirę de la Cruz. Wszyscy poza księdzem odrzekli się należycie i okazali skruchę, dzięki czemu mieli być przed podpaleniem dREW litościwie uduszeni garotą. Córka mości Vicentego de la Cruz – którego paradna kukła, do spółki z kukłami jego synów, zmarłego i tego, co przepadł, stały na podeście zatknięte na tyczkach – odziana była w sambenito i czepiec pokutny, i taką ujrzeli ją sędziowie odczytujący jej wyrok, gdy powleczono ją przed trybunał. Odrzekła się wedle uprzedniego przykazania z przeraźliwą drętwotą wszelkich przestępstw, jakie popełniła i jakie mogłaby jeszcze popełnić: judaizowania i zbrodniczego spisku, pogwałcenia miejsc świętych i jeszcze kilku czynów. Wydawała się zupełnie bezbronna, gdy tak stała na podium z głową opuszczoną, a szaty pokutne wisiały na niej jak łachmany na szkielecie. Po odrzeczeniu zasię wysłuchała wyroku z osowiałą rezygnacją. Do głębi mnie poruszyła, pomimo oskarżeń, jakie była przeciw mnie wyrzekła lub pozwoliła wyrzec tamtym. Nieszczęsna dziewczyna, ofiara kaźni i zabawka w łapach łajdaków bez skrupułów ni sumienia, co tylko gęby sobie Bogiem i świętą wiarą wycierali. Gdy ją odprowadzono, zmiarkowałem, że rychło i na mnie kolej przypadnie. Plac cały we łbie mi wirował, a przerażenie i poczucie hańby wypełniały do cna. W rozpaczy jałem oblicza kapitana Alatryste wypatrywać lub druha jakiego, co by mi pociechy wzrokiem dodał, aliści nie zdołałem dostrzec wokół ni jednej litościwej albo współczującej osoby. Roztaczał się wszędy mur spojrzeń, a w nich

wrogość, drwina, wyczekiwanie, niegodziwość. Taką twarz przybiera nikczemny gmin, gdy darmo pokazują mu krwawe widowisko.

Atoli Alatryste dostrzegł mnie. Stał, przylgnąwszy do kolumny, pod jedną z arkad i stamtąd obserwował podest, na którym się znajdowałem wspólnie z innymi pokutnikami, każdy w kompanii dwóch milczących jak głazy strażników. Przedemną poddawał się właśnie przygnębiającemu rytuałowi pewien cyrulik, o bluźnierstwa i pakt z diabłem oskarżony – niewielki chłopina nędznej postury, szlochający w dłonie, nic bowiem nie było w stanie uchronić go przed setką batogów i kilkoma latami trzepania wiosłem sardynek na królewskich galerach. Kapitan przesunął się nieco w tłumie, żebym mógł go ujrzeć, gdybym nań patrzył, ja aliści nie byłem zdolny widzieć czegokolwiek, umęczony w odmętach koszmarów, dręczących mą duszę. Tuż obok niego jakiś wystrojony grubianin natrząsał się ze zgromadzonych na podeście, pokazywał nas swym towarzyszom wśród szyderstw, a w którymś momencie i na mój temat uczynił jakąś drwiny pełną uwagę. Ostatnie wypadki sprawiły, że w miejscu spokojnego kapitańskiego usposobienia zagościła desperacka furia, i za jej to podszeptem, nie mieszkając ni chwili, przybliżył się pan mój ku impertynentowi i niby to przez nieuwagę wraził mu łokieć w wątrobę. Tamten obrócił się z marsem na licu, ale protest uwiązał mu w gardzieli, ledwie napotkał w szczelinie pomiędzy kurtą a rondem kapelusza jasne oczy Diega Alatryste, wpatrzone weń z tak zimnym ostrzeżeniem, że w mig zamilkł i spotulniał jak baranek.

Alatryste oddalił się kilka kroków, dzięki czemu lepszy miał teraz widok na łożę Luisa de Alquézar. Sekretarza królewskiego łatwo było odróżnić od innych dworaków, a to dzięki krzyżowi Zakonu Calatrava, na piersi haftowanemu. Czarna szata sprawiała, że wyglądał niczym ponury posąg,

podobnie jak nakrochmalona kryza, z której wystawała okrągła, pokryta lichymi, rzadkimi włosami, zupełnie nieruchoma głowa. I jeno oczy jego przebiegłe myszkowały wokół, nie roniąc ni szczegółu ze wszystkiego, co się działo. Niekiedy owo niegodziwe spojrzenie krzyżowało się z fanatycznym wzrokiem brata Emilia Bocanegry i obydwaj zdawali się pozostawać w doskonałym, złowrogim, acz zastygłym porozumieniu. W owej chwili i w miejscu owym ucieleśniali autentyczną potęgę tego państwa, potęgę sprzedajnych dworaków i gorliwych klechów, rozswawolonych pod obojętnym okiem czwartego Habsburga, który właśnie przyglądał się bez zmrużenia powiek, jak płoną na stosie jego poddani, i tylko co chwila, usta rękawiczką lub białą dłonią o błękitnych żyłach zasłaniając, zwracał się ku królowej gwoli objaśnienia jej tego czy owego detalu widowiska. Dworny, waleczny, uprzejmy i słaby, pozostawał dostojną zabawką w rękach jednej i drugiej partii, sam zaś wyniośle spoglądał gdzieś ku wyżynom, niezdolny zobaczyć, co dzieje się na Ziemi, ani udźwignąć na królewskich ramionach brzemienia ogromnego dziedzictwa swych dziadów, skutkiem czego pociągał nas za sobą w otchłań bez ratunku.

Mój los wydawał się przesądzony, wszelako gdyby na placu nie roіło się od pachołków, strażników, „krewniaków” inkwizycji i królewskich gwardzistów, zrozpaczony i dzielny Diego Alatryste może popełniłby zuchwalstwo jakie. Chcę przynajmniej wierzyć, że tak by się stało, gdyby chwila stosowna po temu się zdarzyła. Daremne jednak to były nadzieje, czas pracował przeciwko niemu i przeciwko mnie. Choćby i mość Francisco de Quevedo na czas przybył – nie wiadomo nawet z czym – gdy tylko nadzorcy moi wstać mi kazali i wypchnęli mnie na środek podium, gdzie wysłuchać miałem sentencji, ni Pan nasz Miłościwy, ni sam Ojciec Święty nie byli władni odmienić mego losu. Ta pewność dręczyła Diega

Alatriste, gdy raptem zmiarkował, że Luis de Alquézar przygląda mu się bacznie. W takiej ciżbie i przy osłonie, jaką kapitan miał na sobie, nie sposób było stwierdzić to z całkowitą stanowczością, atoli mógł przysiąc, że widzi wbite weń przenikliwe oczy sekretarza królewskiego, który następnie przenosi wzrok na brata Emilia Bocanegrę, ten zaś, ledwie otrzymał tą drogą jakąś niemą wiadomość, sam ją pilnie wypatrywać wśród gawiedzi. Teraz Alquézar uniósł dłoń, na piersi ją położył, szukając w tłumie kogoś innego, nieco na lewo od kapitana, bowiem wzrok jego zatrzymał się właśnie w jakimś punkcie nieopodal. Dłoń sekretarza królewskiego dwukrotnie uniosła się z wolna i opadła, po czym dworzanin ją na powrót przyglądać się kapitanowi. Ten obejrzał się i dostrzegł dwa albo i trzy kapelusze, które zaczęły zbliżać się ku niemu pod arkadami.

Żołnierski instynkt pierwiej zadziałał, nim rozum podjął stosowne decyzje. Długie główne w takiej ciżbie były zgoła bezużyteczne, przygotował tedy lewak do boku przypasany, wysuwając go z fałdy swej kurty. Następnie dał kilka kroków wstecz, zanurzając się w tłum. W momentach bezpośredniego zagrożenia zawsze doznawał osobliwej jasności umysłu, pozwalającej oszczędnie szafować ruchami i słowami. Posuwał się wzdłuż boku placu, patrząc, jak kapelusze przystanąły bezradnie w miejscu, gdzie wcześniej się był znajdował, gdy zaś wzrok uniósł, zobaczył, że Luis de Alquézar przygląda się niecierpliwie całemu zajściu, a choć zachowywał wciąż oficjalny bezruch, przecie rozdrażnienia ukryć nie umiał. Alatriste znów nieco się oddalił, idąc pod arkadami Rzeźniczymi ku drugiej stronie placu, gdzie na powrót wspiął się na deski amfiteatru. Stamtąd nie dostrzegał mnie już żadną miarą, aliści owszem, widział profil Alquezara. Winszował sobie, że nie wziął ze sobą pistoletu – było to zabronione, a w tym tłumie nosić go oznaczało ryzyko – wiele bowiem musiałby się natrudzić, by samego siebie poskromić przed

wyjściem na podium i posłaniem w kierunku sekretarza królewskiego porządnej porcji ołowiu. „Ale umrzesz – przysiągł w duchu, wbijając wzrok w znenawidzone rysy dworaka. – I aż po dzień śmierci nie zaznasz spokojnego snu, bo będziesz wspominał moją nocną wizytę”.

Właśnie na środku podium stał już balwierz obwiniany o bluźnierstwo, zaczęto też odczytywać długą listę jego przewinień oraz wyrok. Alatryste pamiętał, że ja byłem zaraz następny w kolejności, usiłował tedy przepchać się naprzód, by mnie zobaczyć, aliści spostrzegł, że kapelusze znów przybliżyły się niebezpiecznie. Musieli to być zawzięci mężowie. Jeden z tyłu pozostał, jak gdyby szukał czego gdzie indziej, dwaj pozostali wszelako – jeden kapelusz czarny, drugi brązowy z długim piórem – szli wytrwale w jego kierunku, sprawnie torując sobie drogę w ścisku. Nie było innej rady, jak szukać schronienia, kapitan musiał przeto zapomnieć o mnie na razie i pod arkady się wycofać. W takim tłoku nie miałyby zbyt wielu szans, a jeśliby ktokolwiek odwołał się do Świętego Oficjum, sami gapie jęliby współdziałać z jego prześladowcami. Możliwość ucieczki znajdowała się o kilka kroków dalej, w wąskiej uliczce z dwoma zakrętami, prowadzącej do placu Provincia, a w takie dni, jak ów, wykorzystywanej przez ludzi do załatwiania potrzeb, i to na przekór krzyżom i figurkom świętych, jakie okoliczni mieszkańcy wystawiali na każdym rogu, by co bardziej nieokrzęsanych odstręczyć. Tam też udał się Diego Alatryste, ale nim wszedł w zaułek, w którym na szerokość mieścił się swobodnie tylko jeden człek, spostrzegł ukradkiem, że dwaj przeciwnicy również w ślad za nim z tłumu się wydostali.

Nawet nie zatrzymał się, by im się przyjrzeć. W okamgnieniu rozpiął kurtę, i jął wywijać nią lewym ramieniem, czyniąc z niej coś na kształt tarczy, prawicą zaś dobył lewak – ku przerażeniu jakiegoś nieboraka, co za pierwszym zakrętem folgował właśnie napęczniałemu pęcherzowi, a teraz

pośpiesznie zapinał rozporek i pierzchał stamtąd co sił w nogach. Nie zwracając nań uwagi, Diego Alatryste oparł się ramieniem o ścianę, która podobnie jak i ziemia cuchnęła moczem i brudem. Dać się tu zaszlachtować, to mi miejsce – pomyślał, stając pewniej i poprawiając sztylet w dłoni. To mi miejsce, do kroćset, by w zacnej kompanii pójść do piekieł.

Pierwszy z prześladowców wychynął już zza węgła i w wąskim przejściu Alatryste zdołał ujrzeć jego oczy, przerażone widokiem czekającego nań błyszczącego ostrza lewaka. Dostrzegł jeszcze gęste wąsy, szczelnie twarz osłaniające, i zmierzwione bokobrody, nim schylił się błyskawicznie i podciął łajdakowi sztyletem nogę na wysokości kolan. Nie zatrzymując ręki, śmignął nią w górę i poderżnął tamtemu gardziel. Przeciwnik osunął się, nie zdoławszy się choćby przeżegnać, a chwilę później życie broczyło zeń szeroką, czerwoną strugą, wsiąkając w grunt uliczki.

Tym drugim był Gualterio Malatesta i szkoda wielka, że nie szedł pierwszy. Wystarczyła jego chuda, czarna sylwetka, by Alatryste rozpoznał momentalnie swego zawziętego wroga. Pochłonięty pośpiesznym pościgiem Włoch tak zaskoczony był niespodziewanym starciem, że broni dobyć nie zdążył, tedy uskoczył w tył, gdy jego poprzednik padał na ziemię, przez co o piędź tylko minęło go ostrze kapitańskiego sztyletu. Ciasnota na nijakie harce z długą bronią nie zezwalała, Malatesta przeto, kryjąc się za dogorywającym kamratem, dobył swego lewaka i, podobnie jak kapitan, płaszczem się osłaniając, jął zadawać krótkie pchnięcia, wyskakiwał piersią do przodu i cofał się z ogromną zwinnością. Co chwila sztylety pruły z trzaskiem tkaninę, dzwoniły o mur, szukając zaciekle wroga, a przy tym żaden z walczących ni słowem się nie ozwał, by oddechu

nie trwonić, sapali jeno i stękali. Włoch, korzystając z dodatkowej zasłony w postaci ugodzonego kompana (który może podążał już drogą ku piekłom albo wręcz przeciwnie), trzymał tarczę z płaszczem wysoko, dołem tymczasem zadawał sztychy, w oczach jego zasię wciąż tliło się zaskoczenie – nawet się zasraniec nie zdobył na swoje *tiruri-ta-ta* – gdy raptem lewak kapitana dosięgnął czegoś miękkiego. Malatesta zawył, zachwiał się, przygwoździł Diega Alatryste do leżącego i zatopił swój sztylet w jego kaftan. Skóra jęła pękać, a guziki i haftki pryskały wokół na wszystkie strony. Zwarli się obydwaj ramionami w płaszcze owiniętymi, aż kapitan na twarzy swej poczuł zrazu oddech Włocha, zaraz potem zaś ślinę, jaką tamten splunął mu prosto w oczy. Zamrugął oślepiony, co przeciwnik wykorzystał, zadając mu zdecydowane pchnięcie, które rozciąłoby kapitana na pół, gdyby nie pas rzemienny. Atoli Włoch zdołał rozciąć mu odzienie i skórę, i Diego Alatryste poczuł naraz dreszcz i przeszywający ból, bowiem ostrze sztyletu musnęło mu kość biodrową. W obawie, że zaraz przytomność utraci, rękojeścią swego lewaka grzmotnął twarz tamtego, aż krew popłynęła Włochowi spod brwi, zalewając stopniowo wszystkie dzioby i blizny i walając mu wąsiki. W błyszczących, bystrych i hardych oczach Malatesty zagościł raptem strach. Alatryste odciągnął łokieć i jął zadawać mnóstwo ciosów, trafiając już to w płaszcz Włocha, już to w jego kaftan, już to w powietrze, w ścianę i wreszcie parokrotnie także w przeciwnika. Malatesta zacharczał boleśnie a wściekle. Krew zalewała mu oczy, on zasię wyprowadzał sztychy na oślep, nieprzewidywalne, a przez to niebezpieczne. Nie licząc ciosu rękojeścią w twarz, odniósł już co najmniej trzy rany.

Pojedynek ich całą wieczność trwać się zdawał. Obydwaj byli wyczerpani, kapitanowi dokuczało mocno rozcięte biodro, atoli zyskiwał wyraźną przewagę. Rozstrzygnięcie pozostawało kwestią czasu i

nieprzytomny z nienawiści Włoch szykował się już na śmierć, chcąc pociągnąć jednak przeciwnika za sobą. Ani przez myśl mu nie przeszło, by prosić zmiłowania, nie było zresztą nikogo, kto by mógł mu takowe okazać. Naprzeciw siebie znalazło się dwóch wytrawnych zabijaków, świadomych, co się święci. Powściągali się w obelgach i zbędnych tyradach, za to skrupulatnie i z wielką wprawą dźgali się nawzajem. Na całego.

I w tym momencie pojawił się ów trzeci, o takóŜ buńczucznej powierzchowności, brodaty, z pendentem i po zęby zbrojny. Wysunął się zza węgła uliczki i oczy zrobił jak spodki ogromne, gdy ujrzał, że jeden już leży zaszlachtowany i nieżywy, dwaj pozostali walczą na sztylety, wąski zaś zaułek spływa krwią zmieszana z strugami uryny. Chwilę trwał zdrętwiały, po czym wymamrotał „Chryste przenajświętszy” i „na Boga” i dobył swego lewaka.



I w tym momencie pojawił się ów trzeci, o takó¿ buńczucznej powierzchownoœci, brodaty, z pendentem i po zęby zbrojny.

Chciał dopaść kapitana, nie mógł wszelako ni Malatesty wyminąć, który słał z wolna, wsparty jeszcze o mur, ni te¿ usunąć z drogi przeszkody, jaką stanowił trup drugiego napastnika. Alatryste skorzystał tedy z okazji, by się ostatkiem sił wyswobodzić od swego prześladowcy, który nieustannie zadawał ciosy w próżnię. Na pożegnanie chlasnął go jeszcze ostrzem przez

policzek i ku swemu ukontentowaniu posłyszał, jak tamten bluźni wreszcie po włosku. Następnie jednym ruchem zarzucił nowo przybyłemu kurtę na sztylet i czmychnął zaułkiem ku placowi Provincia, czując, że miast oddechu w płucach ma żywy płomień.

Gdy zapaskudzoną uliczkę precz już za sobą ostawił, z wolna ją dochodzić do siebie. Podczas walki stracił był kapelusz, na ubraniu miał plamy cudzej krwi. Jego własna zaś się spływała mu wolno pod kaftanem i pludrami. Na wszelki wypadek przeto pokwapił się ku najbliższemu schronieniu, którym był kościół Świętego Krzyża. Tam odetchnął spokojnie we drzwiach, siadłszy na stopniach, gotów za lada niepokojącym sygnałem wnijsć do wewnątrz. Biodro dolegało mu srodze. Dwoma palcami namacał ranę i zmiarkowawszy, że nie jest duża, przyłożył tam sobie dobytą z kieszeni szmatkę. Czekał. Atoli nikogo wokół nie uświadczył, nikt z zaułka nie wychodził, nikt kapitana nie widział. Cały Madryt zajęty był widowiskiem na placu Mayor.

Właśnie moja kolej dobiegała, a potem nieszczęśników, co za mną czekali. Cyrulikowi oskarżonemu o bluźnierstwa zasądzano właśnie cztery lata galer i sto batów, biedaczyna zaś ręce załamywał na podium, głowę spuścił i chlpał, wołając żony i czwórki dzieci i prosząc o łaskę, której znikąd spodziewać się nie mógł. W każdym razie lepszy los go czekał niżli tych, którzy właśnie w czepcach pokutnych jechali mułami ku stosowi, wzniesionemu przy Bramie Alcalá, gdzie przed nastaniem nocy mieli zamienić się w garść popiołu.

Ja byłem następny, a taka żałość mnie zdjęła i sromota, że ledwie się na nogach trzymałem. Plac, balkony pełne ludzi, draperie, strażnicy i „krewniacy” Świętego Oficjum – wszystko to przyprawiało mnie o istny zawrót głowy. Już wołałem umrzeć tam na miejscu, nie czekając na żadne

ceregiele ani złudnym nadziejom nie ulegając. Aliści byłem świadom, że nie śmierć mnie czeka, a długie więzienie, i że końca kary może doczekam na galerach. Co jeszcze większą trwogą napawało mnie niżli zgon, ażem nawet zazdrościć jał owemu znarowionemu księdzu, co z jawną butą udawał się na stos, nikogo o zmiłowanie nie błagając ani odrzec się zbrodni nie kwapiąc. Zdało mi się, że łatwiej byłoby umrzeć, niż trwać wśród żywych. Balwierza już odprowadzono i spostrzegłem, że jeden z opiętych kryzą inkwizytorów spogląda w dokumenty, a następnie na mnie. Klamka zapadła, rzuciłem tedy ostatnie spojrzenie na lożę honorową, gdzie nasz Najjaśniejszy Pan pochylał się ku swej małżonce i coś jej szeptał, ona zaś jakby się uśmiechała. Ani chybi o łowach gadali albo prawili sobie czułe słówka, albo lichy wie co, a mnisi tymczasem używali sobie na całego. Pod arkadami tłum owacyjnie przyjął wyrok na balwierza, szydząc z łez jego i gotując się na kolejnego podsądnego. Inkwizytor na powrót w papiery zerknął, jeszcze raz podniósł wzrok na mnie i jał trzeci raz sprawdzać coś w dokumentach. Słońce padało ukośnie na podium, aż parzyć mnie zaczęło sukno, z którego sambenito uszyte było. Inkwizytor papiery nareszcie zebrał i wolnym krokiem ruszył ku swemu pulpitowi, pyszny i kontent z wrażenia, jakie na obecnych wywierał. Spojrzałem na brata Emilia Bocanegrę, który siedział nieruchomo na swej ławie w złowrogim białoczarnym habicie i smakował swą wiktoryę. Spojrzałem na podstępного okrutnego Luisa de Alquézar i na krzyż Zakonu Calatrava, który na jego piersi jawił mi się jako przeogromne świętokradztwo. Ale przynajmniej – rzekłem w duchu (i jak Bóg na niebie, jedyna to wówczas była dla mnie pociecha) – nie zdołaliście posadzić na tym miejscu kapitana Alatryste.

Inkwizytor stał już przy pulpicie i powoli, uroczyście, gotował się, by wyczytać me nazwisko. Wtem jednak mąż jakiś, na czarno odziany i kurzem pokryty, wpadł jak huragan do loży sekretarzy królewskich. Miał na

sobie strój podróżny, wysokie buty do jazdy powalane błotem i ostrogi, a wyglądał, jakby niejednego konia w długiej drodze zajeździł, ni chwili nie spoczywając. W ręku dzierżył skórzaną tekę i z nią to właśnie podszedł ku sekretarzowi Jego Królewskiej Mości. Zobaczyłem, że kilka słów ze sobą zamieniają i że Álquezar sięga po tekę, otwiera ją niecierpliwym ruchem, patrzy w moim kierunku, potem na brata Emilia Bocanegrę i jeszcze raz na mnie. W tym momencie także mąż w czerni odwrócił się i mogłem go rozpoznać. Był to mość Francisco de Quevedo.





X. NIEUREGULOWANY RACHUNEK.



tosy noc całą płonęły. Lud długo jeszcze trwał, przyglądając się kaźni przy Bramie Alcalá, nawet kiedy ze skazanych pozostały jeno spalone kości wśród węglików i popiołów. Z pogorzelniska unosiły się słupy dymu rdzawego i szarego, z rzadka poruszanego przez podmuch wiatru, który przywiewał ku gapiom gęstą, cierpką woń spalonych dREW i CIAŁ.

Przybył tam cały Madryt: od żon poczciwych, poważnych szlachciców i innych dystyngowanych osób po najnikczemniejszy gmin. Łobuziaki dokazywały, wokół palenisk się uganiając, a tymczasem straż otaczała miejsce linami. Nie brakowało ni ulicznych sprzedawców, ni żebraków, jedni i drudzy ubijali krociowe interesy. A wszystkim widowisko wydało się – takie przynajmniej sprawiali na zewnątrz wrażenie – pobożne i budujące. Nasza nieszczęsna Hiszpania, za cenę zabaw publicznych, solennego Te Deum albo paru stosów zawsze gotowa wymazać z pamięci złych władców, utratę floty indyjskiej albo klęskę na europejskim polu bitewnym, kolejny raz pokazywała, że jest wierna samej sobie.

– Odrażające – powiedział mość Francisco de Quevedo.

Był wielkim satyrykiem, jak to już waszmościom nieraz nadmieniałem, żarliwym katolikiem na miarę epoki i państwa, w którym żył – ale wszystko to łagodziły jego niepomierna kultura i nadzwyczajne człowieczeństwo.

Owej nocy stał nieruchomo i z marsową miną w ogień się wpatrywał. Zmęczenie po morderczej jeździe już dawało o sobie znać, a i głos poeta miał znużony. Rzekłbyś, fatygą nie kilkugodzinną, a odwieczną.

– Biedna Hiszpania – dodał ciszej.

Jeden ze stosów wystrzelił w powietrze snopem iskier i chmurą żaru, wydobywając z mroku stojącą wedle poety posągową postać kapitana Alatryste. Gawiedź powitała ów wybuch oklaskami. Płomienny poblask oświetlił w oddali mury eremów augustiańskich, a nieco bliżej pręgierz kamienny na skrzyżowaniu ulic Vicalvaro i Alcalá, gdzie dwaj przyjaciele stali nieco na uboczu. Byli tu od początku kaźni i prowadzili cichą rozmowę. Zamilkli jeno, gdy kat zacisnął potrójną pętlę na szyi Elviry de la Cruz, a susz i polana pod martwym ciałem nieszczęsnej nowicjuszki zajęły się ogniem. Ze wszystkich pokutników tylko księdza spalono żywcem – nieustępliwie trwał przy swoim aż do końca, poniechał skruchy wobec zakonnika, który mu towarzyszył, a pierwsze języki ognia powitał z niezmiernym spokojem. Szkoda, że potem, gdy ogień jął mu już kolana lizać – litościwie skazano go na powolne spalenie, by dać mu czas na ewentualny żal – trochę stracił panowanie nad sobą i na koniec jął ze straszliwym krzykiem zanosić błagania. Atoli jak mówią, krom świętego Wawrzyńca nikt na ruszcie doskonałości nie osiągnął.

Mość Francisco i kapitan Alatryste długo i szczegółowo na mój temat rozprawiali, ja tymczasem, wyczerpany i nareszcie wolny, leżałem już dawno w izbie naszej przy ulicy Arcabuz, pod czułą opieką Caridad Cyganichy, pogrążony we śnie tak głębokim, jak gdybym musiał – co zresztą dalekie od prawdy nie było – moje ostatnie przypadki jak majaczenie nocne potraktować. Na stosie dopalały się już resztki popiołów, poeta zasię dokładnie relacjonował kapitanowi swą pośpieszną i niebezpieczną wyprawę do Aragonii.

Ścieżka, jaką zaproponował faworyt królewski, wiodła prosto do sedna sprawy. Owe cztery słowa, zapisane przez mość Gaspara de Guzman na Błoniach – *Alquézar. Huesca. Zielona księga* – zawierały to, co wystarczyło, by me życie ocalić i powstrzymać knowania sekretarza królewskiego. Alquézar było bowiem nie tylko nazwiskiem naszego wroga, ale także nazwą wioski aragońskiej, gdzie na świat był przyszedł – i tam też pogalopował mość Francisco de Quevedo, zajeżdżając królewskie konie zmieniane na kolejnych stacjach (jeden wręcz padł w Medinaceli), by wygrać rozpaczliwy wyścig z czasem. Co się zaś tyczy *Zielonej księgi*, zwanej również Księgą cielecą od skóry, w jaką ją oprawiano, jak i wszystkie rejestry rodzinne i drzewa genealogiczne, będące w jurysdykcji danej parafii – służyła ona jako świadectwo pochodzenia. Po przybyciu do Alquézar pan de Quevedo, posługując się siłą swego sławnego nazwiska tudzież dukatami od hrabiego de Guadalmedina otrzymanymi, zakrzętnął się, by powęszyć w miejscowych archiwach. I tam też, ku swemu zdumieniu, uldze i ukontentowaniu, zdobył potwierdzenie tego, o czym hrabia de Olivares wiedział już był od swych osobistych szpiegów: że sam Luis de Alquézar nie mógł wykazać się czystą krwią, w jego rodowodzie bowiem – jak zresztą wśród niemal połowy rodów hiszpańskich – od roku tysiąc pięćset trzydziestego czwartego figurowała linia żydowska, odnotowana jako rodzina przechrztów. Owe korzenie hebrajskie podważały tytuł starego szlachcica, jakim mienił się sekretarz królewski – ale że w owym czasie i czystość krwi można było kupić na dwa pokolenia wstecz, wszystko zostało łącznie zapomniane dzięki dokumentom i zaświadczeniom niezbędnym, ażeby Luis de Alquézar uzyskał wysokie stanowisko na Dworze. A ponieważ obnosił się też z godnością kawalera Zakonu Calatrava, który przyjmował w szeregi swe jeno starych chrześcijan, w dodatku takich, których przodkowie nigdy się pracą fizyczną nie splamili,

przeto rzecz cała nie mogła obyć się bez sfałszowania zapisów i podstępnej zмовy. Ujawnienie zaś owej nowiny – tu wystarczyłby jakiś sonecik zgrabny pana de Quevedo – wsparte *Zieloną księgą*, którą poeta uzyskał był od proboszcza Alquézar w zamian za nadobny mieszek srebrnych eskudów, mogło skompromitować sekretarza królewskiego oraz pozbawić go habitu Zakonu Calatrava, urzędu na Dworze i większości przywilejów, przynależnych staremu chrześcijaninowi i szlachcicowi. Rzecz oczywista, zarówno inkwizycja i sam brat Emilio Bocanegra, jak i hrabia de Olivares o wszystkim doskonale wiedzieli, atoli w sprzedajnym świecie, pełnym hipokryzji i fałszywych manier, możni, padlinożerne sępy, zawistni, tchórze i pospolite łotry zwykli osłaniać się nawzajem. Bóg wszystkich ich do życia powołał, a oni na świat przyszli, od początku razem się trzymając ku własnemu ukontentowaniu, a na hańbę nieszczęsnej Hiszpanii.

– Żałuj, kapitanie, żeś waszmość nie widział jego oblicza, kiedym mu *Zieloną księgę* pokazał – w ochrypłym głosie poety słychać było znużenie. Wciąż miał na sobie zapyłony strój podróżny i krwią poplamione ostrogi. – Luis de Alquézar zbiełał bardziej niżli papiery, które w dłonie mu włożyłem, potem jakby ogniem spłonął na licu, ażem się zląkł, że go apopleksja tknie... Atoli liczyło się, żeby Íñiga uratować, przeto zaryzykowałem, zbliżyłem się doń nieco i rzekłem natarczywie: „Panie sekretarzu królewski, nie ma czasu na pogaduszki. Albo wycofasz sprawę chłopaka, albo jesteś waszmość skończony”... I jako żywo nawet nie próbował się spierać. Szelma był równie pewien tego, co mu mówię, jak tego, że wszyscy kiedyś zdamy rachunki Najwyższemu.

Trafił w sedno. Zanim skryba me nazwisko wyczytał, Alquézar wypadł z łoży z gorliwością, która jak najlepiej świadczyła o nim jako o królewskim sekretarzu, pomknął jak strzała do zdumionego brata Emilia Bocanegry i błyskawicznie słów kilka szeptem z nim zamienił. Na obliczu dominikanina

malowały się kolejno zaskoczenie, wściekłość i przygnębienie, a jego mściwe oczy przebiłyby na wylot mość Francisca de Quevedo, gdyby temu – zmordowanemu podróżą, wciąż zalterowanemu grożącym mi niebezpieczeństwem i zdecydowanemu doprowadzić rzecz do końca, choćby nawet na miejscu i własnym głosem – wszelkie mordercze spojrzenia świata nie były w owej chwili całkowicie obojętne. Wreszcie, twarz otarłszy chustą, znów blady, jakby cyrulik całą krew był mu puścił, Alquézar powrócił do łóża, gdzie czekał nań poeta. Ten zasię, patrząc przez ramię, zobaczył w tym momencie, jak na ławie inkwizytorów, drżąc ciągle z gniewu i rozpacz, brat Emilio Bocanegra przywołuje skrybę, a ten, wysłuchawszy go w wielkim uszanowaniu, bierze papier z moją sentencją, którą właśnie miał odczytać, i odkłada go na bok, do archiwum, na wieczną rzeczy pamiątkę.

Kolejny stos dopalił się z trzaskiem, kolejny deszcz iskier rozjaśnił mroki i opromienił blaskiem obydwu mężów. Diego Alatryste stał bez ruchu obok poety, oczu od płomieni nie odrywając. Widoczne pod szerokim rondem kapelusza wąsy i orli nos jeszcze bardziej wyostrzały mu rysy, na których malowało się znużenie całym dniem i świeżą raną w biodrze, która lubo nie była groźna, przecież srodze doskwierała.

– Szkoda – mruknął mość Francisco – że nie zdążyłem na czas, by ocalić także ją.

Wskazał na najbliższy stos i widomie wstyd mu było z powodu losu Elviry de la Cruz. Nie sromął się za siebie samego ani za kapitana, ale za wszystko, co nieszczęsną dziewczkę aż tu doprowadziło, na domiar złego niszcząc jeszcze całą jej rodzinę. Sromął się także być może za tę ziemię, na której przyszło mu żyć, Kainową, okrutną, olśniewającą w całej swej jałowej wielkości, a niedołączną i nikczemną na co dzień – i cała jego

prawość i Seneki godna, jakże chrześcijańska, stoicka rezygnacja nie były zdolne przynieść mu pociechy. Od wieków bowiem kto i rozumem władał, i Hiszpanem był, goryczy jeno miał z tego mnóstwo, nadziei zasię na lekarstwo.

– W każdym razie – zakończył Quevedo – taka była wola niebios.

Diego Alatryste nic zrazu na to nie odrzekł. Czy to wola niebios była sprawiła, czy też piekiel, on milczał i popatrywał tylko na stosy, na pachółków i na gapiów, których sylwetki odcinały się na tle złowrogich płomieni. Jeszcze nie było mu śpieszno, by mnie zobaczyć w domu przy ulicy Arcabuz, chociaż Quevedo, a później także Martín Saldaña, po którego poszli pod wieczór, zgodnie zapewnili go, że nie ma się czego obawiać. Rzecz całą tak zgrabnie załatwiono, że nawet o zabijace zadźganym w zaułku nikt pary z gęby nie puścił, również o rannym Gualteriu Malateście wszelki słuch zaginął. Gdy tylko wszelako ranę kapitanowi opatrzone w aptece Cyklopa Fadrique, ten zaraz z poetą udał się ku stosom przy Bramie Alcalá, skąd nie ruszyli się, dopóki ze szczątków Elviry de la Cruz nie pozostały jeno zwęglone kości i kupka popiołu. Przez chwilę kapitanowi zdało się, że w ciżbie dostrzega znów postać Jerónima de la Cruz albo może widmo jakoweś, które przybrało kształt starszego brata skazanej, jedyne żywego członka zdziesiątkowanej rodziny. Atoli nawet jeśli był to on w samej rzeczy, jego zamaskowane rysy rychło znikły wskutek ciemności i ogólnego rejuwachu.

– Nie – ozwał się wreszcie Alatryste.

Tak zwlekał z odpowiedzią, że mość Francisco zgoła nie spodziewał się już nijakiej uwagi z jego ust, przeto spojrział teraz na niego zaskoczony, usiłując dociec, o czym druh jego mówi. Kapitan wszelako nadal wpatrywał się beznamiętnie w pogorzeliśko i dopiero po dłuższej chwili, wolno

zwracając się w stronę Queveda, dopowiedział resztę: – Niebiosa nie miały z tym nic wspólnego.

W przeciwieństwie do szkieł poety, jego własne jasnozielone oczy nie odbijały płomieni, wyglądały raczej na dwie lodowate studnie. Na jego zadumanych, ostrych jak brzytwa rysach igrały miedziane odblaski i niespokojne cienie, rzucane przez dopalające się na stosach ogniki.

Udawałem, że śpię. Caridad Cyganicha siedziała u wezglowia łóżka, gdzie położyłem się po spożyciu wieczerzy i gorącej kąpieli we wziętej z gospody miednicy, i czuwała przy mnie, cerując przy świecy bieliznę kapitana. Oczy miałem zamknięte, rozkoszując się przytulnym łóżem i trwając w słodkim półśnie, który pozwalał mi w dodatku nie odpowiadać na żadne pytanie ni snuć opowieści o mych przygodach, o których lada wspomnienie – osobliwie spokoju nie dawało mi sambenito – nadal dojmującym wstydem mnie napawało. Za sprawą ciepłej pościeli, dobroczynnej bliskości Cyganichy, a przede wszystkim pewności, że znów jestem wśród przyjaznych osób i mogę trwać w milczeniu, z zamkniętymi oczyma, nie myśląc o świecie, który wiruje gdzieś z dala ode mnie – za sprawą tego wszystkiego pogrążałem się w odrętwieniu podobnym do szczęścia, wzmocnionego na domiar dumą, że w turmie nikt nie zdołał był wydrzeć ze mnie ani słowa na temat Diega Alatryste.

Nie usłyszałem też jego kroków na schodach ani stłumionego okrzyku, z jakim Cyganicha rzuciła robotę na podłogę i skoczyła mu w ramiona. Dobiegł mnie stłumiony odgłos ich rozmowy, głośnie pocałunki gospodyni, pomruk protestu, jaki wydał z siebie przybysz, ponowne szepty i na koniec trzask zamykanych drzwi i schodzące kroki. Jużem myślał, że sam zostałem, gdy po dłuższej chwili ciszy buty kapitańskie ponownie odezwały się na piętrze, podeszły do mego łóżka i zatrzymały się.

Miałem otworzyć oczy, ale tego poniechał. Wiedziałem, że widział mnie był wśród innych pokutników na placu, w hańbie pogrążonego. Nie potrafiłem też zapomnieć, że nie posłuchałem jego polecenia podczas zajścia pod klasztorem Benedyktynek Sakramentek i dlatego właśnie dałem się złapać jak szczeniak. Krótko mówiąc, nie czułem się jeszcze dostatecznie pewnie, by stawić czoło wyrzutom jego i pytaniami – ani choćby jego milczącemu spojrzeniu. Leżałem tedy nieruchomo i miarowo oddychałem, udając, że śpię.

Przez dłuższą chwilę nic się nie zdarzyło. Nie wątpiłem, że obserwuje mnie w blasku świecy, przez Cyganichę pozostawionej. Ciszy nie przerywał najłżejszy szmer, nawet jego oddech, zgoła nic. I kiedy już sądziłem, że wcale go przy mnie nie ma, poczułem dotyk jego szorstkiej dłoni, która na moment spoczęła na moim czole, darząc mnie nieoczekiwaną, ciepłą czułością. Potrzymał ją tak przez jakiś czas, po czym raptem odsunął. Kroki jego znów się oddaliły, posłyszałem z kolei skrzypienie otwieranej szafy, brzęk szklanki i karafy z winem, wreszcie szuranie krzesła.

Ostrożnie odemknąłem lekko powieki. W półmroku zdołałem dostrzec, że kapitan rozpiął kaftan, kamizelę, odpasał rapier, siadł przy stole i pił w milczeniu. Wino co chwila pluskało o dno szklanki, a on sączył je powoli, acz do dna, jakby tę jedną rzecz miał jeszcze w życiu do zrobienia. Żółtawe światło wydobywało z ciemności jasną plamę kapitańskiej koszuli, profil, krótkie włosy i koniuszki nastroszonych, żołnierskich wąsów. Wyciszony i nieruchomy, bez reszty pochłonięty winem, siedział wedle otwartego okna, przez które majaczyły pobliskie dachy i kominy. Nad nimi jarzyła się jedna jedyna, spokojna, cicha, zimna gwiazda. Alatryste wpatrywał się beznamiętnie może w mrok, może w pustkę, a może w upiory własnej duszy, błędzące po ciemnej izbie. Znałem aż nadto dobrze to jego spojrzenie, gdy wino mąciło mu umysł, przeto i tym razem bez trudu

domyśliłem się, że oczy jego lśnią nieobecnym, jasnozielonym blaskiem. Na bandażu tuż nad pasem z wolna rosła plama krwi, farbując na czerwono także białą koszulę. Kapitan siedział zaszę, równie samotny i nieporuszony, jak owa gwiazda, co mrugała na dalekim, nocnym firmamencie.

Dwa dni później ulica Toledo cała błyszczała w słońcu, świat zdawał się na nowo ogromny i pełen nadziei, a w żyłach mych młodość na powrót znać o sobie dawała. Siedziałem na taborecie u wnijscia do Gospody Pod Turkiem, ćwiczyłem kaligrafię za pomocą przyborów, jakie licencjat Calzas nadal przynosił mi z placu Provincia i znów patrzyłem na życie z ufnością, gotów do cna wydobrzeć po niefortunnych przypadkach, silny młodym zdrowiem i młodym wiekiem. Raz po raz wzrok podnosiłem na kumoszki, co zieleninę sprzedawały ze straganów, po przeciwnej stronie ulicy rozstawionych, na kury, rozrzucone okruchy dziobiące, i na ulicznych hultajów, co uganiali się wśród przejeżdżających konnych i pojazdów; wsłuchiwałem się także w gwar toczonych wewnątrz gospody pogaduszek. Czułem się najszcześniejszym młodzieńcem na ziemi. Nawet strofy, którym przepisywał, zdawały mi się największym cudem, jaki kiedykolwiek wyszedł spod ludzkiego pióra:

*Gdy przyjdzie pora po temu sposobna,
Oczy niech moje zamknie ostateczny Cień,
Co dnia blaski odbiera na wieczność,
A duszę na wieczność uczyni wolną...⁵⁰*

Napisał je mość Francisco de Quevedo, a ich piękno uderzyło mnie było już wówczas, gdym słuchał, jak poeta recytuje je ot, tak sobie, między jednym a drugim haustem san martín de Valdeiglesias, przeto ni chwili nie zwlekając, poprosiłem go, by zezwolił mi je przepisać najpiękniej, jak tylko

umiem. Mość Francisco siedział teraz w gospodzie, a wespół z nim kapitan i pozostała gromada: licencjat, Klecha Pérez, Juan Vicuña i Cyklop Fadrique, wszyscy zasię rozkoszowali się flaszeczkami, kielbaskami i suszonym zającem, świętując pomyślny koniec fatalnej awantury, której nikt na głos nie wspominał, ale przebieg każdy doskonale znał. Przybywając w progi gospody, po kolei gładzili mnie po czuprynie albo klepali przyjaźnie w policzek. Mość Francisco przyniósł Plutarcha, żebym się z czasem w czytaniu wprawiał, Klecha podarował mi srebrny różaniec, Juan Vicuña klamrę z brązu, którą miał był ze sobą we Flandrii, zaś Cyklop Fadrique – który należał raczej do bractwa łokciowego, co znaczy, że nieskory był do wydatków – uncję pewnego specyfiku z własnej apteki, który, jak zapewniał, doskonale uzupełnia ubytki krwi i przywraca rumieńce chłopcom, co jak ja w ciężkich znaleźli się opałach. Czułem się tedy pacholęciem, którego największe w całej Hiszpanii zaszczyty i nagrody spotkały, i moczyłem w kałamarzu gęsie pióro, od licencjata Calzasa otrzymane, by dalej pisać:

*Lecz ta przechowa pamięć, niepokorna,
Na tamtym brzegu już bezużyteczną,
Płomień mój pokona chłód praw odwiecznych
I odmęt przebędzie drogą powrotną...*⁵¹

W tym właśnie momencie, znów podniósłszy oczy, znieruchomiałem z piórem uniesionym, a kropla inkaustu niczym łza skapnęła na papier. Ulicą Toledo nadjeżdżał aż nadto znany mi czarny powóz, bez insygniów na drzwiczkach, z oschłym stangretem, ciągniony przez parę mułów. Powoli, niby we śnie, odłożyłem na bok kartkę, pióro, kałamarz i piasek i powstałem ostrożnie, jak gdyby powóz był jeno zjawą, gotową pierzchnąć

przy lada raptowniejszym ruchu z mej strony. Pojazd tymczasem zrównał się już ze mną, widziałem już otwarte okienko i odsunięte firanki, a za nimi białą, precudną dłoń, jasne loki i oczy modre jak niebo, oczy, które z taką maestrią oddał Diego Velazquez swym pędzlem – a wszystko to należało do dziewczynki, co tak niedawno była mnie omal na szafot nie posłała. Mijając Gospodę Pod Turkiem, Angélica de Alquézar wbiła we mnie wzrok, od którego jako żywo ciarki mi po plecach w dół i w górę przeszły, a roztrzepotane serce prawie zamarło w zachwycie. I nim się sam spostrzegłem, jużem przykładał dłoń do piersi, szczerze żałując, że nie noszę tam już złotego łańcuszka z talizmanem, który mi była ofiarowała jako list polecający na tamten świat.

A gdyby Święte Oficjum nie odebrało mi owego klejnotu, na rany Chrystusowe przysięgam, że lśniłby nadal na mej szyi ku radości zakochanego serca mojego.

Angélica pojęła ów gest. Albowiem usta jej rozjaśnił tak uwielbiany przez mnie diaboliczny uśmiech. Ona zasię przyłożyła koniuszki palców do ust i musnęła je jakby w pocałunku. W tym samym momencie ulica Toledo, Madryt i cała ziemaska orbita złożyły się w jedną wielką alegorię rozkoszy, a ja poczułem, że życie jest czymś nadzwyczaj radosnym.

Stałem tak jeszcze długo bez ruchu, lubo powóz dawno znikł w górze ulicy. Wreszcie ująłem nowe pióro, zaostrzyłem je o kaftan i dokończyłem przepisywać sonet mości Francisca:

*Bóstwo stało się duszy mej więzieniem,
Żyły niejeden ogień roznieciły,
Szpik mój na popiół zgorzał w okamgnienie:*

Ciało ni chybi trafi do mogiły,

*W proch, co wciąż miłuje, rychło się zmieni,
Kości me nadal będą cię wielbiły.*⁵²

* * *

Zmierzchało, atoli nie trzeba było jeszcze nijakiej lampy zapalać. Oberża Pod Lancknechtem znajdowała się przy brudnej ulicy, ohydnyimi woniami przepełnionej, jak na szyderstwo noszącej nazwę Primavera⁵³ nieopodal fontanny Lavapiés, w okolicy, gdzie rojno było od najbardziej plugawych gospod i szynków w całym Madrycie, jak też od burdeli najnikczemniejszego autoramentu. W poprzek ulicy porozwieszane były sznury z praniem, z okien dobiegały kłótnie miejscowych parafian i płacz dziatwy. W przedsionku walało się mnóstwo końskich odchodów i Diego Alatryste sporo natrudzić się musiał, by nie zbrukać sobie wysokich sznurowanych butów, wchodząc na wewnętrzny dziedziniec w kształcie zagrody i mijając samotny, rozchwierutany wóz bez kół, oparty gołymi osiami na kilku kamieniach. Rozejrzał się szybko i ruszył schodami w górę, pokonał ze trzydzieści stopni, napotkał ze cztery, może pięć kotów, które szurnęły mu między nogami, i przez nikogo nie niepokojony dotarł na ostatnie piętro. Tu bacznie zlustrował wszystkie drzwi wychodzące na galerię. O ile informacje Martína Saldañi były zgodne z prawdą, należało wejść w ostatnie po prawej stronie, w samym kącie korytarza. Podeszedł ku nim, stąpając jak najciszej, jednocześnie odwijając płaszcz, pod którym widniał napierśnik ze skóry bawolej i pistolet. Na okapie gruchały gołębie i był to jedyny odgłos, jaki dawał się słyszeć w tej części domostwa. Z niższego piętra dochodził kapitana zapach duszonej sztufady, gdzieś w oddali podśpiewywała jakaś służąca. Alatryste przystanął, rzucił okiem, jakie ma możliwości ucieczki, upewnił się, czy rapier i lewak dadzą się

dogodnie dobyć, wyjął zza pasa pistolet, sprawdził spłonkę, odwiódł kurek kciukiem, pogładził dwoma palcami wąsy, rozpiął klamrę płaszcza i wszedł do środka.

Izba wyglądała nader nieszczęśliwie. Cuchnęło stęchlizną i samotnością. Jakieś wczesne karaluchy myszkowały już po stole wśród resztek stawy niczym łupieżcy po wygranej bitwie. Były tam jeszcze dwie próżne butelki po winie, dzban z wodą, wyszczerbione szklanki, brudna odzież na krześle, do połowy napełniony urynał na podłodze, na ścianie wisiały czarny kaftan, takiż kapelusz i płaszcz. Obok zaś stało łóżko z rapierem u wezgłowia. A na łóżku leżał Gualterio Malatesta.

Gdyby Włoch uczynił choć najmniejszy ruch, czy to z zaskoczenia, czy dla postrachu, Alatryste ani chybi zgładziłby go, szcędząc sobie ceregieli w rodzaju „brońże się waszmość”, posługując się pistoletem, prosto w leżącego wycelowanym. Malatesta wszelako patrzył jeno w drzwi, jakby z trudem rozpoznawał swego gościa, a dłoń jego nawet nie drgnęła w kierunku pistoletu, który także miał przygotowany obok na pościeli. Spoczywał na poduszce, a licha kondycja dodatkowo pogłębiała złowieszcze wrażenie, jakie zwykł wywierać. Zdjęty cierpieniem, od trzech dni niegolony, z jątrzącą, źle zasklepioną raną przy brwiach, miał pod lewym policzkiem brudny opatrunek, a skórę na dłoniach i twarzy niezdrową i ziemistą. Obnażoną pierś opasywały mu powalane zaschniętą krwią bandaże, a po przeświecających spod nich burych plamach Alatryste zmiarkował, że co najmniej trzy rany zdołał być Włochowi zadać. Nie sposób było nie zauważyć, że na potyczce w zaułku łotr wyszedł znacznie gorzej.



Kapitan zamknął drzwi za sobą, nie przestając mierzyć w Malatestę, po czym zbliżył się do łoża.

Kapitan zamknął drzwi za sobą, nie przestając mierzyć w Malatestę, po czym zbliżył się do łoża. Tamten snadź rozpoznał go wreszcie, bo rozjarzone gorączką spojrzenie twardości nabrało, a dłoń czyniła niezborne próby, by po pistolet sięgnąć. Alatryste przysunął lufę swojego na dwa cale do głowy Włocha, ten aliści zgoła sił nie miał, by opór stawiać. Ani chybi sporo krwi był utracił. Skoro tylko zmiarkował, że próżno się mozoli, uniósł nieco głowę zapadniętą w poduszkę, a pod wąsikiem, mocno teraz zmierzwionym, błysnął biało złowrogi uśmiezek, który kapitan tak dobrze już poznał. Zaiste, znużony. Wykrzywiony grymasem bólu. Ale był to ten sam uśmiezek, z którym Gualterio Malatesta pędził całe życie i z którym zapewne gotował się zstąpić do piekieł.

– Coś takiego – wycedził. – Toż to kapitan Alatryste...

Głos miał zgaszony i słaby, słowa wszelako wymawiał dobitnie. Czarne, rozgorączkowane oczy Włoch wbił prosto w przybysza, nie dbając o mierzącą weń lufę.

– Jak widzę – ciągnął leżący – spełniasz waszmość miłosierny uczynek i chorych nawiedzasz.

Śmiał się przez zęby. Kapitan przez chwilę odwzajemniał mu spojrzenie, po czym odsunął pistolet, nie zdejmując wszakże palca ze spustu.

– Jestem dobrym katolikiem – odrzekł kpiąco. Krótki, zgrzytliwy śmiech Malatesty wzmógł się jeszcze na dźwięk słów Diega Alatryste, rychło przechodząc w gwałtowny atak kaszlu.

– Tak powiadają – przytaknął, gdy już mowę odzyskał. – Tak właśnie powiadają... Lubo ostatnimi czasy różnie waszmości w tych sprawach oceniano.

Przez chwilę patrzył kapitanowi prosto w oczy, następnie zaś ręką, którą nie był zdolny za pistolet chwycić, wskazał na dzban na stole stojący.

– Czy byłbyś waszmość tak łaskaw i podać mi trochę wody?... Będziesz mógł się tym samym chępić, żeś i pragnącego napoił.

Podumawszy przez moment, Alatryste drgnął i ruszył po wodę, ani na sekundę wroga swego z oczu nie spuszczał. Malatesta pociągnął dwa łapczywe hausty. Popatrywał przy tym na przybysza znad krawędzi dzbana.

– Przychodzisz mnie zabić może – zagadnął – czy wprzód wolisz, bym zdradził sekret waszmościnych ostatnich przypadków?

Odstawił dzban na bok i ocierał sobie niemrawo usta wierzchem dłoni. Uśmiechał się niczym schwyty w potrzask wąż: groźny do ostatniej chwili.

– Niczego nie musisz mi waszmość opowiadać – Alatryste wzruszył ramionami. – Wszystko jest nader oczywiste: zasadzka pod konwentem,

Luis de Alquézar, inkwizycja... Wszystko.

– Niech to czart porwie. Tedy przyszedłeś mnie po prostu zgładzić.

– Zgadłeś.

Malatesta zadumał się przez chwilę. Sytuacja nie wyglądała dobrze.

– Zatem brak nowin dla waszmości – wywnioskował – srodze życie moje skraca.

– Mniej więcej – teraz kapitan uśmiechał się zimno i groźnie. – Atoli przyznam waszmości, że trudno cię uznać za paplacza.

Malatesta westchnął lekko i poprawił się na posłaniu, z grymasem bólu macając swe bandaże.

– Nader szlachetne to z waszmości strony... – wskazał z rezygnacją rapier, co mu nad głową zwisał. – Żałuję, że nie potrafię odwzajemnić się równą subtelnością i nie zdołam zapobiec, byś zaszlachtował mnie w łóżku jak bydłę... Aleś zacnie się uwijał niedawno w tej parszywej uliczce.

Znów się poruszył, usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję. Można było odnieść wrażenie, że żywi do kapitana Alatryste urazę jeno zawodową, nie osobistą. Aliści czujnie nie spuszczał z przybysza swych ciemnych, chorobliwych oczu.

– Przy okazji... Podobno mały ocalił skórę. To prawda?

– Owszem.

Oblicze zabijaki znów rozjaśnił uśmieszek.

– Wielcem kontent, jak mi Bóg miły. To dzielny chłopak. Trzeba go było waszmości widzieć wtedy nocą pod klasztorem, kiedy trzymał mnie na dystans swoim sztylecikiem... Niech mnie kaci powieszą, jeśli z radością wiozłem go do Toledo, osobliwie wiedząc, co go tam czeka. Ale sam waszmość wiesz. Kto płaci, ten wymaga.

Twarz Włocha przybrała lisi wyraz. Co rusz spozierał z ukosa na leżący na pościeli pistolet i kapitan nie żywił najmniejszej wątpliwości, że

posłużyłby się nim, gdyby tylko dano mu sposobność.

– Jesteś waszmość – ozwał się Alatryste – skurwysynem i łajdakiem.

Tamten spojrział nań z niekłamanym zaskoczeniem.

– Do kroćset, kapitanie Alatryste. Słyszac waszmości, ktoś mógłby cię wziąć za siostrę klaryską...

Zapadło milczenie. Wciąż z palcem na spuście kapitan uważnie rozejrzał się po izbie. Mieszkanie Gualteria Malatesty zbyt przypominało mu jego własne, by mógł patrzeć na sytuację obojętnym wzrokiem. A Włoch na swój sposób nie mijał się z prawdą. Zgoła niewiele ich dzieliło.

– Naprawdę nie możesz waszmość podnieść się z łóżka?

– Bóg mi świadkiem, że nie... – Malatesta patrzył nań ze zdwojoną uwagą. – Co się dzieje?... Szukasz waszmość wymówki? – znów szczyrzył zęby w lśniącym, okrutnym uśmiechu. – Jeśli to waszmości pomoże, mogę opowiedzieć ci o tych których załatwiłem tak szybko, że się nawet Bogu polecić nie zdążyli... Jednych we śnie, innych świeżo przebudzonych, z przodu i z tyłu, to drugie zdarzało się osobliwie często. Przeto oszczędź sobie waszmość wyrzutów sumienia – z ust Włocha dobiegał teraz świszczący, podły chichot. – Obydwaj znamy aż nadto tę robotę.

Alatryste patrzył na rapier swego prześladowcy. Na gardzie widniało równie dużo nacięć i śladów, co na jego własnej broni. Traf zawsze rządzi – pomyślał. Zależy, jak potoczą się kości.

– Byłbym zobowiązany – podsunął – gdybyś waszmość zechciał dobyć pistoletu albo rapiera.

Malatesta spojrział nań z uwagą i pokręcił powoli głową.

– Mowy nie ma. Możesz mnie waszmość na kotlety posiekać, ale za tchórza mnie nie bierz. Bądź tedy łaskaw, naciśnij waszmość ten spust i kończmy z tym... Może zdążę do piekła na wieczerzę.

– Nie mam zamiaru odgrywać tu roli kata.

– Zatem idź i przepadnij. Nie mam siły na toczenie sporów.

Oparł znów głowę na poduszce i zamknął oczy, pogwizdując swoje *tiruri-ta-ta*, jakby cała rozmowa przestała go już zajmować. Alatryste stał wciąż przy nim z pistoletem w dłoni.

Przez okno dobiegł go dźwięk kurantów z wieży kościoła. Nareszcie Malatesta przestał gwizdać, przesunął dłonią po zapuchniętych brwiach, po dziobatej od ospy i szram twarzy, i zerknął na kapitana.

– I co?... Decyzję waszmość podjąłeś?

Alatryste nic nie odrzekł. Sytuacja jęła w farsę się przemieniać. Wielki Lope nie ośmieliłby się wystawić podobnej historii na scenie w obawie, że „muszkietierowie” szewca Tabarki wytupaliby aktorów z teatru. Zbliżył się do łóżka, bacznie studiując rany gospodarza. Cuchnęły i wyglądały szkaradnie.

– Nie łudź się waszmość – Malatesta jakby odgadywał jego myśli. – Wyliżę się. My z Palermo to twarde plemię...Zatem wykończ mnie wreszcie, do ciężkiej cholery.

Chciał go zabić. Nie można było mieć nijakich wątpliwości. Diego Alatryste chciał zabić tego niebezpiecznego łotra, który tylekroć zagroził życiu jego samego i jego druhów, a którego pozostawić przy życiu oznaczało popełnić samobójstwo. Jakbyś jadowitego węża trzymał w izbie, w której do snu się gotujesz. Chciał i musiał zabić Gualteria Malatestę – ale nie w ten sposób, jeno z bronią w ręku, twarzą w twarz, gdy będzie mógł słyszeć jego zdyszany oddech i rżenie przedśmiertne. Przyszło mu do głowy, że przecież donikąd śpieszyć się nie musi, że wszystko może zaczekać. W ostatecznym rozrachunku, lubo sam Włoch starał się go przekonywać, wiele ich różniło. Może nie wobec Boga, nie wobec diabła czy wobec innych ludzi – ale w głębi duszy i we własnym sumieniu tak. Byli podobni krom tego, jak spoglądali na kości na stół rzucone. Byli

podobni krom tego, że gdyby zamienić ich miejscami, Malatesta dawno zabiłby kapitana, ten zaś wciąż stał tam z rapierem wsuniętym w pochwę i z palcem nadal na spuście pistoletu.

Raptem drzwi się otwarły i na progu pojawiła się niewiasta. Jeszcze młoda, odziana była w bluzkę i lichą, szarą baskinę. Przyniosła właśnie kosz z czystą pościelą i butelczynę wina, atoli na widok intruza zdławiła okrzyk i skierowała na Malatestę przerażony wzrok. Butelka upadła jej do stóp, roztrzaskując się o łożinowe belki. Niewiasta nie była w stanie ni ruszyć się, ni głosu dobyć, i tylko trwoga z oczu jej wyczierała. A Diego Alatryste w okamgnieniu zmiarkował, że bała się nie o siebie, jeno o tego człeka, co leżał niemocą złożony. W końcu – powiedział w duchu z ironią – węże też potrzebują kompanii. I dobierają się w pary.

Ze spokojem przyjrzał się przybyłej. Powierzchność miała szczupłą i pospolitą, młodą, a już steraną. Oczy podkrążone, jak to zwykle bywa u niewiast prowadzących szczególny tryb życia. Do kroćset, przypominała nawet co nieco Caridad Cyganichę. Kapitan spojrział na wino rozlane z rozbitej butelki, płynące strugami po belkowanej podłodze, po czym pochylił głowę, zabezpieczył z uwagą spust i wsunął pistolet za pas. Wszystko to czynił bez nijakiego pośpiechu, jak gdyby bał się, że o czym zapomni, albo bujał myślą w obłokach. Na koniec bez słowa, nawet nie odwracając się za siebie, odsunął delikatnie niewiastę i opuścił izbę pełną zapachu samotności i klęski, izbę tak podobną do jego własnej i do wszystkich miejsc, które w swym długim życiu poznać zdążył.

Śmiech dopadł go, ledwie znalazł się na galerii. Śmiał się, gdy szedł po schodach i wychodził na ulicę, śmiał się, gdy zapinał klamrę płaszcza. Śmiał się tak samo, jak i niegdyś Malatesta przed Zamkiem Królewskim, w

strugach deszczu, kiedy przyszedł był pożegnać się ze mną po przygodzie z dwoma Anglikami.

A śmiech jego, podobnie jak i tamten, jeszcze długo dźwięczał w powietrzu, gdy on sam był już daleko.





EPILOG.

Jak donoszą, wojna znów tli się we Flandrii, przeto i najwyżsi oficerowie, i żołnierze prości, w Madrycie przebywający, postanowili do regimentów swych dołączyć, jako że na miejscu ledwie koniec z końcem wiążą, w tamte strony zaś popycha ich nadzieja łupów i innych korzyści. Cztery dni temu w drogę wyruszył Stary Regiment z Cartageny, a wraz z nim tabory i chorągwie; oddział ten, jak waszej miłości wiadomo, został zgrupowany na nowo po straszliwej rzezi przed dwoma laty pod Fleurus. Niemal wszyscy, co się zaciągnęli, to weterani, ogromne nadzieje na sukcesy w zbuntowanych prowincjach żywiący.

Co zaś innych spraw dotyczy, wczoraj, to jest w poniedziałek, w tajemniczy sposób z życiem pożegnał się kapelan benedyktynek sakramentek, ojciec Juan Coroado. To ten kapłan z szanowanej portugalskiej rodziny, młodzian poczciwy, o zacnej postawie i słowem z ambony wspaniale władający. Powiadają, że stał właśnie u wniścica do swej parafii, gdy zbliżył się doń jakiś zamaskowany młody człowiek i słowa nie powiedziawszy, przebił go na wylot rapierem. Chodzą pogłoski, że w grę wchodzi już to spódnica, już to zemsta czyjaś. Zabójca nie został schwytany.

(Z *Obwieszczeń* Josego Pellicera)



WYJĄTKI Z KWIATÓW POEZJI PRZEZ DWORSKIE
ZNAKOMITOŚCI UŁOŻONYCH

Druk z wieku XVII bez daty, zachowany w dziale „Hrabiowie
Guadalmedina”

Archiwum i Biblioteki Diuków del Nuevo Extremo (Sewilla)



LICENCJATA SALVADORA CORTESA Y
CAMPOAMOR

DO KAPITANA ALATRISTE

Sonet

Poeci, kronikarze, sam Wergili Opiewał twoje czyny dla potomnych, I
drżą wrogowie twoi, gdy kto wspomni, Jak pierwszy raz twój rapier
zobaczyli.

Antwerpia, Breda, Ostenda i Maastricht

– Oto był teatr dla ciebie, herosa; Broń jąwszy, ty ruszałeś prosto nosa,
Gdy król unosił swą dłoń z alabastru.

Z Turczynem, z Flamandami obmierzłemi, Z Angliczanami też
dokazowałeś, Twój oręż jest przesławny w całej ziemi.

Niebo tedy donośnie niechże chwałę Twej cnoty głosi siłami
wszystkimi, O Diego, co bitności dowód dałeś!



RZEZ HRABIEGO DE GUADALMEDINA DO KAPŁANA
CHUTLIWEGO

NA DWORZE SZANOWANEGO

Decyma

Kapłan tyś, czy sprośne bydło, Że tu żadnej nie przepuścisz, Pofolgować
sobie musisz...

I za grosz ci to nie zbrzydło?

Tuszę wszak, że twe kropidło Od ciągłego zanurzania

Oraz w pogotowiu stania

Piecze snadź. Boć rzecz wiadoma: W świeckich i zakonnych sromach
Gościsz bez opamiętania. '



RZEZ BENEFICJANTA RUIZA DE VILLASECA

NA ROTMISTRZA STRAŻY

MARTINA SALDAÑĘ

Decyma

Przyznam tu, mości Saldaña, Skoryś, bracie, niczym wół.

Ledwieś but rotmistrza wzuł, Zwalniasz się od szarżowania, Snadź ci szarża tego wzbrania.

Kiedy na trwogę kto dzwoni, Łeb długo twój myśli roni, Nim precz pogonisz łajdaki.

Nie wiem, czy znajdzie się taki, Co ciebie umie pogonić!



RZYPISYWANE MOŚCI FRANCISCOWI DE QUEVEDO

ROZWAŻ ZA MŁODU

DOBRODZIEJSTWA OSTROŻNOŚCI

Sonet

Tyś szczęśny, gdy mur kamienny przeskoczysz W młodości zwawej oparcia szukając.

Takim wszak jak ty igraszką się zdają Otchłanie przepaści, stromizny zboczy.

Mierząc ku słońcu, mrużysz śmiało oczy, Nowy Ikarze, mkniesz staja za stają, Lecz oto zimne odmęty wchłaniają Tego, co niegdyś przez świat mężnie kroczył.

Junak zuchwały w heroicznym czynach Celu żywota swego upatruje, A w zamysłach krew go wspiera gorąca.

Niech snadź z tamtego śmiałka losu płyną Nauki, że nim krzykniesz „alleluja”, Śmiało, lecz rozważnie wzlataj ku słońcu.



Przygody kapitana Alariste

„Przygody kapitana Alariste” to opowieść o Hiszpanii pierwszej połowy XVII wieku. Na tronie zasiada młody, niemający na nic wpływu, Filip IV, wnuk potężnego Filipa II. Dwór habsburski powoli staje się labiryntem intryg, podchodów, wzajemnych świństw. Z jednej strony sprawujący rządzą kanclerz, z drugiej sekretarz królewski, uprawiający własną podstępą politykę ramię w ramię ze złowieszczym inkwizytorem. Na skrzyżowaniu tych dwóch ośrodków władzy znajduje się Diego Alariste y Tenorio, czterdziestoparoletni szermierz, wytrawny żołnierz. W czasie gdy nie jest na wojnie, dorabia, pojedynkując się w cudzych sprawach. Małomówny, raczej sceptyk, zna życie od najgorszej strony i może dlatego zachowuje wciąż elementarne zasady moralne.

Teraz kapitan Alariste przekonuje się o tym, jak wielka jest potęga Świętej Inkwizycji. Inigo Balboa, jego młody sługa, na skutek diabelskiego podstępu dwunastoletniej Angeliki de Alquézar na własnej skórze doświadcza bezwzględności Oficjum i władzy jego złowrogiego sędziego Emilia Bocanegry. Jednak chłopak jest tylko przynętą, pułapkę zastawiono bowiem na jego pana. Misternie utkana intryga wydaje się nieuchronnie prowadzić do triumfu sił niechętnych kapitanowi.

Każda powieść z tej serii stanowi odrębną przygodę, choć nie zmieniają się główni bohaterowie, także źli, i najczęściej poczynania tych ostatnich są osnową fabuły.

Wkrótce kolejny tom!

Patroni medialni:



dziaczego



Pełna kultura

marie claire

empik news



Cena 24,90 zł

ISBN 83-7319-614-5



9 788373 196148 >

www.muza.com.pl

Notatki

[← 1]

Sub conditione (łac.) – warunkowe (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[← 2]

Jarama – jedna z największych hodowli byków przeznaczonych do korridy, znajdująca się na południe od Madrytu.

[← 3]

Himmel (niem.) – na niebiosa.

[← 4]

Mein Gott (niem.) – mój Boże.

[← 5]

Vrienden (niderl.) – przyjaciele.

[← 6]

Geven ons over (niderl.) – poddajemy się, lub vergeven ons (niderl.) – darujcie nam.

[← 7]

Ta i inne postacie historyczne zostały omówione w przypisach poprzedniej części „Przygód kapitana Alariste”. jeśli tam pojawiły się pierwszy raz.

[← 8]

Trakt Hiszpański – ziemie pod panowaniem lub wpływami korony hiszpańskiej, ciągnące się od Włoch po Niderlandy w poprzek kontynentu.

[← 9]

Miejsca wielkich triumfów militarnych Hiszpanii: Tenochtitlán nad Aztekami (1521), Pavia nad Francją (1525), Saint-Quentin również nad Francją (1557), Lepanto nad Turcją (1571) i Breda nad Niderlandami (1625).

[← 10]

Miguel de Cerantes, *Viaje al Parnaso* (Podróż na Parnas). Jeśli nie podano inaczej, wszystkie przekłady tekstów poetyckich pochodzą od tłumacza.

[← 11]

La cueva de Meliso (Jaskinia Melisa), dzieło przypisywane Franciscowi de Quevedo.

[← 12]

Luis Hurtado (1510–1598), *El auto de las Cortes a la Muerte* (Misterium o Trybunale Śmierci).

[← 13]

Pedro Téllez Girón, hrabia–diuk de Osuna (1579–1624) – wicekról Sycylii, potem Neapolu, wybitny polityk czasów Filipa Trzeciego. Odsunięty od władzy i uwięziony w 1621 r. po samowolnej akcji sabotującej Wenecję (tzw. spisek wenecki z 1617 r.

[← 14]

Santander – miasto w północnej Kastylii, regionie, skąd w średniowieczu ruszyła trwająca wiele stuleci rekonkwista (wojna o odebranie Półwyspu Iberyjskiego z rąk Maurów). Dlatego pochodzenie ze starego rodu z Santander było gwarancją czystości krwi chrześcijańskiej.

[← 15]

Francisco de Quevedo, *Soneto contra Góngora* (Sonet przeciwko Gongorze).

[← 16]

Francisco de Quevedo, *Otro soneto al mesmo Góngora* (Kolejny sonet na tegoż Gongorę).

[← 17]

Kultyzm – kierunek w poezji baroku hiszpańskiego, hołdujący wymyślnym konstrukcjom językowym i stylowi aluzyjnemu, zwany też gongoryzmem od nazwiska jego czołowego przedstawiciela.

[← 18]

Luis de Góngora pochodził z Kordoby.

[← 19]

Goleta – arabska Halq al-Uad, twierdza broniąca dostępu do portu w Tunisie, zdobyta przez Hiszpanów za cesarza Karola Piątego w 1535 r.

[← 20]

Tirso de Molina, właśc. Gabriel Téllez (1580?—1648) – dramaturg, autor m.in. sztuki *Zwodziel z Sewilli* i *Kamienny Gość*, której bohaterem jest sławny don Juan Tenorio, wspomniany wyżej rzekomy krewny kapitana Alatraste.

[← 21]

Deum de Deo... (łac.) – Bóg z Boga, światłość ze światłości, Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego.

[← 22]

Lope de Vega, *El acero de Madrid* (Stalowa Fontanna).

[← 23]

Złote jajka – dosłownie „jaja z sakiewki” (*huevos de faltriquera*), deser hiszpański, kulki robione z syropu i ubitych jajek.

[← 24]

Miguel de Cervantes, *Przemysłny szlachcic don Kichote z Manczy*, przeł. Anna Ludwika Czerny i Zygmunt Czerny.

[← 25]

Biskaja, Guipúzcoa – prowincje w Kraju Basków.

[← 26]

Francisco de Quevedo, *El sueño* (Sen).

[← 27]

Parafraza wiersza Francisca de Quevedo *¡Cuán fragil es la vida!* (Ach życie, jakieś kruche!). Tam: „Tyś groźny, boś mur gliniany przeskoczył, / a żwawa młodość w tobie ma oparcie”.

[← 28]

Amadis z Wali – bohater cyklu średniowiecznych opowieści rycerskich, spopularyzowanych w XVI w., zwany Rycerzem Niezwycięzonego Miecza.

[← 29]

Sambenito (od łac. *saccus benedictus*, chwalebny wór), najczęściej czarny, luźny kaftan bez rękawów, oraz stożkowaty czepiec pokutny stanowiły zwyczajowy strój skazanych przez inkwizycję na śmierć.

[← 30]

Koziół (hiszp. *potro*, żrebak) – drewniany przyrząd, do którego przytraczano przesłuchiwanego i stopniowo zaciskano więzy, by sznury coraz mocniej wrzynały się w ciało.

[← 31]

Izabela Kastylijska i Ferdynand Aragoński, zwani Monarchami Katolickimi, wydali w 1492 roku edykt, nakazujący Żydom opuszczenie królestwa albo przejście na wiarę rzymską.

[← 32]

Publius Aelius Hadrianus (76–138) – cesarz rzymski, budową ołtarza Jowisza na miejscu Świątyni w Jerozolimie wywołał trwające 3 lata powstanie Żydów pod wodzą Bar Kochby. Po jego stłumieniu Żydzi rozproszyli się po całym basenie Morza Śródziemnego.

[← 33]

Lope de Vega, *El Brasil restitudo* (Brazylia odzyskana).

[← 34]

Pedro Calderón de la Barca, *El sitio de Breda* (Oblężenie Bredy).

[← 35]

Lope de Vega, *Las flores de don Juan* (Kwiaty mości Juana).

[← 36]

Francisco de Quevedo, *Villagrán refiere sucesos suyos y de Cardoncha* (Villagrán opowiada, co się jemu i Cardonchy przytrafiło).

[←37]

Francisco de Quevedo, *Relación que hace un jaque de sí, y de otros* (Opowieść pewnego pyszałka o sobie i o innych). Bernardo del Carpio i Roland – na poły legendarni rycerze średniowiecza (VIII w.), wedle jednej z wersji stali po przeciwnych stronach podczas wyprawy cesarza Karola Wielkiego na Maurów i Roland poniósł śmierć z ręki Bernarda; Claudius Galenos – grecki lekarz, działający w Imperium Rzymskim za czasów Juliusza Cezara.

[← 38]

Curriculum laudis (łac.) – lista zasług.

[← 39]

Huesca – niewielkie, prowincjonalne miasto w Aragonii, skąd przybył do Madrytu Luis de Alquézar.

[← 40]

Francisco de Quevedo, *Letrilla satírica: Poderoso caballero es don Dinero* (Wiersz satyryczny: Oj nie cesarz to i nie ksiądz, to mospan Pieniądz).

[← 41]

Posąg Komandora – Gonzalo de Ulloa, postać ze sztuki Tirsa de Molina *Uwodziciel z Sewilli i Kamienny Gość*. Zgładzony przez don Juana Tenorio, Komandor przybywa doń na ucztę pod postacią posągu z kamienia, następnie zaprasza wszetecznego gospodarza do swego grobowca i pociąga go za sobą w zaświaty.

[← 42]

Francisco de Quevedo, *Epístola satírica y censoria contra las costumbres presentes de los castellanos* (List satyryczny a upominający przeciwko współczesnym obyczajom Kastylijczyków).

[← 43]

Cava Alta, Cava Baja – zadane ulice, zbudowane we wczesnym średniowieczu jeszcze przez Arabów, służące do potajemnego przemierzania miasta.

[← 44]

Król Przewidywalny (*El Rey Prudente*) – król Filip Drugi Habsburg (1527–1598, panował od 1556), zwany tak, ponieważ nie ufał nikomu ze swego otoczenia i rządy sprawował niemal jednoosobowo. Dziełem jego życia był Escorial, potężna, surowa budowla, będąca skrzyżowaniem klasztoru, pałacu, muzeum i twierdzy.

[← 45]

Zielony krzyż – symbol inkwizycji hiszpańskiej, wnoszony na plac przez przeora dominikanów; biały krzyż – znak męczeństwa, wnoszony przez bractwo św. Piotra Męczennika, patrona inkwizycji.

[← 46]

Do królestwa Hiszpanii należały w XVII w. także królestwo Neapolu, Sycylia, Sardynia i księstwo Mediolanu.

[← 47]

Odrzeczenie ciężkie polegało na wyparciu się herezji na zawsze, recydywa groziła spaleniem na stosie, dlatego pokutnicy częściej wybierali odrzeczenie lekkie, które dawało im jeszcze furtkę na przyszłość. Przechrztom i moryskom nie wolno było składać odrzeczenia lekkiego.

[← 48]

[Parafraza słów don Juana ze sztuki Tirsa de Molina *Zwodziel z Sewilli i Kamienny Gość*. Słyszac, ze kara napotka go w godzinie smierci, don Juan kpi: „W godzinie smierci? Tak daleko siegasz?”, nieświadom, ze godzina ta nadejść ma wkrótce.

[← 49]

Grzech haniebny – sodomia.

[← 50]

Francisco de Quevedo, *Amor constante más allá de la muerte* (Niezlomna miłość aż poza grób).]

[← 51]

Tamže.

[← 52]

Tamže.

[← 53]

Primavera (hiszp.) – wiosna; ulica nazywała się Wiosenna.